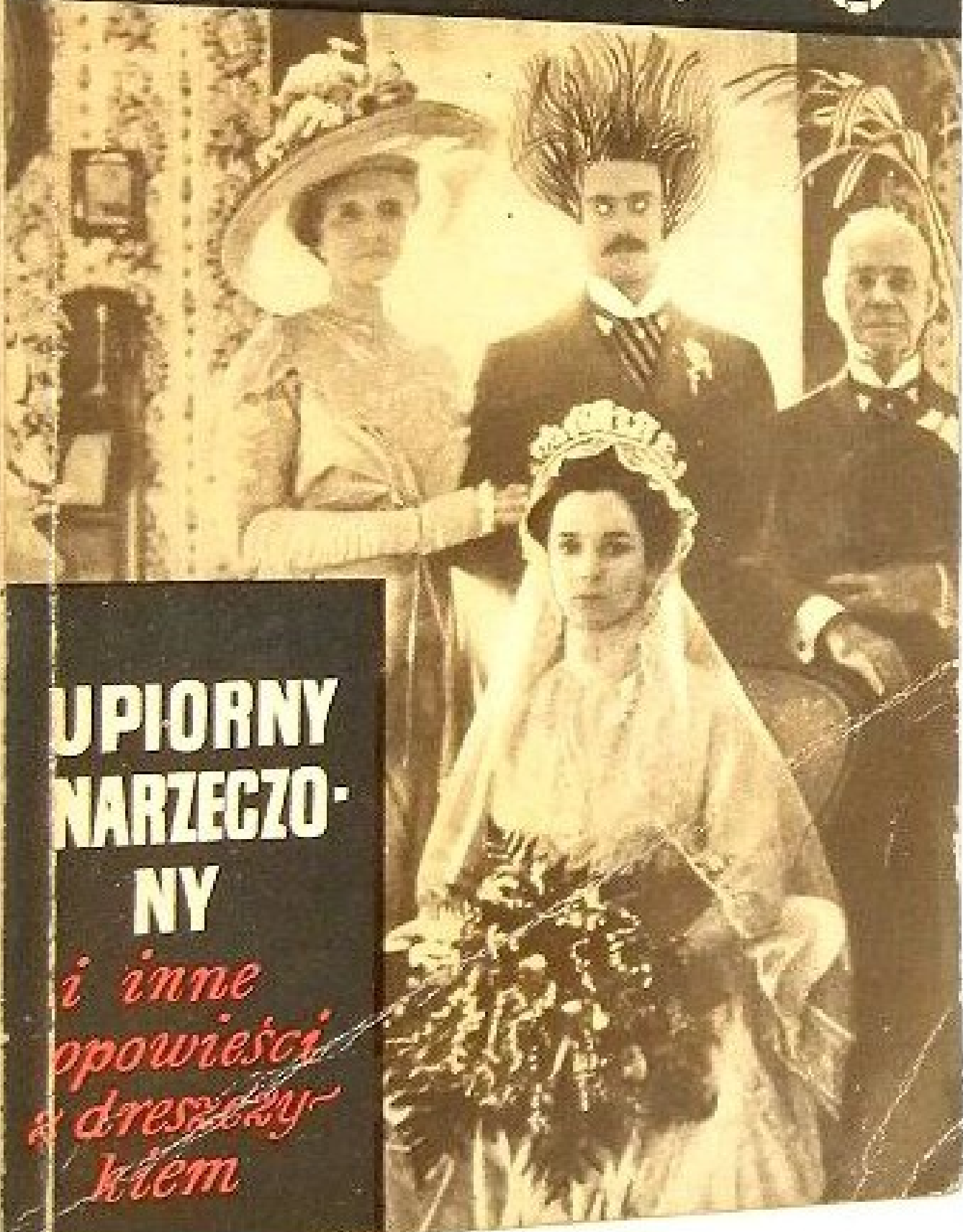


Na mocne nerwy!
Duchy, strachy, czary.



**UPIORNY
NARZECZO-
NY**

*i inne
opowieści
z dresz i zy-
ktem*

U P I O R N Y N A R Z E C Z O N Y

Upiorny narzeczony
i inne opowieści z dreszczykiem

ANTOLOGIA

Edgar Allan Poe, Joseph Conrad i inni William Austin, Washington Irving, Edward
Bulwer-Lytton, Robert Smythe Hichens, Maurice Renard, A.J. Alan



1967

Spis treści

Karta tytułowa

WILLIAM AUSTIN Peter Rugg, zaginiony

WASHINGTON Irving Upiorny narzeczony

EDWARD GEORGE EARLE BULWER-LYTTON Duchy i ludzie

EDGAR ALLAN POE Zagłada domu Usherów

I

II

III

IV

V

VI

JOSEPH CONRAD Gospoda Pod Dwoma Wiedźmami (rękopis znaleziony)

ROBERT SMYTHE HICHENS Miłość i profesor Guildea

II

III

IV

V

MAURICE RENARD Żaba

A. J. ALAN Warkoczyk

WILLIAM AUSTIN

Peter Rugg, zaginiony

*Od Jonatana Dunwella z Nowego Jorku
do pana Hermana Krauffa:*

Szanowny Panie Stosownie do obietnicy, postaram się zrelacjonować Panu wszystkie zebrane przeze mnie szczegóły, dotyczące zaginionego mężczyzny i dziecka. Nie ulega wątpliwości, że do tak wytrwałych poszukiwań skłaniała mnie w dużej mierze pełna współczucia niecierpliwość, z jaką Pan zdawał się oczekiwać wyników moich starań.

Pamięta Pan może, iż w lecie 1820 roku wezwany zostałem w interesach do Bostonu. Dopłynąwszy statkiem pocztowym do Providence, dowiedziałem się, że wszystkie miejsca w dyliżansie są już zamówione. Miałem więc do wyboru: albo czekać parę godzin, albo przyjąć miejsce obok woźnicy, gdy ten uprzejmie mi je zaproponował. Zasiadłszy przy jego boku, wnet stwierdziłem, że to człowiek bystry i rozmowny. Przebyliśmy już jakieś dziesięć mil, kiedy konie nagle położyły uszy po sobie jak zajęce, a woźnica spytał: - Ma pan ze sobą płaszcz?

- Nie - odparłem. - Dlaczego?

- Bo wnet będzie panu potrzebny. Widzi pan uszy wszystkich koni?

- Tak, właśnie chciałem spytać, co to ma znaczyć?

- Zobaczyły tego, co sprowadza burzę; my też wnet go zobaczymy.

W owej chwili na firmamencie nie było ani jednej chmurki. Wreszcie hen na drodze ukazał się maleńki punkcik.

- O, tam nadjeżdża ten, co wywołuje burzę. Zawsze zostawia po sobie ulewny deszcz. Dobrzem go sobie zapamiętał po tyłu zmoczonych kurtkach. Myślę, że ten biedak sam się też nacierpi i to więcej, niż ludziom wiadomo.

Zaraz potem, w dużym pędzie, chyba ze dwadzieścia mil na godzinę, minął nas zniszczony stary powozik, zaprzężony w wielkiego karego konia. W powozie siedział mężczyzna z dzieckiem przy boku. Trzymał lejce mocno i jasne było, że przewidywał ten pośpiech. Wydawał się zgnębiony i patrzył z niepokojem na pasażerów dyliżansu, a zwłaszcza na woźnicę i na mnie. Gdy tylko nas minął, uszy koni wróciły do normalnej pozycji i pochyliły się ku przodowi tak, że prawie się stykały.

- Kim jest ten człowiek? Wygląda, jakby miał ciężkie zmartwienie.

- Nikt nie wie, kim or jast, lecz ani jego osoba, ani dziecko nie są mi obce. Spotykałem go bardzo często i tyle już razy pytał mnie o drogę do Bostonu, nawet wtedy, gdy podróżował w kierunku wręcz przeciwnym, że ostatnio nie chcę mu już wcale odpowiadać. To dlatego wpatrywał się we mnie z takim natężeniem.

- Czyż on nigdzie się nie zatrzymuje?

- Nie słyszałem, żeby gdziekolwiek zatrzymał się na dłużej; zawsze tylko na moment, by spytać o drogę do Bostonu, i gdzie by nie był, zawsze panu odpowie, że nie może zatrzymać się ani na chwilę, bo musi do Bostonu dojechać przed nocą.

Wjeżdżaliśmy właśnie na wysokie wzgórze pod Walpole, a ze

widać stamtąd było ogromny szmat nieba bez najmniejszej chmureczki, więc zacząłem sobie podkpiwać z woźnicy i jego płaszcz.

- Patrzy pan w kierunku, skąd ten człowiek przybył? Burza nigdy się z nim nie spotyka, ale ciągnie za nim.

Zbliżyliśmy się do następnego pagórka. Gdy byliśmy na szczycie, woźnica wskazał w kierunku wschodnim małą czarną plamkę - może tak dużą jak kapelusz.

- O, tam jest zaczątek burzy. My pewnie dobrniemy do Polleya, zanim do nas dotrze, lecz ten wędrowiec i jego dziecię będą aż do Providence jechali w deszczu, wśród grzmotów i błyskawic.

Konie pognały teraz ze wzmożoną szybkością. Mała czarna chmura sunęła nad drogą, a gdy powiększyła się już znacznie, stała się naraz wyraźnie zwarta, ciemna i gęsta. Potem kilka błyskawic, jedna po drugiej, rozświetliło całą chmurę jasną, nieregularną siecią i coraz to inne, fantastyczne obrazy ukazywały się na niebie. Woźnica zwrócił moją uwagę, że w pewnej chwili cała chmura zupełnie zmieniła kształt. Wykrzyknął, że każda błyskawica wyraźniej ukazuje mu jakby sylwetkę człowieka siedzącego w otwartym pojeździe, zaprzężonym w czarnego konia. Ale mówiąc prawdę, nie dojrzałem tam nic takiego; musiało mu się coś przywidzieć.

Tymczasem dalekie grzmoty zapowiadały już, że wnet nadejdzie ulewa; i akurat dojechaliśmy do zajazdu Polleya, gdy lunęło tak, że potoki płynęły z nieba. Ulewa przeszła zresztą szybko, bo chmura przesunęła się ponad drogą ku Providence. W niedługi czas później przed zajazdem zatrzymał się powozik jakiegoś budzącego zaufanie pana. A że mężczyzna z dzieckiem, którzy przejechali niedawno, wzbudzili współczucie pasażerów, więc też nowo przybyłego zarzucono pytaniami. Okazało się, że

owszem, spotkał ich, że mężczyzna wydawał się przestraszony i zapytał o drogę do Bostonu; że jechał tak szybko, jakby miał zamiar przegonić burzę, że w chwili gdy właśnie oba pojazdy się minęły, nagle huknął piorun i to tuż nad głową owego mężczyzny, tak iż zdawało się, że i on, i dziecko, a także powozik z koniem - wszystko zostało trafione.

- Wstrzymałem konia myśląc, że poraził ich grom, ale dojrzałem tylko, że tamten koń szarpnął się, stanął dęba i zwiększył tempo; o ile mogłem to ocenić, gnał równie szybko jak burza.

Nie skończył jeszcze, gdy nadszedł wędrowny handlarz z wozem pełnym blaszanych garnków; przemoknięty był do suchej nitki. Na pytania odpowiedział, że owego mężczyznę i jego pojazd spotkał był w ciągu dwóch tygodni w czterech różnych stanach; że zawsze tamten dopytywał się o drogę do Bostonu, i że za każdym razem taka burza jak dzisiejsza zalewała mu wóz i cały towar, aż wszystkie garnki pływały, więc postanowił na przyszłość ubezpieczyć się od powodzi. Ale - co najbardziej zdumiewało owego handlarza - to fakt, że na długo przed tym, zanim mógł owego człowieka zobaczyć, jego własny koń stawał na środku drogi z uszami położonymi po sobie.

- Jednym słowem.- zakończył swą relację - nie chciałbym tego człeka i jego konia widzieć już nigdy na oczy. Coś mi tak wygląda, jakby byli nie z tego świata.

Tyle tylko zdołałem się dowiedzieć owego dnia; wkrótce potem mógłbym prawie przysiąc, że mi się to wszystko przyśniło, gdyby nie fakt, że niedawno temu stojąc przy wejściu do Hotelu Bennetta w Hartford, usłyszałem nagle, jak jakiś mężczyzna mówił: - Znowu jedzie Peter Rugg ze swoim dzieckiem! Wydaje się przemoczony i zmęczony i dalszy od Bostonu niż

kiedykolwiek.

Poznałem od razu, że to ten sam człowiek, którego widziałem przeszło trzy lata temu; każdy bowiem, kto go choć raz widział, nie pomyli się nigdy.

- Peter Rugg? - zapytałem. - Kto to jest ten Peter Rugg?

- Na to - odrzekł zapytany - nikt panu nie potrafi wyczerpująco odpowiedzieć. Jest to znany podróżnik, którego niezbyt lubią oberżyci, bo nigdy się nie zatrzymuje, by zjeść, wypić czy przespać się. Zastanawiam się, dlaczego mu rząd nie powierzy przewożenia listów.

- No, no - wtrącił się ktoś do rozmowy. - Ten pomysł ma i swoje ciemne strony. Ileż to czasu szedłby list do Bostonu, skoro Peter, z tego co mi wiadomo, od dwudziestu lat już nie może tam dojechać.

- Ale - rzekłem - czy ten człowiek nigdy się nie zatrzymuje, nigdy z nikim nie rozmawia? Widziałem go przeszło trzy lata temu koło Providence i wtedy mówiono o nim dziwne rzeczy. Proszę, niech mi pan coś o nim powie.

- Szanowny panie - odparł nieznajomy - ci, którzy wiedzą o tym człowieku najwięcej, najmniej mówią. Słyszałem twierdzenie, że czasem niebiosa naznaczają kogoś swym piętnem czy to za karę, czy na próbę. Czym został dotknięty ten człowiek, nie wiem, toteż raczej jestem skłonny litować się nad nim niż go sądzić.

- Mówisz pan jak człowiek szlachetny. Jeśli znasz go od tak dawna, powiedz mi, proszę, coś więcej o nim. Czy jego wygląd zmienił się bardzo w ciągu tych lat?

- O tak. Sprawiał takie wrażenie, jakby nigdy nie jadł, nie pił i nie spał, a jego dziecię zdaje się jeszcze słabsze od niego.

- A jego koń?

- Jeżeli idzie o konia, to ten jest jak gdyby grubszy i weselszy, więcej w nim życia i odwagi niż dwadzieścia lat temu. Kiedy ostatnim razem Rugg odezwał się do mnie, pytał, jak daleko jest do Bostonu. Powiedziałem mu, że dokładnie sto mil.

„Jakże możesz pan tak mnie oszukiwać! To okrucieństwo wprowadzać w błąd podróżnego. Zmyliłem drogę, proszę więc, wskaż mi, którądy najbliższej do Bostonu”.

Powtórzyłem, że do Bostonu jest sto mil.

„Jak może pan mówić coś takiego! - wykrzyknął. - Wczoraj wieczór powiedziano mi, że jeszcze pięćdziesiąt, a potem jechałem całą noc”.

„Ale oddalasz się pan od Bostonu. Należy zmienić kierunek”.

„Niestety! Wciąż mówią, zmień kierunek. Boston odpływa gdzieś z wiatrem i kręci się jak igła kompasu! Jeden mówi, że Boston jest na wschód, drugi, że na zachód, a wszystkie drogowskazy też mylnie wskazują drogę!”

„Lecz zatrzymaj się pan i spocznij trochę - powtórzyłem.

Wydajesz się przemoknięty i znużony”.

„To prawda. Pogodę miałem okropną, od kiedy wyruszyłem w drogę”.

„Więc zatrzymaj się i spocznij!”

„Nie, nie, nie mogę; muszę dojechać do domu przed nocą, o ile to możliwe. Ale myślę, że się pan myli, jeśli idzie o odległość do Bostonu” - odrzekł Rugg i z tymi słowy popuścił lejców koniowi, którego dotąd z trudem utrzymywał w miejscu, i po chwili znikł w oddali. W parę dni później widziałem go niedaleko Claremont, pędzącego wzdłuż pagórków Unity, przypuszczalnie z szybkością dwunastu mil na godzinę.

- Czy naprawdę nazywa się Peter Rugg?

- Tego nie wiem, lecz przypuszczam, że nie będzie się wypierał

swego nazwiska. Może go pan zresztą spytać, bo, o, widzi pan, nawrócił i właśnie znów do nas jedzie.

Rzeczywiście ukazał się rozpędzony kary koń i pojazd byłby nas minął, gdybym się nie zdecydował jednak zagadnąć tego człowieka. Gdy byli tuż koło nas, postąpiłem na jezdnię, by go zatrzymać. Mężczyzna natychmiast ściągnął cugle.

- Wybaczcie, szanowny panie - rzekłem - mą śmiałość, lecz chciałbym wiedzieć, czy to pan Peter Rugg? Bo wydaje mi się, że już kiedyś pana widziałem.

- Tak, nazywam się Peter Rugg. Nieszczęśliwym trafem zmyliłem drogę, a przemoknięty i zmęczony, wdzięczny będę za wskazanie mi drogi do Bostonu.

- Mieszka pan w Bostonie, nieprawdaż? A przy której ulicy?

- Przy Middle Street.

- Dawno opuścił pan Boston?

- Nie powiem panu dokładnie, lecz wydaje mi się, że już dosyć dawno temu.

- Ale jakimż to sposobem i pan, i dziecię pańskie przemokliście tak doszczętnie? Nie padało tu dzisiaj.

- Tam dalej, w górę rzeki, była niedawno silna ulewa. Lecz nie mogę tu dłużej bawić, bo nie zdążę do Bostonu na wieczór. Jak mi pan radzi: jechać starym gościńcem czy nową drogą?

- No, starym gościńcem jest sto siedemnaście mil, a tamtą drogą tylko dziewięćdziesiąt siedem.

- Co mówisz, człowieku!? Żeby tak oszukiwać! Toż to haniebne naigrawać się ze zmęczonego podróżnika. Przecież pan wie, że z Newburyport do Bostonu nie ma więcej jak czterdzieści mil.

- Lecz tu nie jest Newburyport, ale Hartford.

- Niechże pan nie wprowadza mnie w błąd, na Boga! Więc to miasto to nie Newburyport, a rzeka, wzdłuż której jechałem, to

nie Merrimack?

- Nie, szanowny panie. Jesteśmy w Hartford, a ta rzeka to Connecticut. Załamał ręce z wyrazem niedowierzania.

- Więc i rzeki także odmieniły swe biegi, tak jak miasta swe leże? Lecz spójrz, chmury zbierają się tam na południu, będziemy mieli deszcz w nocy! Oh, to przekleństwo!

Nie chciał już dłużej zwlekać. Jego koń, zniecierpliwiony, ruszył galopem, unosząc zady jak skrzydła, wyglądał, jakby pożerał wszystko przed sobą, a gardził tym, co zostawało z tyłu.

Uznałem, że mam wreszcie jakiś punkt zaczepienia, by przybywszy następnym (razem w interesach do Bostonu, dowiedzieć się na miejscu czegoś bliższego o tym człowieku. I rzeczywiście. W niedługi czas potem, od pani Croft, zamieszkałej na Middle Street i od dwudziestu lat nie opuszczającej Bostonu, zdołałem dowiedzieć się następujących danych.

Pewnego wieczora ubiegłego lata jakiś człowiek zapukał do drzwi jej domu. A gdy pani Croft otworzyła, ujrzała nieznajomego, a za nim dziecko w starym, zniszczonym, przemokniętym powoziku, zaprzężonym w karego konia. Mężczyzna zapytał o panią Rugg i usłyszał w odpowiedzi, że dom ten należał ongiś do pani Rugg, która przeszło dwadzieścia lat temu zmarła w podeszłym wieku.

Nieznajomy wykrzyknął: - Jak pani może tak mnie zwodzić! Proszę usilnie, niech pani poprosi panią Rugg, by tu zeszła.

- Ależ łaskawy panie, zapewniam pana, że pani Rugg nie mieszka tu już od przeszło dwudziestu lat. Tutaj mieszkam tylko ja, a moje nazwisko brzmi Betsey Croft.

Nieznajomy milczał, rozejrzał się wokoło i rzekł: - Mimo że kolory spleźły bardzo, to musi być przecież mój dom.

- Tak, tak - potwierdziło dziecko. - Poznają ten kamień koło

wejścia. Na nim siedziałam zawsze z chlebem i kubkiem mleka.

- Ale dom stoi jakby po złej stronie ulicy - ciągnął mężczyzna. - Zaprawdę, wszystko jest inaczej, niż być powinno. Ulice przemieniane, ludzie niepodobni do siebie, miasta zupełnie inne, a co najdziwniejsze z wszystkiego, Catherine Rugg opuściła swego męża i dziecko. A powiedz, pani - zapytał nagle - czy John Fay powrócił już z za morza? W długą wyruszył podróż, to mój krewniak. Gdybym mógł się z nim zobaczyć, powiedziałałby mi na pewno, co się dzieje z moją żoną.

- Łaskawy panie - odparła pani Croft - nigdy nie słyszałam o żadnym Johnie Fay. Gdzie on mieszka?

- Tu niedaleko, przy Orangetree Lane.

- Nie ma takiej ulicy nigdzie w tych stronach.

- Co też pani mówi! I ulic żadnych nie ma! Orangetree Lane zaczyna się przy końcu Hanover Street, koło Pemberton's Hill.

- Nie, żadnej takiej ulicy nie ma.

- Pani chyba nie mówi tego na serio?! No, ale musi pani znać mego brata... William Rugg, mieszka na Royal Exchange Lane, koło King Street.

- Nie znam takiej ulicy, a co do King Street, to jestem zupełnie pewna, że w naszym mieście nie ma takiej.

- Nie ma tu King Street! Ależ kobieto, nie kpij sobie ze mnie! Równie dobrze może pani mi powiedzieć, że nie ma żadnego króla Jerzego! Jednakże widzisz, pani, że jestem przemoczony i utrudzony, że muszę znaleźć jakiś nocleg. Pójdę do zajazdu Harta, tam koło placu targowego.

- Którego, łaskawy panie? Wydajesz się zdezorientowany, a my mamy kilka placów targowych.

- Przecież jest tylko jeden, koło portu.

- Och, stare targowisko! Ale tam nie ma żadnego zajazdu i to

od wielu lat.

Na nieznanym znać było wyraźne zmieszanie. Szeptał do siebie prawie półgłosem: - Dziwna pomyłka. Jak to miasto wydało mi się podobne do Bostonu! Tak, wyraźnie jest do niego podobne. Ale widzę teraz, że się omyliłem. Jakaś inna pani Rugg, jakaś inna Middle Street. Ale - tu zwrócił się znowu do kobiety - wskaże mi pani, którędy jechać do Bostonu?

- Wszak tu jest Boston, miasto Boston. Nie znam żadnego innego Bostonu.

- Miasto Boston... to być może... ale to nie jest Boston, w którym mieszkam. A teraz przypomina mi się jeszcze, że wjechałem tu po moście, a nie na promie. Czy mogę wiedzieć, jaki to most przemierzałem przed chwilą?

- To jest most na Charles River.

- Tak, widzę moją omyłkę wyraźnie. Przecież pomiędzy Bostonem a Charlestown kursuje prom, a nie ma żadnego mostu. Zresztą gdybym był w Bostonie, mój koń sam by trafił pod próg mego domu. A tymczasem tutaj okazuje wyraźną niecierpliwość, bo miejsce jest mu zupełnie nieznane. Co za głupota, wziąć to miasto za mój stary Boston. Tu jest o wiele piękniej. Myślę, że Boston musi leżeć dość daleko, bo ta poczciwa niewiasta zdaje się nie znać go zupełnie.

Przy tych słowach koń zaczął się szarpać i walić kopytami w bruk. Nieznajomy ze speszoną miną rzekł: - A więc nie będziemy przed wieczorem w domu! - i popuścił cugli. Po chwili powozik zniknął w głębi ulicy. Nie ulegało wątpliwości, że wymarło już pokolenie, do którego należał Peter Rugg.

Tyle tylko wiadomości na jego temat zdołałem uzyskać od pani Croft. Skierowała mnie ona wszakże do pewnego wiekowego jegomościa, pana Jamesa Felta, który mieszkał w pobliżu;

pamiętał on wszystkie ważniejsze zdarzenia z ostatnich pięćdziesięciu lat. Na moją prośbę pani Croft poszła po niego. Dowiedziawszy się, o co mi idzie, pan Felt powiedział, że znał Rugga w młodości, i że jego zaginięcie wywołało w swoim czasie zdumienie. Ale, że zdarza się, iż ludzie uciekają - czasem, by pozbyć się innych, czasem, by umknąć przed sobą samym, a w dodatku Rugg wziął ze sobą dziecko, powozik i konia, przy czym żaden wierzyciel nie podniósł krzyku - więc też rychło całe zdarzenie poszło w niepamięć jak wiele innych. Zapomniano, że istniał jakiś Peter Rugg, jego dziecko, powozik i koń.

- Muszę przyznać - dodał pan Felt - że o tej sprawie wiele opowiadano, ale nie potrafię ocenić, ile w tym było prawdy. Zresztą, w mojej młodości zdarzały się i dziwniejsze rzeczy bez jednej wzmianki w gazecie.

- Jednakże, szanowny panie - zauważyłem - Peter Rugg żyje do tej chwili. Widziałem niedawno jego i dziecko, wraz z koniem i pojazdem. I dlatego proszę, niech mi pan opowie wszystko, co pan pamięta lub słyszał o nim kiedykolwiek.

- No cóż, mój przyjacielu - odrzekł James Felt - nie mam zamiaru twierdzić, że Peter Rugg nie żyje; twierdzą jednak, że nie mogłeś go widzieć z dzieckiem, o ile pod tym słowem rozumiesz „małe dziecko”, a niemożliwe to jest dlatego, że Jenny Rugg, jeżeli żyje, musi mieć co najmniej... chwileczkę... masakra w Bostonie była w 1770, wtedy Jenny miała około dziesięciu lat... tak, mój panie, Jenny Rugg, jeżeli żyje, musi mieć obecnie przeszło sześćdziesiątkę. A że Peter Rugg żyje, to zupełnie możliwe, bo był przecież tylko dziesięć lat starszy ode mnie, a ja w marcu skończyłem dopiero osiemdziesiąt. I mam zamiar przeżyć każdego o dobre dwadzieścia!

Słyszając te słowa, uznałem, że pan Felt jest wyraźnie

zdziecinniały i z żalem zrezygnowałem z dalszych indagacji. Pożegnawszy się z panią Croft pospieszyłem do hotelu „Marlborough”, w którym stałem.

„Jeżeli Peter Rugg, myślałem, podróżuje tak od czasu masakry w Bostonie, to nie widzę powodu, dlaczego nie miałby tak podróżować przez całą wieczność”.

Tegoż wieczora, gdy opowiadałem swoje przeżycia z Middle Street, jeden z obecnych uśmiechnął się i rzekł: - Naprawdę jesteś pan przekonany, żeś widział tego Rugga? Pamiętam, że mój dziadek opowiadał o nim i to tak, jakby głęboko wierzył w to, co mówi.

- Pozwól pan łaskawie, bym porównał opowieść pańskiego dziadka z tym, co sam przeżyłem.

- Peter Rugg, szanowny panie, o ile wierzyć memu dziadkowi, mieszkał ongi w tym mieście przy Middle Street. Był zamożny, miał żonę, córkę jedynaczkę i cieszył się powszechnym poważaniem jako człowiek solidny i obyczajny. Lecz na nieszczęście czasami ponosił go gniew, a wtedy wygadywał potworne rzeczy. W owych napadach pasji potrafił, ni mniej, ni więcej, tylko rozwalić kopnięciem drzwi, jeżeli stały mu na drodze. Bywało, że nagle fikał kozła w powietrzu i znów wracał do dawnej postawy, a przez cały czas okręcania się w koło wykrzykiwał przekleństwa; był chyba pierwszym, który w złości robił pełne salto, coś, czego inni uczą się teraz albo dla zabawy, albo dla pieniędzy. Raz widziano go, jak rozgryzł gruby gwóźdź na połowę. W owych czasach wszyscy mężczyźni, starzy i młodzi, nosili peruki; otóż Peter, gdy wpadł w pasję, wygadywał takie bezceństwa, że aż peruka stawała mu dęba na głowie. Jedni mówili, że nie mogła znieść jego okropnego słownika; inni uzasadniali to bardziej filozoficznie, twierdząc, że powodem było

powiększanie się jego głowy, bowiem gwałtowna złość, jak wiadomo, rozszerza żyły i powiększa głowę. Ilekroć wpadał w taki szal, Rugg nie liczył się ani z niebem, ani z ziemią. Lecz poza tą jedną słabością wszyscy przyznawali, że Rugg to dobry człowiek, bo kiedy mu złość przeszła, nikt nie był pogodniejszy i bardziej łagodny od niego.

Pewnego dnia rano, późną jesienią, Rugg swoim powozikiem, zaprzężonym w wielkiego karego konia zabrał swą jedynaczkę i wyruszyli do Concord. Kiedy wracali, zaskoczyła ich burza. Po ciemku dotarł do Menotomy (obecnie West Cambridge), do drzwi swego przyjaciela Cuttera, który jął go namawiać, by zatrzymali się na noc. Rugg wzbraniał się, Cutter nastawał coraz gwałtowniej: „Ależ mój drogi! Burza nie mija, wokoło czarna noc! Kto widział narażać tak dziecko! Masz otwarty powozik, a burza wzmaga się z każdą chwilą!”

„Niech się wzmaga! - wykrzyknął Rugg i zaklął się jeszcze: - Choćby burza ta miała trwać wiecznie, dojadę dziś wieczór do domu, albo mogę go więcej nie oglądać!” Z tymi słowami zaciął konia, który ruszył z kopyta i zniknął w ciemności. Lecz nie dojechał do domu ani tej nocy, ani następnej, a gdy już uznano, że zaginął, nie zdołano odnaleźć nikogo, kto by ich widział później niż pan Cutter z Menotomy.

Przez długi czas jeszcze, w każdą ciemną, burzliwą noc żonie Rugga zdawało się, że słyszy trzaskanie bata, stuk kopyt i chrzęst powoziku mijającego jej drzwi. Sąsiedzi także słyszeli te same odgłosy, a niektórzy nawet rozpoznawali, że to koń Rugga - znali przecież dobrze odgłos jego kopyt na bruku ulicy. Powtarzało się to tak często, iż wreszcie pewnego dnia sąsiedzi postanowili czekać z latarniami i ujrzeli, jak sam Peter Rugg z dzieckiem przy boku, z koniem i powozikiem, z głową obróconą ku swemu

własnemu domowi mija go, starając się bezskutecznie zatrzymać przed nim konia.

Następnego dnia przyjaciele pani Rugg zaczęli szukać jej męża i dziecka. Pytali w każdym zajeździe, w każdej stajni w całym mieście, ale okazało się, że Peter Rugg nie zatrzymał się w Bostonie. Nikt nie widział go od tej chwili, gdy przejechał pod swoim własnym domem, choć kilka osób zapewniało, że od łoskotu, jaki robił jego koń i pojazd, trzęsły się domy po obu stronach ulicy. I jest to wiarogodne, jeżeli rzeczywiście pojazd Rugga przejeżdżał tej nocy, po dziś dzień bowiem na niektórych ulicach naładowany wóz lub pędzący zaprzęg powoduje istne trzęsienie ziemi. Jednakże sąsiedzi Rugga nie nasłuchiwali już po nocach. Jedni uznali wszystko za przywidzenie i przestali o tym myśleć; inni myśleli inaczej i kiwali głowami w milczeniu.

Tak więc zapomniano wnet o Ruggu, jego dziecku, koniu i powozie; a przypuszczalnie wiele ludzi w okolicy nie słyszało ani słowa o tym zdarzeniu.

Chodziły rzeczywiście słuchy, że widziano go potem w Connecticut, pędzącego w szalonym tempie pomiędzy Suffield a Hartford. To zachęciło przyjaciół Rugga do dalszych poszukiwań. Lecz im więcej się dopytywali, tym bardziej byli skołowani. Jeżeli jednego dnia posłyszeli o nim w Connecticut, następnego przychodziła wiadomość, że widziano go pędzącego jak wicher po wzgórzach New Hampshire, a w niedługi czas potem w Rhode Island jakiś mężczyzna w powoziku, wraz z małym dzieckiem, odpowiadający dokładnie rysopisowi Rugga, dopytywał się o drogę do Bostonu.

Lecz atmosferę tajemniczości zawdzięcza historia Rugga przede wszystkim zdarzeniom koło mostu w Charlestown. Rogatkowy poborca myta zapewniał, że od czasu zniknięcia

Rugga, kilkakrotnie w najbardziej burzliwe i ciemne noce, kiedy nic prawie nie było widać, o północy jakiś pojazd zaprzężony w jednego konia przejeżdżał przez most nie zwracając uwagi na obowiązek płacenia myta, i to z takim łośkotem, jakby to był cały oddział wojska. Historia owa powtarzała się tak często, że poborca postanowił przekonać się, kto to taki. W niedługi czas potem, o zwykłej porze, znów najwyraźniej ten sam zaprzęg nadjechał od rynku w Charlestown. Poborca myta przygotowany na to stanął na środku mostu z dużym stołkiem w ręce. Stołkiem tym, w chwili gdy zaprzęg go mijał, rzucił w konia, lecz nie usłyszał nic, tylko stuk przedmiotu toczącego się po moście. Poborca myta upiera się, że stołek przeleciał prosto przez konia, i nie dał sobie tego nigdy wyperswadować. Czy Rugg przejeżdżał jeszcze kiedy przez ten most, nie można się było dowiedzieć, a ilekroć poborcę pytano o to, zmieniał temat. Tak więc Peter Rugg, jego dziecko i zaprzęg - wszystko okryte jest tajemnicą aż do dnia dzisiejszego.

Tyle oto, szanowny Panie, zdołałem się w Bostonie dowiedzieć o owym Ruggu.

*Dalsze sprawozdanie Jonathana Dunwella
odnośnie Petera Rugga.*

Jesienią 1825 roku byłem na wyścigach w Richmond w stanie Wirginia. Miały biegać dwa nowe konie zapowiadające się doskonale, toteż publiczność dopisała jak rzadko i podniecenie panowało wielkie. Zwolennicy Włóczni i Błyskawicy byli równie ciekawi i równie niepewni wyników gonitwy. Widz nie

zaangażowany uczuciowo, tak jak ja, nie zdołałby dostrzec między obu końmi żadnej różnicy. Oba były jednakowo piękne, tej samej maści i wzrostu i gdy tak stały obok siebie, widać było, że długością nie różnią się ani o cal. Oba miały oczy mocne, wyraziste i zdecydowane. A gdy spoglądały chwilami na siebie, wznosiły dumnie głowy, naprężały szyje i patrzyły uważnie. Widać było w ich oczach inteligencję, a w zachowaniu dobre maniery, niezwykle nawet u mężów stanu.

Dochodziła oto godzina dwunasta - czas wyczekiwania, wątpliwości i niepokoju. Jeźdźcy dosiedli koni; wyglądali tak zgrabnie i lekko, jakby byli z nimi zrośnięci. Tysiące widzów zajęło miejsca i w jednej chwili zamieniło się w tyleż samo zaledwie oddychających posągów. Oczy wszystkich wpatrzone były w Włócznie i Błyskawicę i w obu pięknych jeźdźców. Cisza panowała taka, że słyhać było dziecięcia stukającego w pobliskie drzewo. Na dany znak Włócznia i Błyskawica zareagowały natychmiast. Ruszyły truchtem, z truchtu przeszły w kłus, a wreszcie w galop - i już płynęły przez równinę. Oba mknęły wyciągnięte płasko, a jeźdźcy pochyleni ku przodowi, brodą dotykali końskich uszu.

Gdy w tym locie bez skrzydeł, wyciągnięte płasko jak zając w pędzie, trzymały się łeb w łeb, nagle inny widok przyciągnął wzrok zgromadzonych: Oto tuż za Włócznie i Błyskawicą ukazał się majestatyczny kary koń, niebywalej wielkości, zaprzężony do starego, zniszczonego powoziku. Poruszał się bez wysiłku, równomiernym krokiem a przecież zanim tamte dwa konie dobiegły do mety, ów kary przegonił je; nagle bowiem położyły uszy po sobie i stanęły jak wryte. Tak więc nie wygrali ani ci, co stawiali na Włócznie, ani ci, co na Błyskawicę.

Ludzie gubili się w domysłach, skąd się wziął ów kary z

zaprzęgiem. Wielu twierdziło, że w powoziku nie było nikogo, coraz więcej ludzi wyrażało to zdanie, bo z bliska patrząc, nie można było dojrzeć w tym pędzie, kto był wewnątrz, o ile w ogóle ktoś był. Lecz obaj jeźdźcy, których kary wyminął z bliska, zgodnie stwierdzili, że na koźle siedział mężczyzna o smutnej twarzy i mała dziewczynka. Gdy to usłyszałem, nabrałem pewności, że musiał to być Peter Rugg. Lecz największe poruszenie wywołał John Spring, jeden z jeźdźców (ten, który dosiadał Błyskawicy), oznajmiając, że nie ma na świecie konia, który by w zaprzęgu i w uczciwej walce mógł prześcignąć jego klacz. I upierał się jeszcze, że to nie był wcale koń, lecz wielki czarny wół.

- Jakie są możliwości wielkiego czarnego wołu, na tym się nie znam - oznajmił John. - Lecz żaden koń wyścigowy, nawet latający Childers, nie potrafi prześcignąć Błyskawicy w uczciwym biegu.

Słowa te wywołały moc uciechy, było bowiem oczywiste dla wszystkich, że to wielki kary koń wygrał wyścigi, lecz John Spring, zazdrosny o reputację Błyskawicy, wolał raczej, by uważano, że jakiegokolwiek inne zwierzę, choćby nawet wół, doszło pierwsze do mety. Jednakże głośnie śmiechy z Johna Springa urwały się nagle, bo gdy tylko Włócznia i Błyskawica zaczęły znowu normalnie oddychać, zauważono, że zgodnie zawróciły na tor wyścigowy, zaczęły obwąchiwać go z pochylonymi głowami, a potem uniosły lby, rżały głośno i długo, aż John Spring rzekł: - Te konie odkryły coś niezwykłego. Podejrzewają jakąś nieczystą sprawkę. Muszę zapytać Błyskawicę, o co chodzi.

Podszedł do klaczy i chwycił ją za grzywę, ona zaś pochyliwszy nozdrza ku ziemi obwąchiwała ją, a potem uniosła łeb wysoko i

zarzała tak głośno, aż echo odpowiedziało wśród dalekich pagórków. Włócznia zawtórowała jej równie donośnie. John Spring pochylił się i oglądał miejsce obwąchiwane przez Błyskawicę. Kiedy się wyprostował, twarz jego była zupełnie zmieniona. Oparł się o swego konia, jakby go siły opuściły nagle.

Gdy wreszcie otrząsnął się jakoś, wykrzyknął: - A jednak to był wół! Mówiłem, że to musiał być wół. Żaden koń nie pobił jeszcze Błyskawicy!

I rzeczywiście, każdy to mógł stwierdzić, ślady przednich nóg karego, widziane z bliska, były rozszczepione jak racice. Mimo to nie ulegało dla mnie wątpliwości, że ów tajemniczy koń był naprawdę koniem. Ale sądzę, że co najmniej połowa widzów, opuszczających teren wyścigów, była gotowa przysiąc, iż wielki czarny wół wyprzedził dwa spośród najbardziej chyżych koni, jakie biegały na torach Wirginii.

Kiedy zbliżałem się do mego hotelu rozmyślając nad tym, czego byłem świadkiem, jakiś nieznajomy podjechał do mnie i zagadnął: - Przepraszam, czy pan Dunwell?

- Tak jest - odparłem.

- Upiorny narzeczony - Zdaje mi się, że widziałem pana rok czy dwa lata temu w Bostonie, w hotelu „Marlborough”.

- Zupełnie możliwe, byłem tam wtedy.

- I słyszał pan tam historię człowieka imieniem Peter Rugg?

- Tak, pamiętam ją doskonale.

- Wszystko, co pan usłyszał wtedy, musi być prawdą, gdyż dziś był on tutaj. Jego drogi zaprowadziły go do Wirginii, a wygląda na, to, że przedtem dojechał aż do przylądka Horn. Widziałem go już dawniej, ale nigdy nie jechał z taką przerażającą szybkością. Czy może mi pan powiedzieć, gdzie ten Peter Rugg spędza zimy? Ilekroć go widziałem, zawsze to było latem i zawsze pogoda była

fatalna, z wyjątkiem tylko dzisiejszego dnia.

Odparłem na to: - Nikt nie wie, gdzie Peter Rugg spędza zimy, tak samo jak nikt nie wie, gdzie i kiedy je, pije i nocuje. Mam wrażenie, że on niezbyt wyraźnie zdaje sobie sprawę, czy jest dzień, czy noc, która godzina, nie mówiąc już o odległościach i pogodzie. Myśli tylko o jednym: żeby dojechać do Bostonu. Wydaje mi się, że ten jego koń decyduje o wszystkim i że sam Peter Rugg jest do pewnego stopnia od swego konia uzależniony.

Zapytałem wtedy owego nieznajomego, gdzie po raz pierwszy ich widział.

- Cóż, proszę pana, w lecie 1824 roku podróżowałem na Północ ze względu na zdrowie. Wkrótce po tym spotkaniu w hotelu „Marlborough” wracałem w swoje rodzinne strony, do Wirginii, i o ile mnie pamięć nie myli, w każdym ze stanów po drodze do samego Massachusetts widziałem tego człowieka i jego konia. Kilka razy nadjeżdżał z przeciwnej strony, lecz częściej mijał mnie. Przemówił do mnie tylko raz, a było to w Delaware. Zbliżając się, jął przyhamowywać konia z niejakim trudem. Oh,, cóż to był za przepiękny koń! Kiedy się przybliżył, naprężył nagle szyję, nastawił uszy ku przodowi, aż się prawie stykały, i wpatrywał się mocno w mego konia. I niech pan sobie wyobrazi, mój koń jakby zmałał o połowę, skurczył się, aż skóra zmarszczyła mu się na szyi. Tkwił w miejscu Jak zaklęty, całkiem jakby go kto czterema gwoździami poprzez każde kopyto przytwierdził do ziemi.

„Łaskawy panie - rzekł do mnie Peter Rugg - czy może udaje się pan do Bostonu? Jeżeli tak, byłbym szczęśliwy, gdybyśmy dalej razem pojechali, zmyliłem bowiem drogę, a muszę być przed nocą w domu. Niech pan spojrzy, jak śpiąca jest już mała. Biedactwo, wygląda jak uosobienie cierpliwości”.

„Ależ, szanowny panie - odparłem - to zupełnie niemożliwe, byś pan dojechał do domu przed nocą, ponieważ znajduje się pan w miejscowości Concord, okręgu Sussex, to znaczy w stanie Delaware”.

„Co pan rozumie pod słowem «stan Delaware»? Jeżeli jesteśmy w Concord, to przecież stąd nie ma więcej jak dwadzieścia mil do Bostonu, a mój koń, Lekkonogi, dowiezie nas do promu w Charlestown w niecałe dwie godziny. Lecz pan się myli, jesteś pewno obcy w tych stronach. To miasto nie przypomina wcale Concord, które znam dobrze. To właśnie do Concord udałem się, gdy wyjechałem z Bostonu”.

„Ale my jesteśmy obecnie w Concord w stanie Delaware”.

„Co to znaczy «stan»?”

„Jak to? Jeden ze stanów zjednoczonych”.

„Stany - powtórzył półgłosem. - Ten człowiek to jakiś błazen i chce we mnie wmówić, że jestem w Holandii. - I głośniej: - Tuszę, że jesteś pan dżentelmenem i dlatego ośmielę się prosić, byś mnie nie wprowadzał w błąd, i zaklinam, byś wskazał mi najszybciej właściwą drogę do Bostonu, bowiem koń mój pada z głodu. Karmiłem go ostatni raz, zanim wyruszyliśmy z Concord”.

„Miasto, w którym jesteśmy, szanowny panie, zwie się Concord, ale Concord w stanie Delaware, a nie w Massachusetts. I dlatego jest pan o pięćset mil oddalony od Bostonu”.

Rugg przyglądał mi się przez chwilę, raczej z żalem niż z niechęcią, a wreszcie powtórzył: „Pięćset, mil! Nieszczęsny człowiek, z wyglądu nikt by nie poznał, że niespełna rozumu. Tak, tak, wygląd człowieka to rzecz najbardziej zwodna na tym świecie. Pięćset mil! To pobiło nawet tę rzekę Connecticut!”

Co oznaczała wzmianka o rzece Connecticut, tego nie pojmuję. Kary koń szarpnął gwałtownie i po chwili Rugg zniknął w oddali.

Zatrzymaliśmy się u wejścia do doskonałego hotelu pana Benneta i wytłumaczyłem nieznanemu, co znaczyło to zdanie o rzece Connecticut, opowiadając mu całe zdarzenie w Hartford.

W niedługi czas potem zobaczyłem Rugga znowu przy rogatce na drodze z Alexandria do Middleburgh. Płacąc myto, zauważyłem, że wiatr w tej okolicy jest silniejszy niż dalej na południu. Na to odparł mi rogatekowi: - Tak, silnie dziś dmucha. Ale gdyby nie to, że wczoraj jeden podróżny mówił mi, że dwa dni temu w Kentucky widziano człowieka z karym koniem, tobym się lada chwila spodziewał solidnej ulewy. Rozejrzałem się wkoło po horyzoncie, ale nie dojrzałem nawet takiej chmurki, która mogłaby przynieść choć kwartę wody.

- Proszę spojrzeć, łaskawy panie, tam na wschodzie, tuż nad tym wzgórzem! Widzi pan tę małą czarną chmurkę? Nie jest większa niż jagoda, ale przez ten czas, co to mówię, już się powiększyła dwa razy, trzy razy i toczy się nad tą drogą tak uparcie, jakby miała na celu zmoczyć tylko jeden jedyny przedmiot.

- Rzeczywiście. Widzę ją. Ale jakież związek ma ta chmura z tamtym człowiekiem i karym koniem?

- Większy, niż łaskawy pan przypuszcza, a ja potrafię opowiedzieć. Znam już tę chmurę, widziałem ją nieraz i mogę przysiąc, że to ona. Wnet pod nią dojrzymy i pojazd, i karego.

Jeszcze nie skończył, jak usłyszeliśmy daleki grzmot, a po chwili błyskawice jedna po drugiej zaczęły wyczyniać dziwne figury. W odległości mili mniej więcej ujrzeliśmy tuż pod toczącą „się chmurą pojazd zaprzężony w karego konia. Ale zanim dotarł on do nas, ulewa już go dosięgła, przemoczyła i ustała tak nagle, że na nas nie spadła już ani kropla.

Gdy nowo przybyły, w którym natychmiast rozpoznałem

Rugga, usiłował przejechać przez roгатkę, poborca szybko opuścił szlaban zagradzający przejazd, chwycił karego za uzdę i zażądał swoich dwóch dolarów.

Wiedziony współczuciem, wmieszałem się do rozmowy wypytując poborcę, o co mu idzie i prosząc, by nie gniewał się na tego człowieka. On jednak odparł, że ma słuszne powody, bo ten człowiek już z dziesięć razy przejeżdżał tędy bez płacenia, a co więcej, koń raz kopnął w jego stronę kulę armatnią i o mało go życia nie pozbawił. Za każdym razem powozik nadjeżdżał tak szybko, że nie było już mowy o zasunięciu zardzewiałego szlabanu „lecz teraz odbiję to sobie nareszcie” - zakończył poborca.

Rugg spojrział na mnie z wyrzutem i rzekł: - Zaklinam pana, nie zatrzymujcie mnie, proszę, tutaj. Dowiedziałem się w końcu najkrótszej drogi do Bostonu i jeżeli mnie będziecie zatrzymywać, mogę nie zdążyć do domu przed nocą. Widzi pan, że jestem przemoczony do nitki i powinienem się przebrać. Na to poborca zapytał, czemu tyle razy przejeżdżał tędy, nie płacąc myta.

- Myta? Jak to? Od kiedy tu się pobiera myto? Nie słyszałem o żadnych mytach na królewskim gościńcu.

- Królewski gościniec! Nie widzi pan, że tu jest roгатka przy nowej drodze?

- Jaka roгатka? Nie ma żadnych rogatek w Massachusetts.

- To możliwe, ale tu jest Wirginia!

- Co takiego? Twierdzisz więc, że jestem w Wirginii? - wykrzyknął Rugg i zwracając się do mnie spytał, jak daleko jest stąd do Bostona.

Odrzekłem na to:

- Panie Rugg, widzę, że jesteś zaniepokojony, i przykro mi, że

spotykam pana tak daleko od domu, jest to bowiem rzeczywiście stan Wirginia.

- Wygląda, jakby mnie pan skądś znał - odpowiedział Rugg - i mówi mi pan, że jestem w Wirginii. Otóż pozwól pan sobie oznajmić, że jesteś najbezczelniejszym człowiekiem, jakiego spotkałem. Albowiem nie byłem nigdy dalej jak czterdzieści mil od Bostonu i w życiu nie widziałem człowieka z Wirginii. To pobiło nawet ten stan Delaware!

- A moje myto, panie, moje myto?!

- Nie zapłacę ani jednego miedziaka, jesteście obaj zwykłymi opryszkami. Nie ma w tym kraju żadnych rogatek. Jeszcze czego, myto na królewskim gościńcu! - i dodał jeszcze półgłosem: - To najwyraźniej jakaś zmowa przeciwko mnie. Nigdy już nie zobaczę Bostonu! Drogi wzbraniają się mnie przepuścić, rzeki zmieniają swe biegi i kompasowi wcale wierzyć nie można.

- Lecz koń Rugga nie miał ochoty stać dłużej niż minutę, oto - w samym środku tej dyskusji uniósł łeb z górnej belki szlabanu, na której chwilę spoczywał, potem ujął ją w zęby, uniósł lekko z zawiasów cały szlaban i wraz z nim ruszył naprzód. Poborca, ogłupiały, wyteżył oczy za swoją przegrodą.

- Niech jedzie, koń za chwilę puści ten szlaban, nie straciecie go na pewno.

Zacząłem go wypytywać o wszystko, co wie o Ruggu, i tyle się wtedy dowiedziałem: - Pierwszy raz ten człowiek przejechał przez moją rogatkę w roku 1806, w chwili zaćmienia słońca. Myślałem wtedy, że pewno koń przestraszył się nagłej ciemności i poniósł. Ale w parę dni później ten sam człowiek i ten sam koń przejechali tędy z powrotem, znowu w szalonym pędzie, nie zwracając uwagi ani na rogatkę, ani na mnie, ot tylko spojrzeli. W parę lat później, podczas wojny to było, zobaczyłem znowu

tego człowieka nadjeżdżającego i postanowiłem go zatrzymać. Toteż wyszedłem na środek drogi z rozpostartymi ramionami i krzyknąłem: „Stać, wy tam, bo będzie źle!”, a on słysząc to zawołał: „Wio, Lekkonogi, to tylko jakiś opryszek!” i jak nie zacznie poganiać go batem z obu stron. Kary ruszył z taką szybkością, że dwa podobne konie, byleby miały dość miejsca, żeby stanąć, dałyby chyba radę każdej zaporze wymyślonej przez człowieka. Na drodze leżała kula armatnia, zgubiona niedawno przez żołnierzy wiozących amunicję do Baltimore. Ta nieszczęsna kula leżała akurat na szlaku karego, który z szatańską wprost złośliwością kopnął ją kopytem daleko za siebie. Słabo mi się urobi, ilekroć opowiadam to zdarzenie, bo ta kula przeleciała tuż koło mojej głowy (tak blisko, że pęd powietrza zrzucił mi kapelusz) i utkwiała w tamtym słupie rogatkowym. Proszę, niech łaskawy pan zechce tu spojrzeć. Zostawiłem ją tutaj na pamiątkę tamtego wydarzenia, tak jak bostończycy przechowują podobno tamten osiemnastofuntowy pocisk, wbity w mur kościoła przy Brattle Street.

Pożegnałem się wreszcie z poborcą obiecawszy, że dam mu znać, jeżeli gdzie zobaczę jego szlaban albo usłyszę coś o nim. Miałem poprzednio wielką chętkę zatrzymać Rugga i przeszukać mu kieszenie, bo wydawało mi się, że jakieś ciekawe odkrycie mogłoby mi przypaść w udziale. Ale to, co dziś widziałem i czego się dowiedziałem, przekonało mnie, że żadna ludzka siła nie zdoła zatrzymać Rugga wbrew jego woli. Postanowiłem więc traktować go jak najuprzejmiej, jeżelibym go kiedy spotkał.

Kierując się do Nowego Jorku, skręciłem w nową drogę od Trenton, a kiedy dojechałem do New Brunswick, okazało się, że dają tam właśnie nową nawierzchnię, pokrytą warstwą drobnych kamieni. Gdy przejeżdżałem tym odcinkiem,

zauważyłem ze zdziwieniem, że w równych odstępach, mniej więcej co osiem stóp widnieją wyrwy - duże okrągłe miejsca, z których zupełnie znikły kamienie. Zaciekawilo mnie to i przy następnej rogatce zapytałem, co to być może. - i Nie dziwię się pytaniu wielmożnego pana - odparł rogatkowy - ale nie umiem dać na to zadowalającej odpowiedzi. Bo doprawdy wydaje mi się, że ja sam muszę być zaczarowany i całą tą drogą też rządzą jakieś czarodziejskie siły, to bowiem, co widziałem ubiegłej nocy, nie może być rzeczą naturalną, bo w takim razie cała ta rogatka jest zupełnie zbędna.

- Nie wierzę ani w czary, ani w dziwy - odparłem. - I jeżeli usłyszę dokładnie, co się wydarzyło w nocy, postaram się znaleźć możliwie realne wyjaśnienie tych wydarzeń.

- Przypomina pan sobie, że wczoraj wieczór było niezwykle ciemno? W chwilę po zamknięciu szlabanu na noc zobaczyłem na drodze coś, co w pierwszej chwili wydawało mi się walką między jakimiś dwiema armiami. Strzały muszkietów, błyski rakiet nie ustawały przez długą chwilę. Ten niesamowity widok zbliżał się jak rozpędzone tornado, z coraz głośniejszym łoskotem. Widowisko to toczyło się zwartą masą tuż nad ziemią, od której odrywały się wspaniałe fajerwerki i otaczały to wszystko dziwnym blaskiem. Można by przypuszczać, że to gwiazdy niebieskie spotkały się na drodze i igrają wesoło. W samym środku tego błyskotliwego obrazu siedział jakiś człowiek w żałośnie wyglądającym pojeździe, ciągniętym przez karego konia. -Zgodnie z prawami natury, a także z prawami naszego stanu szlaban rogatki winien był rozlecieć się w drzazgi, a zarazem rozwiać wszelkie czary, lecz nie - koń bez najmniejszego wysiłku przejechał przez szlaban i pociągnął za sobą powozik z człowiekiem poziomo, bez dotknięcia belki. To właśnie nazywam

jakimiś czarami. Co wielmożny pan o tym myśli?

- Mój przyjacielu - rzekłem. - Przesadziłeś, i to mocno, opisując zwyczajne dosyć zdarzenie. Człowiekiem tym jest Peter Rugg udający się do Bostonu. To prawda, że jego koń pędzi z niebywałą szybkością. I skoro z wysoka wali przednimi kopytami, cóż więc dziwnego, że poruszył z miejsca tysiące małych kamyczków. To one rozpryskując się na wszystkie strony, uderzały o siebie z hałasem i krzesaniem iskier. Górna belka tego szlabanu wznosi się nie więcej niż dwie stopy nad ziemią, więc koń Rugga mógł bez trudu przeciągnąć swój pojazd ponad taką przeszkodą. To wyjaśnienie zadowoliło pana McDoubla, ja zaś podjąłem dalej mą podróż w kierunku Nowego Jorku.

Nie przypuszczałem też, że zobaczę czy usłyszę jeszcze coś więcej o panu Ruggu, ponieważ wyprzedzał on mnie teraz już więcej niż o dwanaście godzin. W drodze do Elizabethtown nie mogłem się po nim niczego dowiedzieć, toteż doszedłem do wniosku, że snadź ubiegłej nocy skręcił z tej szosy w kierunku zachodnim, lecz kiedy byłem już blisko Powles's Hook, zauważyłem pokaźną liczbę pasażerów na promie. Wszyscy stali nieruchomo i wpatrywali się w ten sam przedmiot. Jeden z obsługi promu, Hardy, który znał mnie dobrze, widząc, że nadjeżdżam, zczekał jeszcze chwilę z odbiciem od brzegu, by mi umożliwić przeprawę i zbliżając się do mnie zawołał: - Panie Dunwell, mamy tu na promie coś takiego, że nawet doktor Mitchell byłby zdumiony.

- Jakaś niezwykła ryba, co się przypadkiem dostała w nurty Hudsonu?

- Nie. To mężczyzna, który wygląda tak, jakby się krył w arce, a teraz wreszcie wychynął na światło dzienne. Ma ze sobą małą dziewczynkę, podobną do niego ogromnie, a jego koń,

najpiękniejszy na świecie, zaprzężony jest do najdziwniejszego chyba pojazdu, jaki kiedy widziałem.

- No, panie Hardy. Rzeczywiście gratka nie lada. Nikomu dotąd nie udało się przytrzymać Rugga tak długo, by go można było wziąć trochę na spytki.

- Zna pan tego człowieka?

- Nie, nikt go nie zna, lecz każdy go widział. Zatrzymaj go pan tutaj jak najdłużej, opóźniaj lądowanie pod byle pretekstem, przetnij koniowi uzdę - słowem, rób co chcesz, byle go zatrzymać.

Kiedy wsiadałem na prom, uderzył mnie widok, jaki miałem przed oczyma. Siedzieli tam bowiem Peter Rugg i Jenny Rugg w starym powoziku, a obok stał kary. Wszyscy troje spokojni jak baranki. Otoczeni byli przez jakieś pięćdziesiąt osób, mężczyzn i kobiet, którzy zatracili wszelkie zmysły prócz jednego. Nikt nie oddychał, nie słuchał, nie czuł. Zamienili się bez reszty we wzrok. Rugg wydawał im się postacią nie z tego świata; oni zaś byli dla niego zdumiewający i dziwni. Rugg milczał, oni milczeli, a ja także nie miałem zamiaru przerywać ciszy, zadowolony, że ujrzałem wreszcie Rugga w stanie spoczynku. Wtem Rugg zauważył cicho, nie kierując tych słów do nikogo w szczególności: - Nowy jakiś pomysł: konie zamiast wioseł. Ci bostończycy mają głowy!

Widać było wyraźnie, że Rugg miał duńskich przodków. Nosił na sobie trzy pary ineksprymabli, (zwanych spodniami w dawnych bezceremonialnych czasach), niezbyt zniszczonych, lecz czas wypróbował jakoś materiałów, i jedne zbiegły się bardziej niż drugie tak, że na kolanach widać było ich odmienne gatunki i kolory. Liczne kamizele o połach opadających aż na kolana powodowały, że wyglądał korpulentnie. Ciemny płaszcz

był tak obszerny, że dałoby się zeń wykroić ze sześć modnych dziś okryć; rękawy przypominały worki na mąkę, a w mankietach można by niemowlę ukołysać do snu. Kapelusz, kiedyś pewnie czarny, obecnie już doszczętnie wyrudziały, nie był ani owalny, ani też powykręcany. Cały ów strój dodawał okrągłej twarzy Rugga wyrazu staroświeckiej godności. Zresztą on sam, mimo że mocno spalony słońcem, nie wyglądał starzej niż na jakieś trzydzieści lat. I w tej chwili nie miał na twarzy smutku i niepokoju, wydawał się zupełnie opanowany, a nawet - zadowolony. Pojazd, w którym siedział, był obszerny, wyraźnie robiony z myślą o częstym użytku i to przez długie lata. Materiału też starczyłoby z niego na trzy współczesne powoziki. Koń również wart był obejrzenia: jego ogromny wzrost, piękna grzywa i ogon nadawały mu wygląd konia wojskowego, a szeroko rozdęte chrapy wskazywały na wielką energię. Widać było wyraźnie, że przednie kopyta miał pęknięte - przypuszczalnie od jakiejś świeżej nawierzchni drogi; dopiero się zrastały. Tak więc John Spring niezupełnie się mylił. Jak długo by trwała ta niema scena, nie umiem powiedzieć, lecz nagle koń Rugga, postawszy spokojnie przez pięć minut, uznał, że już tego dosyć, i zaczął wpierw rzeć, a potem prawym przednim kopytem walić w deski promu. Na to Rugg rzekł: - Mój koń widzi North End, dlatego się niecierpliwi. Spieszcie więc, bo wnet nie da się go okiełznać!

Jeszcze wymawiał te słowa, gdy koń nagle uniósł lewą przednią nogę, a kiedy ją opuścił, każdy cal promu zadrżał. Natychmiast dwaj ludzie złapali karego przy pysku, ale koń rzucił się i obaj znaleźli się w falach Hudsonu. Podczas gdyśmy ich wyławiali, sprawca stał spokojnie, bez ruchu.

- Nie drażnijcie konia, to nie będzie z nim kłopotu. Po prostu

spieszno mu, tak jak mnie, by prędzej znaleźć się na tamtym pięknym brzegu. Widzi już North Church i czuje własną stajnię.

- Łaskawy panie - zwróciłem się do Rugga chcąc go zaskoczyć pytaniem - proszę, powiedz mi, obcemu w tych stronach, co to za rzeka, którą przebywam i jakie to miasto widać naprzeciwko, bo zdaje mi się, że jesteś pan jego mieszkańcem.

- Ta rzeka zwana jest, szanowny panie, Mystic River, stoimy na promie Winnisimmet (bo zachowaliśmy tu wiele indiańskich nazw), a tam przed nami jest Boston. Musisz pan być rzeczywiście obcy w tych stronach, jeżeli nie wiesz, że mamy przed sobą Boston, stolicę nowoangielskich prowincji.

- A jak długo sam pan byłeś nieobecny w Bostonie?

- Widzi pan, nie potrafię, dokładnie odpowiedzieć. Udałem się z moją małą córeczką do Concord odwiedzić przyjaciół i, wstyd mi wprost wyznać, wracając zmyliłem drogę i od tego czasu podróżuję bez ustanku. Nikt mi nie wskaże właściwego kierunku. To okrutne, tak zwodzić podróżnego. Mój koń Lekkonogi coraz to musiał zawracać; najeździł się we wszystkie świata strony. Lecz widzi pan, koń znów się niecierpliwi. Dotąd przypominał o sobie tylko raz - ruszył łbem. Lecz nie mam zamiaru odpowiadać za jego kopyta.

W tej chwili Lekkonogi uniósł długi ogon i strzepnął nim, co zabrzmiało jak trzask bata. Po wodzie rozeszło się echo. Od razu cała szóstka koni zaczęła ciągnąć liny promu. Hudson przypominał taile szklaną, gładki jak lustro, bez jednej zmarszczki. Konie z dobrego truchtu przeszły w galop; przez burty przelewała się woda, po chwili wokół promu szeroko przewalało się morze piany, a towarzyszył temu szum jakby wielu połączonych strumieni. Gdyśmy dopływali do Nowego Jorku, za nami w poprzek Hudsonu ciągnął się cudowny biało

spieniony ślad.

Choć Rugg odmawiał płacenia myta na rogatkach, jednakże na widok wyciągniętej ręki pana Hardy'ego bez wahania wsunął dłoń do jednej z licznych kieszeni, wyciągnął jakąś srebrną monetę i wręczył ją przewoźnikowi.

- A cóż to jest? - zapytał tamten.

- Trzydzieści szylingów - odparł Rugg.

- Może tak kiedyś wyglądało trzydzieści szylingów, ale nie teraz.

- To dobra angielska moneta! - zaprotestował Rugg. - Mój dziadek przywiózł ich z Anglii cały worek, a otrzymał je z mennicy jeszcze ciepłe.

Słyszając tę rozmowę, podszedłem do Rugga i poprosiłem o pokazanie mi rzeczonyj monety. Była to półkoronówka, wybita przez parlament angielski i opatrzona datą 1649. Na jednej stronie widniał napis „Wspólnota Angielska” oraz krzyż świętego Jerzego otoczony wieńcem laurowym; na drugiej zaś „Bóg z nami” i krzyż świętego Jerzego złączony z harfą. Mrugnawszy porozumiewawczo do Hardy'ego oznajmiłem, że jest to dobra moneta obiegowa i dodałem wolno: - Nie pozwolę, by tego dżentelmena oszukiwano i sam mu rozmięję te pieniądze.

Na to Rugg rzekł:

- Proszę, podaj mi pan swoje nazwisko!

- Jestem Dunwell, szanowny panie - odparłem.

- Panie Dunwell, jest pan jedynym uczciwym człowiekiem, jakiego spotkałem od chwili, gdy opuściłem Boston. A że jest pan tu obcy, proszę, uważaj mój dom za własny. Pani Rugg ucieszy się na widok przyjaciela swego męża. Wsiądź tu, panie Dunwell, miejsca jest dosyć. Jenny, posuń się troszkę, żeby panu było wygodnie. Za chwileczkę dojedziemy na Middle Street.

Wobec tego usiadłem obok Rugga.

- Nigdy jeszcze nie był pan w Bostonie?

- Nie - odpowiedziałem.

- No to zobaczy pan perłę Nowej Anglii, miasto ustępujące tylko Filadelfii w całej Północnej Ameryce.

- Zapomina pan o Nowym Jorku - poddałem.

- Ba, Nowy Jork się nie liczy; chociaż osobiście nigdy tam nie byłem, mówiono mi jednak, że cały Nowy Jork można zmieścić w naszej sadzawce koło młyna. Nie, nie, zapewniam pana, że Nowy Jork to tylko nędzna miejscina. Równie trudno go porównywać do Bostonu, jak wigwam do pałacu.

Gdy koń Rugga skręcał w Pearl Street, spojrzałem memu towarzyszowi w twarz o tyle, o ile dobre wychowanie pozwalało i rzekłem: - Szanowny panie, jeżeli to jest Boston, to przyznaję, że Nowy Jork nie jest godzien być nawet jego przedmieściem.

Lecz nie wjechaliśmy daleko w Pearl Street, kiedy twarz Rugga zmieniła się wyraźnie; widać było, jak napina mięśnie, oczy latają mu nerwowo - najwyraźniej był przestraszony.

- Co się stało, panie Rugg? Wydaje się pan podenerwowany?...

- To już przechodzi wszelkie pojęcie! Jeżeli pan wiesz, gdzie jesteśmy, błagam, powiedz mi!

- O ile to nie jest Boston - odparłem - musi to być chyba Nowy Jork.

- Nie, szanowny panie. Boston to nie jest na pewno. Ale i Nowym Jorkiem być nie może. Jakże bym ja mógł znajdować się w Nowym Jorku, który leży prawie o dwieście mil od Bostonu?

Wjechaliśmy już w Broadway i nagle Rugg stwierdził, że w ogóle nic nie rozumie.

- Ależ takiego miasta wcale nie ma w Ameryce Północnej! To muszą być jakieś czary, to wszystko złudzenie nie rzeczywistość.

Przecież to wygląda na jakieś wielkie miasto ze wspaniałymi domami, a co za sklepy, co za towary, ludzi niezliczone mrowie, a tak zajęci jak żywi. I wszystko to wystrzeliłoby nagle, jednej nocy z zupełnej dziczy?! Albo, co jest bardziej prawdopodobne, jakieś przepotężne ruchy natury rzuciły nagle Londyn czy Amsterdam tu, na brzegi Nowej Anglii... A może ja śnię, choć w takim razie ta noc trwałaby dość długo. Inna sprawa, że już kiedyś zdarzyło mi się jednej nocy popłynąć do Amsterdamu, nakupić różności u Vandoggera i powrócić do Bostonu przed świtem. W tym momencie rozległy się jakieś krzyki: - Zatrzymajcie tych szaleńców! Narazają życie tysięcy ludzi! - Ale próżno tłumnie usiłowano zatrzymać karego konia. Lekkonogi nie potrącając nikogo, jechał prosto jak spadająca gwiazda. Ja jednak przestraszony, że mogę przed nocą znaleźć się po drugiej stronie łańcucha Alleghenów, zwróciłem się do Rugga z prośbą, by wstrzymał konia i pozwolił mi wysiąść.

- Ależ mój przyjacielu - zaprotestował Rugg - będziemy w Bostonie przed nocą, a pani Rugg ucieszy się niewymownie z naszego przyjazdu.

- Musi mi pan wybaczyć, panie Rugg. Niech pan tylko spojrzy tam na zachód! Widzi pan tę czarną chmurę, co pędzi w pogoni za nami jak gdyby rozwścieczona i nabrzmiewająca z każdą chwilą?

- Oh, nie ma co próbować ucieczki, znam tę chmurę, wnet z nową siłą wybuchnie burzą nad naszymi głowami. - Potem zatrzymał konia i pozwolił mi wysiąść. - Żegnaj, panie Dunwell, z radością powitam pana w Bostonie. Mieszkam przy Middle Street.

Nie wiadomo, w jakim kierunku podążył Rugg zniknąwszy mi z oczu na Broadwayu, lecz inny fakt znany jest powszechnie, a

mianowicie, że dwa miesiące po tym, jak go widziano w Nowym Jorku, udało mu się jakoś szczęśliwie dotrzeć do Bostonu.

Okazało się, że w ostatnich latach nieruchomości Rugga ze względu na brak spadkobierców przeszła na własność stanu Massachusetts. Toteż władze zarządziły ogłoszenie publicznej licytacji. Właśnie w tym czasie byłem przypadkiem w Bostonie i przeczytawszy w zawiadomieniu licytacyjnym opis sporej posiadłości, nabrałem ochoty, by zobaczyć miejsce, gdzie kiedyś mieszkał Rugg. Z ogłoszeniem w ręce udałem się na Middle Street i w pewnym punkcie nie pytając nikogo, powiedziałem sobie: „To musi być ten dom. Nie idę dalej. Przecież to niemal portret samego Rugga”. Budynki wyglądały zresztą tak, jakby spełniło się na nich jakieś smętne proroctwo. Frontem zwrócona ku Middle Street cała nieruchomość, licząca mniej więcej pół akra, dochodziła aż do Ann Street. W dawnych latach nie było to nic nadzwyczajnego, posiadać pół akra gruntu jako działkę budowlaną, wtedy bowiem w wielu częściach Bostonu akr wart był mniej niż teraz stopa. Sam frontowy budynek był już tak zrujnowany, że rozebrano go zupełnie. Stał tu jeszcze drugi, mniejszy domek; nie mieszkał w nim nikt - opustoszały, wyglądał złowieszczo i rozpadał się także. Ulica o tyle podniosła się w tym czasie, że sypialny na piętrze zszedł jakby do kuchni, bo był na równym poziomie z chodnikiem. Dom zdawał się świadom swego przeznaczenia i jakby zmęczony stanem w tym miejscu, usiłował runąć przednią ścianą w kierunku ulicy; czekał tylko na następny południowy wiatr.

„Ręka przeznaczenia - pomyślałem sobie - ciężko doświadczyła to miejsce, a jeszcze ciężiej jego dawnych właścicieli. Dziwne to, że tak wielka posiadłość nie ma żadnych spadkobierców, a tymczasem sam Peter Rugg może w dniu dzisiejszym przejeżdżać

tędy i pytać na własnym progu, kto ongiś zamieszkiwał ten dom”.

Licytator, zaangażowany przez władze miejskie do przeprowadzenia tej sprawy, był człowiekiem wymownym, jak się to często bostońskim licytatorom zdarza. Okazja aż się prosiła, no a same obowiązki wymagały, by wygłosił stosowne przemówienie. Zwrócił się więc do słuchaczy z tymi słowy: - Posiadłość ta, panowie, którą wam przedstawiamy, należała do rodziny dziś już wymarłej. Z tego to względu stała się własnością publiczną. Żeby jednak nikt z państwa nie ociągał się z nabyciem tak pięknej posiadłości ze względu na jakoweś obawy, że ów tytuł własności jest sporny, zostałem przez władze miejskie upoważniony do oznajmienia, iż nabywca mniejszej nieruchomości uzyska najlepszy tytuł własności: przekazanie wszelkich praw od władz stanowych. Oznajmiam to państwu dlatego, że wiem o szerzących się od dawna plotkach, jakoby żył niejaki Peter Rugg, pierwszy właściciel niniejszej posiadłości. Plotki te, stwierdzam z naciskiem, nie mają i mieć nie mogą żadnych realnych podstaw. Zrodziły się one mniej więcej dwa lata temu z nieprawdopodobnej historii, rozgłaszanej przez niejakiego Jonathana Dunwella rodem z Nowego Jorku. Wywołała to nieporozumienie także pani Croft, której mąż jest tu dziś obecny i wiem, że ma ogromną chrapkę na wspomnianą posiadłość. Lecz zastanówcie się państwo, czy zdarzyło się kiedy, by o nieruchomość jakąś, a tym bardziej nieruchomość tyle wartą, nie upomniał się ktoś przez prawie pół wieku, jeżeli jacyś spadkobiercy, choćby dalecy, istnieli naprawdę. Albowiem nikt nie zaprzecza, że stary Peter Rugg, jeżeliby żył do tej chwili, miałby obecnie co najmniej sto lat. Powiadają ludzie, że on i jego córka z koniem i pojazdem zaginęli gdzieś przed pięćdziesięciu przeszło laty, a ponieważ wcale nie powrócili do domu, więc

zapewne żyć muszą i pewnego dnia przybędą, by dopominać się o swoje. Takie rozumowanie, szanowni państwo, nie prowadzi nigdy do mądrych posunięć finansowych. Niech więc te bajki nie mają najmniejszego wpływu na szlachetne plany oddania tych ruin twórczemu duchowi architektów. Pieniądz, który nie pracuje, zakłóca spokój swego właściciela. Spójrzcie więc na szkic, który macie przed sobą. Oto pół akra ziemi - więcej niż dwadzieścia tysięcy stóp kwadratowych - parcela narożna z ogromnymi możliwościami. To nie ciasna działka, nędzne czterdzieści na pięćdziesiąt stóp, gdzie w czasie kanikuły ledwo można oddychać wśród murów. Tutaj przeciwnie - każdy architekt z zachwytem spoglądać będzie, bo dość tu miejsca, by sobie wymarzyć pałac, który zaćmi świątynię Salomona. Spójrzcie dalej! Tu od wschodu tak blisko do Atlantyku, że sam Neptun obarczony najwyszukańszymi specjałami całego globu, może do waszych drzwi zastukać swym trójzębem. Od zachodu wszystko, co rodzi ta bajeczna rzeka Connecticut, wnet już za pomocą pary, pociągów i kanałów mijać będzie wasze okna. Tak więc, tu właśnie, w tym niejako miejscu, Neptun pojmie za żonę Cererę, a Pomona z Roxbury i Flora z Cambridge tańczyć będą na ich weselu.

Mężowie nauki, dobrego smaku, wy, koryfeusze literatury i sztuki, to dla was jest ta ziemia! Ów człowiek, którego zna cały świat, urodził się na Middle Street, dokładnie naprzeciw tego miejsca. Nie minie wiele czasu, a tutaj, doskonale widoczny z okien domostwa, które w tym miejscu wzniesiecie, wyrośnie pomnik i zadziwi, zachwyci świat cały. Wysoka kolumna wzbije się ku chmurom, a na tej kolumnie wyryte będzie jedno tylko słowo: imię tego, który za życia był opiekunem ubogich, przyjacielem skromnych, i obiektem podziwu królów. Czyż mam

wymienić jego imię? To on ujarzmił piorun, opanował błyskawicę!

Ludzie północnego Bostonu! Czyż muszę apelować do waszego patriotyzmu, by zwiększyć wartość tego kawałka gruntu? Tuż za tym rogiem żył James Otis; tam Samuel Adams; tutaj Joseph Warren, a tam, tuż za tamtym rogiem, Josiah Quincy. To miejsce narodzin Swobody; tu Wolność zrodziła się, tu ją pielęgnowano i tu wzrosła w siły. Tu wyniańczono Niepodległość Ameryki; tu zaczęła się walka o wyzwolenie - i po latach, za tysięcznego pokolenia, miliony ludzi przebywać będą Atlantyk po to tylko, by spojrzeć na tę północną dzielnicę Bostonu. Ojcowie wasi - co mówię - wy sami, tak, widzę wyraźnie, wielu z obecnych tutaj własnymi rękami pomagało kołysać kolebkę Niepodległości! Mężowie roztropni - wy, wiem to dobrze, udzielicie mi swej uwagi, gdy powiem wam, że Boston musi mieć kawałek tego gruntu, by móc rozszerzyć Ann Street. Czy słyszycie mnie? Powtarzam, miasto musi uzyskać duży kawałek tego gruntu, aby rozszerzyć Ann Street. Cóż za wspaniała okazja! - powiecie. Lecz miasto nasze gardzi zabieraniem czyjejs ziemi bez zapłaty. Jeśli zabierze wam część waszej ziemi, będzie szczodre bardziej, niż to sobie najchciwszy wymarzyć potrafi. Najwyżej bać się należy, by ciężar bogactwa nie przygniótł was zbytnio. Wywołujcie więc wasze ceny, nie pozwalając, by imię niejakiego Eugga osłabiło wasz zapał! Po ile więc dajecie za stopę?

To powiedziawszy, licytator z wdziękiem wzniosł nad głowę młotek z kości słoniowej. W pierwszych chwilach podniesiono stawkę z pięćdziesięciu na siedemdziesiąt pięć centów. Potem dolicytowano wolniej już do dziewięćdziesięciu centów. Wreszcie ktoś zaoferował jeden dolar. Licytator wydawał się zadowolony i oznajmił spoglądając na zegarek, że za pięć minut przybije tę

transakcję, o ile nikt nie ofiaruje wyższej ceny.

Przez ten krótki przeciąg czasu cisza panowała zupełna. Wtem, gdy młotek wzniósł się już do góry, nagle uwagę wszystkich zwrócił jakiś dziwny, potężny hałas. A gdy ten odgłos się zbliżał, jedni zaczęli krzyczeć: „Walą się domy przy nowym rynku!”, a inni: „Nie, to trzęsienie ziemi! Przecież ziemia się rusza!”, a jeszcze inni: „Chyba nie, bo ten łoskot się zbliża. Stamtąd, z Hanover Street” i okazało się to prawdą, bo w tej samej chwili znalazł się wśród nas Peter Rugg.

- Biada nam, Jenny! - wykrzyknął. - Jesteśmy nędzarzami. Oto nasz dom spłonął, a wokół ruin zebrali się wszyscy sąsiedzi. Oby tylko się okazało, że matka twoja jest zdrowa i cała.

- Ależ oni nie wyglądają wcale jak nasi sąsiedzi - odparła Jenny. - Tak, to prawda, dom się spalił, nic nie zostało, tylko próg z kamienia i jedna cedrowa belka. Spytaj ich, ojciec, gdzie jest mama!

W tej krótkiej chwili więcej niż tysiąc ludzi otoczyło już pojazd Rugga. Lecz nie on sam ani jego koń czy powóz stanowili ośrodek uwagi tłumu. Wszyscy patrzyli na licytatora, bowiem w ufnej twarzy i pytającym spojrzeniu Rugga było tak wyraźne dla wszystkich stwierdzenie, iż posiadłość do niego należy, że żaden pergamin, żaden dokument opatrzone podpisami i pieczęciami nie byłby bardziej przekonywający. Toteż w jednej chwili z wrażenia wywołanego przez licytatora inie zostało ani śladu i choć ostatnie jego słowa brzmiały: „Nie bójcie się Rugga!”, jednakże w tym samym momencie, gdy spojrzenia tych dwóch ludzi się spotkały, rola licytatora była skończona; ramię opadło, a ruchliwy do niedawna młotek ciężko zwiśł mu w dłoni. O licytacji zapomniano.

Zresztą nie tylko Rugg, koń też dał świadectwo prawdzie.

Zwierzę czuło, że wreszcie wędrówka się skończyła; przeciągnąwszy się potężnie, tak że wyglądał jak półtora konia, Lekkonogi położył łeb na belce cedrowej i zarżał trzykrotnie, aż uprząż na nim drżała od wędzidła po podogonie. Rugg stanął w swym pojeździe i zapytał z naciskiem: - Kto w mojej nieobecności zburzył mój dom? Bo widzę przecież, że nie pożar go strawił. Zapytuję więc, jaki wypadek to spowodował i dlaczego tak wielkie zgromadzenie nie znanych mi osób zastaje tu przed mym progiem? Byłem pewien, że znam w Bostonie każdego, lecz wy wszyscy wydajecie mi się jakąś nową, nie znaną mi generacją, choć zarazem wiele tu twarzy widzę jakby znajomych. Mogę niejednego z was wymienić po nazwisku, mimo że nie przypominam sobie, bym go kiedykolwiek przedtem widział na oczy. Ten tutaj, to na pewno Winslow, tamten to Sargent, tu stoi jakiś Sewall, a obok niego Dudley. Czyż nikt z was nie przemówi do mnie, czy to wszystko znowu złudzenie? Lecz widzę przecież, niewątpliwie widzę tu wiele postaci ludzkich, wiele wpatrzonych we mnie oczu, tylko że wszyscy wydają się pozbawieni głosu, słuchu, nawet możliwości poruszenia się z miejsca. Jakież to dziwne! Czy nikt mi nie powie, kto zburzył mój dom? Wtem przemówił jakiś głos z tłumu, lecz skąd się dobywał, nie zdołałem dojrzeć: -. Nic tu nie jest dziwne prócz ciebie, panie Rugg. Czas, który niszczy i odradza wszystko, rozwiął twój dom i nas tu umieścił. Przez wiele, wiele lat cierpiełeś, otoczony zewsząd złudzeniem. Ta burza, którą niebacznie wyzwałeś w Menotomy, zakończyła się wreszcie, lecz nigdy nie zobaczysz swego domu, bo dom twój, i żona, i sąsiedzi - wszystko to znikło już dawno. Twoja posiadłość istnieje, to prawda, lecz nie ma już twego domu. Wyłączony zostałeś ze swego czasu i nie ma dla ciebie miejsca w naszym pokoleniu. Twój dobytek przepadł i nigdy już

na tym świecie nie będziesz miał domu.

Przełożyła Krystyna Jurasz-Dąmbaska

WASHINGTON Irving

Upiorny narzeczony

Na szczycie jednego ze wzgórz Odenwaldu, dzikiej, romantycznej krainy w górnych Niemczech, znajdującej się niedaleko miejsca, gdzie Men łączy się z Renem, stał przed wielu, wielu laty zamek barona von Landshort. Obecnie obrócił się już w ruinę, schowany - pochowany nieledwie - wśród buków i ciemnych świerków. Jednakże ponad drzewami wciąż jeszcze widzieć można starą wieżę, a ta podobnie jak dawny właściciel, o którym wspominamy, wysoko nasi głowę i z góry spogląda na okolicę.

Baron był suchą gałęzią wielkiego rodu Katzenellenbogen i odziedziczył resztki majątku oraz całą dumę swych pradziadów. Choć wojownicze usposobienie jego przodków uszczupliło bardzo rodzinne dobra, baron nieustannie zabiegał o to, by zachować pozory dawnej wspaniałości. Czasy były spokojne i germańscy wielmoże porzucili na ogół swe niewygodne, stare zamczyska, przycupnięte jak gniazda orle wśród gór, i budowali sobie wygodniejsze rezydencje w dolinach, ale baron pozostał zamknięty dumnie w swej forteczce, z dziedziczną zaciekłością pielęgnując stare rodowe waśnie - żył w niezgodzie z niektórymi spośród najbliższych sąsiadów z powodu sporów, jakie toczyli między sobą ich pradziadowie.

Baron miał tylko jedno dziecko - córkę; ale natura, kiedy daje tylko jedno dziecko, wynagradza to zawsze, czyniąc je fenomenem. I tak też było z córką barona. Wszystkie niańki,

kumy i kuzynki zapewniały barona, że w całych Niemczech nie znaleźć dziewczyny równej jej urodą. No, a kto mógł wiedzieć lepiej niż one? Co więcej, wychowywały ją z wielkim staraniem dwie ciotki, panny, które kiedyś spędziły kilka lat życia na jednym z małych dworów niemieckich i tam posiadały arkana wszelkiej wiedzy, których znajomość niezbędną była dla młodej damy. Pod ich instrukcjami cudownie rozwinęła swe talenty. Nim doszła do lat osiemnastu, umiała haftować nad podziw i przedstawiała na obiciach całe historie świętych, nadając taką siłę ekspresji ich obliczom, że wyglądali jak czyścicowe dusze. Umiała czytać bez wielkich trudności i przesylabizowała kilka legend kościelnych i prawie wszystkie rycerskie cuda „Heldenbuchu”. [Heldenbuch - księga bohaterów. Książka ta, wydrukowana w Niemczech w końcu XV wieku, opisuje czyny niektórych bohaterów, (przyp. aut.)] Poczyła nawet godne uwagi postępy w pisaniu; potrafiła podpisać się nie opuszczając ani jednej literki, a przy tym tak wyraźnie, że jej ciotki nie potrzebowały okularów, by odczytać ten podpis. Celowała w tworzeniu eleganckich, nieprzydatnych na nic kobiecych cacek wszelkiego rodzaju; biegle tańczyła najbardziej skomplikowane tańce współczesne; grała na harfie i gitarze wiele melodii i znała na pamięć wszystkie tkliwe ballady minneliederów. [Minneliederów - pomyłka Irvinga. Powinno być minnesingerów, tj. niemieckich śpiewaków z XIII wieku. Minneliedery to pieśni miłosne minnesingerów.]

Poza tym jej ciotki, jako że za młodych lat wielkie z nich były kokietki i zalotnice, nadawały się wybornie na stróżów niewinności i na surowych cenzorów postępowania bratanicy; nie ma bowiem opiekunki tak nieustępliwie przezornej, tak nieubłaganie przyzwoitej jak zestarzała kokietka.

Rzadko kiedy spuszczały ją z oka; nigdy nie pozwalały wydając się poza granice ziem zamkowych, chyba że pod dobrą opieką, a raczej pod czujną strażą. Musiała nieustannie wysłuchiwać peror na temat przyzwoitości i bezwzględnego posłuchu, a jeśli chodzi o mężczyzn... ach, nauczono ją trzymać się od nich w takim oddaleniu, odnosić się z taką nieufnością, że - jeśli nie otrzymałaby właściwego rozkazu - nie rzuciłaby okiem na najprzystojniejszego kawalera... o nie, choćby nawet konał u jej stóp.

Dobre skutki takiego systemu były widoczne. Panna mogła służyć za wzór uległości i poprawności. Podczas gdy inne trwoniły swe wdzięki w blasku światowego życia i każda dłoń mogła je zerwać i odrzucić, ona zakwitała barwami nieśmiałej, świeżej kobiecości pod opieką tych czystych starych panien, niby pączek róży wśród strzegących go cierni. Ciotki spoglądały na nią z dumą i radosnym uniesieniem, chełpiąc się, że chociażby wszystkie panny całego świata miały zejść na złą drogę, to jednak - Bogu dzięki! - nic takiego nie może się nigdy zdarzyć dziedzicze Katzenellenbogen.

Choć baron von Landshort niebogato wyposażony był w dzieci, rodziny jego bynajmniej nie można zwać małą, gdyż Opatrzność hojnie obdarzyła go ubogimi krewnymi. Każdy z nich z osobna i wszyscy razem odznaczał się czułym usposobieniem, właściwym ubogim krewnym na całym świecie. Niezwykłe byli przywiązani do barona i korzystali z każdej nadarzającej się okazji, by przybywać tu całymi rojami i ożywiać zamczysko. Zaczni ci ludzie celebrowali wszelkie uroczystości rodzinne (na koszt barona), a kiedy wezbrała w nich ochota i wesele, oświadczaali, że na całym świecie nie ma nic rozkoszniejszego nad te rodzinne spotkania - festyny serca.

Baron, choć niepozornej postaci, wielki był duszą, a ta pęczniała z zadowolenia, gdy czuł, że jest największym człowiekiem w całym otaczającym go świecie. Z zamiłowaniem opowiadał długie historie o dawnych rycerzach, których ciemne portrety ponuro patrzyły ze ścian, i nigdzie nie znajdował słuchaczy równie chętnych jak ci, co jedli u jego stołu. Interesowały go niezmiennie wszelkie dziwy i cuda i święcie wierzył w nadprzyrodzone historie, jakie wiążą się z każdą doliną i każdym pagórkiem w Niemczech. Lecz wiara jego gości przewyższała nawet jego własną: każdej cudownej opowieści słuchali z szeroko otwartymi oczami i ustami, a zdumiewali się zawsze - nawet gdy ją powtarzał po raz setny.

Tak oto żył baron von Landshort, wyrocznia u swego stołu, absolutny monarcha na swym małym terytorium, szczęśliwy przede wszystkim dlatego, iż żywił przekonanie, że jest najmędrszym człowiekiem swych czasów.

W chwili gdy rozpoczyna się moja opowieść, na zamku odbywa się wielkie zgromadzenie rodzinne z powodu wydarzenia najwyższej wagi. Oto przyjąć mają przyszłego męża córki barona. Pomiedzy baronem a starym wielmożą z Bawarii toczyły się negocjacje, by przez małżeństwo ich dzieci połączyć splendor dwu domów. Z wielką skrupulatnością przeprowadzono wstępne kroki. Młodzi ludzie zostali zaręczeni nie widząc się wzajem; wyznaczono termin ceremonii ślubnej. Odwołano w tym celu z wojska młodego hrabiego von Altenburg i obecnie był on już w drodze do zamku barona, by połączyć się ze swą oblubienicą. Z Wartburga, gdzie go coś zatrzymało, przysłał wiadomość, zapowiadając dzień i prawdopodobną godzinę swego przyjazdu.

W zamku czyniono gorączkowe przygotowania, aby godnie go

przyjąć. Piękną narzeczoną wystrojono z niezwykłym staraniem. Dwie ciotki czuwały nad jej toaletą i cały poranek klóciły się o każdy szczegół jej stroju. Panna korzystała z tych sprzeczek, aby iść za własnym gustem, a na szczęście miała gust dobry. Bardziej uroczej oblubienicy nie mógłby wymarzyć sobie narzeczonej. Wzruszenie, wywołane oczekiwaniem potęgowało jeszcze blask jej urody.

Rumieniec, oblewający jej twarz i szyję, łagodne falowanie piersi, oczy zatopione w marzeniach - wszystko to zdradzało słodki zamęt, panujący w jej serduszkach. Ciotki nieustannie krążyły wokół niej, gdyż ciotki-panny interesują się zawsze głęboko sprawami tej natury. Nie szczędziły jej świątłych rad, jak ma się sprawować, co mówić, jak witać oczekiwane kochanki.

Baron był niemniej żywo zajęty przygotowaniami. Prawdę mówiąc, nie miał właściwie nic do roboty, ale z natury był ruchliwym i hałaśliwym człowiekiem i nie mógł pozostawać bezczynny, gdy wszyscy wokoło uwijali się w pośpiechu.

Z wyrazem troski na obliczu przemierzał cały zamek od góry do dołu i z dołu do góry; nieustannie odrywał swe sługi od pracy, upominając ich, by pilnie pracowali; brzęczał w każdym hallu i każdej kompanii, tak pracownicy bezczynni i tak naprzykrzający się jak błękitna mucha w ciepły, letni dzień.

Tymczasem zabito już tucznego cielca; po lesie niosły się nawoływania myśliwych; kuchnię wypełniała obfitość wspaniałego jadła; z piwnic wytoczono całe oceany wina reńskiego i importowanego, nawet na wielką bekę z Heidelbergu nałożono kontrybucję. Wszystko przygotowano, aby przyjąć dostojną osobę w duchu prawdziwej niemieckiej gościnności - ale osoba ta opóźniała swe przybycie. Godzina mijała za godziną. Słońce, które do niedawna lało strumień skośnych promieni na

bujny las Odenwaldu, przeświecało już tylko zza szczytów gór. Baron wspiął się na najwyższą wieżę i wyteżył wzrok w nadziei, że dojrzy w oddali hrabiego i jego orszak. Zdawało mu się w pewnej chwili, że ich widzi; z doliny przy płynął dźwięk rogów i zbudził echa w górach. Daleko, w dole ujrzał grupę konnych, powoli nadjeżdżających drogą, ale kiedy zbliżyli się niemal do stóp góry, nagle skręcili w innym kierunku. Ostatni słoneczny promień zgasł... w półmroku latały nietoperze... droga ciemniała coraz bardziej i nie było na niej widać nikogo, tylko czasem jakiś wieśniak włókł się ciężko do domu po pracy.

Gdy w starym zamczysku Landshort panował niepokój wyczekiwania, w innej części Odenwaldu działo się coś niezmiernie interesującego.

Młody hrabia von Altenburg odbywał swą podróż rozsądnym, żółwim krokiem, jakim mężczyzna śpieszy ku małżeństwu, kiedy przyjaciele zdejmują mu z głowy cały kłopot i ryzyko zalotów, a na końcu jego podróży oblubienica czeka na niego tak pewnie, jak obiad. W Wartburgu spotkał wracającego z wojska towarzysza toroni, z którym wspólnie walczył na froncie, młodego Hermana von Starkenfaust, jednego z najdzielniejszych i najsilniejszych rycerzy niemieckich. Zamek jego ojca leżał niedaleko starej fortecy Landshort, jednakże obie rodziny nie znały się i żywiły do siebie wrogie uczucia z powodu odziedziczonej waśni rodowej.

W radosnej chwili spotkania młodzieńcy opowiadali sobie wszystkie swoje przygody, a hrabia rozwodził się na temat zamierzonego małżeństwa z młodą damą, której nigdy nie widział, ale o której urodzie i wdziękach słyszał porywające relacje.

Ponieważ przyjaciele dążyli w tym samym kierunku, zgodzili

się razem odbyć resztę podróży, i - by uniknąć pośpiechu - o wczesnej godzinie wyruszyli z Wartburga. Hrabia polecił przedtem swej drużynie, aby udała się za nim i dogoniła go.

Skracali sobie czas podróży wspomnieniami przygód i wydarzeń wojennych, ale hrabia bywał niekiedy nudnawy, powtarzając to, co słyszał o wdziękach swej oblubienicy, i marząc o szczęściu, jakiego z nią zazna.

Tak więc znaleźli się wśród wzgórz Odenwaldu; przejeżdżali jednym z najbardziej odludnych i najgęściej zalesionych wąwozów. Wiadomo powszechnie, że jak w zamkach germańskich straszyły duchy, tak w lasach grasowali zbójcy, a w owych czasach zbójców była niezmierna obfitość, gdyż hordy rozpuszczonych z wojska żołnierzy wałęsały się po kraju. Nie było więc w tym nic nadzwyczajnego, że z leśnych ostępów wypadła banda owych włóczęgów i rzuciła się na naszych kawalerów. Bronili się mężnie, ale ulegliby w nierównej walce, gdyby drużyna hrabiego nie przybyła na pomoc. Na ich widok zbójcy pierzchli, zadawszy jednak wprzód śmiertelną ranę hrabiemu. Z największą ostrożnością przewieziono go do Wartburga i z sąsiedniego klasztoru wezwano braciszka, który słynął ze sztuki leczenia zarówno ciał, jak ducha, lecz ta pierwsza umiejętność nie, zdała się na nic, gdyż chwile życia nieszczęsnego młodzieńca były już policzone.

Ostatkiem sił błagał przyjaciela, by natychmiast wyruszył do zamku Landshort i zawiadomił, że to śmierć uniemożliwiła mu dotrzymanie słowa i przybycie na spotkanie z oblubienicą. Ten nie najbardziej ognisty z kochanków był jednym z najśłowniejszych ludzi i z przejęciem nalegał, aby jak najspieszniej i najukładniej dopełniono tej misji.

- Dopóki to się nie stanie - rzekł - nie zasnę spokojnie w grobie.

- Powtarzał te słowa ze szczególną powagą. W tych okolicznościach nie można się było wahać ani chwili. Starkenfaust starał się go uspokoić, zapewnił uroczyście, że wiernie wypełni jego życzenie, i podał mu rękę na znak solennej obietnicy. Umierający uściśnął ofiarowaną mu prawicę przyjmując przyrzeczenie, ale potem znów popadł w delirium. Bredził coś o swej narzeczonej, zaręczynach, o danym słowie, kazał podać sobie konia, chcąc jechać do zamku w Landshort, i wyobrażając sobie, że wskakuje na siodło, wyzionął ducha.

Starkenfaust westchnął ciężko i uronił żołnierską łzę nad niewczesnym zgonem towarzysza, a potem zadumał się nad niewdzięcznym zadaniem, jakie na siebie przyjął. Serce miał ciężkie i umysł zatroskany, wypadło mu bowiem stawić się we wrogim domu jako gość nieproszony i mącić wesele jego mieszkańców straszliwą wiadomością. Ale jednocześnie budziła się w nim chęć zobaczenia słynnej piękności z rodu Katzenellenbogen, tak troskliwie ukrywanej przed światem. Był on bowiem wielbicielem płci nadobnej i w charakterze jego leżała przedsiębiorczość, jak również i odrobina ekscentryczności, z czego wypływało zamiłowanie do wielkich, osobliwych przygód.

Przed wyjazdem ułożył się z bractwem zakonnym co do uroczystości pogrzebowych przyjaciela. Miał on być pochowany w katedrze w Wartburgu, gdzie spoczywało już kilku jego wielkich przodków. Orszak hrabiego objął straż przy jego śmiertelnych szczątkach.

Czas już najwyższy powrócić do starożytnej rodziny Katzenellenbogen, która z wielką niecierpliwością wyglądała gościa, a z jeszcze większą obiadu. Czas też najwyższy powrócić do naszego zacnego barona, który, gdyśmy się z nim rozstawali,

zażywał wieczornego chłodu na wieży zamkowej.

Noc już zapadła, lecz gość się nie zjawił. Baron w rozpaczy zszedł z wieży. Niepodobna już było odkładać bankietu, przesuwanego wciąż z godziny na godzinę. Mięsiwa były już niemal spalone, kucharze padali z nóg, a domownicy wyglądali jak wygłodzona załoga oblężonej twierdzy. Baron więc, acz z niechęcią, wydał dyspozycje, by podano potrawy nie czekając na gości. Wszyscy zgromadzili się już u stołu i rozpoczęto ucztę, kiedy odgłos rogu zza bramy obwieścił czyjeś przybycie. Odezwał się raz jeszcze, długo, przeciągle. Zawtórowały mu echem podwórce starego zamczyska i odpowiedział strażnik z murów. Baron pośpieszył na spotkanie swemu przyszłemu zięciowi.

Spuszczono już most zwodzony; nieznajomy stał przed bramą. Był to wysoki, postawny młodzieniec na czarnym rumaku. Twarz miał bladą z wyrazem spokojnej melancholii i romantyczne, płonące oczy. Dotknęło barona, że przybył tak skromnie, sam jeden. Przez chwilę urażona duma kazała mu uznać to za brak poszanowania dla uroczystego momentu i godności rodziny, z którą miał wejść w koligacje. Uspokoił się jednak, gdy przyszło mu na myśl, że zapewne młodzieńcza niecierpliwość kazała mu popędzić konia i wyprzedzić swą drużynę.

- Przepraszam - rzekł nieznajomy - że o tak niewłaściwej porze...

Lecz baron zalał go potokiem dwornych słów powitania, bo, prawdę mówiąc, szczyił się swą uprzejmością i elokwencją. Parę razy młodzieniec usiłował mu przerwać, ale na próżno. Skłonił więc głowę i pozwolił jego wymowie płynąć bez przeszkód. Doszli do wewnętrznego dziedzińca zamkowego, nim baron skończył powitanie. Młodzieniec znowu chciał coś rzec, ale przeszkodziło mu pojawienie się orszaku kobiet, które

prowadziły zarumienioną, opierającą się pannę młodą. Patrzył na nią przez chwilę jak urzeczony, zdawało się, że cała jego dusza wypłynęła w tym spojrzeniu i spoczęła na uroczej postaci. Jedna z ciotek szepnęła jej coś na ucho, widać było, że oblubienica czyni wysiłek, by przemówić, nieśmiało podniosła powieki błękitnych oczu, rzuciła krótkie, badawcze spojrzenie na nieznanego i natychmiast wbiła wzrok w ziemię. Nie powiedziała nic, ale słodki uśmiech wygiął jej wargi, świadcząc, że nie doznała zawodu. Niepodobna zresztą wyobrazić sobie, aby dziewczynie w czarownej, osiemnastej wiosnie życia, wyczekującej miłości i małżeństwa, mógł nie przypaść do serca tak piękny kawaler.

Późna pora przyjazdu gościa nie pozwoliła nawet na chwilę rozmowy. Baron z całą stanowczością odłożył do rana wszelkie szczegółowe wyjaśnienia i powiódł gościa na bankiet, który odbywał się w wielkiej sieni zamkowej.

Na ścianach wisiały szerniałe portrety bohaterskich antenatów barona oraz trofea, zdobyte przez nich na wojnie i na łowach. Pocięte pancerze, popękane włócznie, podarte chorągwie widniały obok łupów leśnych wypraw. Spomiędzy kusz i toporów wojennych połyskiwały straszliwe szczęki wilka, kły dzika, a wprost nad głową młodego oblubieńca wychylała się para ogromnych rogów jelenich.

Nasz kawaler niewiele uwagi poświęcał towarzystwu i biesiadzie. Zaledwie pokosztował uczy; wydawał się całkowicie zatopiony w podziwianiu swej oblubienicy. Mówił do niej ściszym tonem, tak że słowa jego nie dobiegały do uszu sąsiadów, język miłości bowiem nigdy nie bywa głośny. Ale czy jest na świecie dziewczyna lub kobieta o tak tępym słuchu, by nie doleciał do niej najcichszy szept kochanka? Zdawało się, że

powaga i czułość zarazem bijące z jego zachowania robiły ogromne wrażenie na młodej damie. Kiedy słuchała w głębokim skupieniu, rumieniec i bladość na przemian okrywały jej policzki. Od czasu do czasu rzucała nieśmiało jakąś odpowiedź, a kiedy młodzieniec odrywał od niej wzrok, wtedy długo spod oka spoglądała na jego romantyczną postać, wydając łagodne westchnienia cichego szczęścia. „Widocznym było, że młoda para zakochała się w sobie bez pamięci. Ciotki, znające się doskonale na tajemnicach serca, orzekły, że to miłość od pierwszego wejrzenia.

Bankiet przebiegał wesoło, a w każdym razie hucznie, gdyż wszyscy goście poszczycić się mogli ogromnym apetytem, jakim niezawodnie darzy lekka kiesa i górskie powietrze. Baron zabawiał obecnych swymi najlepszymi i najdłuższymi historyjkami, a nigdy przedtem nie udało mu się opowiedzieć ich tak dobrze i wywołać tak wielkiego wrażenia. Jeśli była to opowieść o czymś niezwykłym - słuchacze nie mieli z podziwu, a jeśli zabawna - śmieli się zawsze w odpowiednim miejscu. Baron co prawda, jak większość wielkich ludzi, był tak poważny i godny, że jeśli powiedział jakiś dowcip, to na pewno ciężki, choć i na to musiał wychylić puchar wspaniałego hochmeinerja. Jednak dowcip, nawet ciężki, ale wypowiedziany u własnego stołu, zakropiony pysznym, starym winem, ma siłę nieodpartą. Wiele doskonałych anegdot padło również z ust krewnych uboższych fortuną i polotem, lecz facecje te nie zniosłyby powtórzenia, chyba że w podobnej sytuacji. W uszka kobiet szeptano wiele chytrych słówek, po których słuchaczki dławili się od tłumionego śmiechu, a parę piosnek, jakie zaśpiewał, a raczej zaryczał, biedny, lecz wesoły kuzyn barona, zmusiło ciotki do skrycia twarzy za wachlarzem.

Osobliwy gość zachował wśród tej wesołej uczyty szczególną jakąś powagę - zupełnie nie na miejscu. W miarę upływu godzin twarz jego przybierała wyraz coraz głębszego frasunku, i choć to może się wydać dziwne, nawet żarty barona zdały się budzić w nim tylko melancholię. Chwilami pogrążał się w zadumie, chwilami znów niespokojnie błędził wokół spojrzeniem, które zdradzało jakąś troskę. Jego rozmowy z narzeczoną stawały się coraz poważniejsze i coraz bardziej tajemnicze. Na jej pięknym, jasnym czole zdawały się gromadzić chmury, a delikatną postać przebiegało drżenie.

Wszystko to nie mogło ujść uwagi kompanii. Niezrozumiały smutek narzeczonego mroził ich wesołość, więcej - udzielał się im. Wymieniali ze sobą szepty i spojrzenia, wzruszali ramionami, powątpiewająco potrząsali głowami. Coraz rzadziej rozbrzmiewała pieśń, coraz rzadziej dawał się słyszeć śmiech, milkły rozmowy, a potem zaczynano snuć straszliwe opowieści i przypominać legendy o nadprzyrodzonych zjawiskach. Jedna okropna historia wywoływała drugą jeszcze okropniejszą, a baron tak przeraził pewną damę, że omal nie wpadła w histerię, gdy opowiadał o upiornym jeźdźcu, który porwał piękną Leonorę. Ta niesamowita opowieść została później spisana wspaniałym wierszem i teraz czyta ją i wierzy w nią cały świat.

Narzeczonego słuchał tej opowieści z głęboką uwagą. Nie spuszczał oczu z barona, a kiedy opowieść dobiegała końca, zaczął powoli podnosić się z krzesła. Stawał się coraz wyższy i wyższy, aż w pół przytomnym oczom barona wydał się olbrzymem. Gdy baron skończył opowiadać, narzeczonego wydał ciężkie westchnienie i uroczyście pożegnał się z towarzystwem. Zapanowało zdumienie. Baron był jak rażony gromem.

Co? Chce opuścić zamek w nocy? Dlaczego? Przecież na zamku

gotowe wszystko na jego przyjęcie. Jeśli chce odpocząć, niech idzie do komnaty, którą dla niego przygotowano. Gość ponuro i tajemniczo potrząsnął głową. - Dzisiejszej nocy w innej komnacie złożyć muszę głowę! Coś w jego odpowiedzi i w tonie głosu sprawiło, że w baronie serce niemal zamarło. Zebrał wszystkie siły ducha i ponowił gościnne nalegania.

Gość w milczeniu, lecz zdecydowanie potrząsał głową po każdej propozycji gospodarza i machając ręką na pożegnanie, powoli wyszedł z hallu. Ciotki dosłownie skamieniały, narzeczona zwiesiła głowę, łza napłynęła jej do oczu.

Baron podążył za swym gościem na wielki podwórzec zamkowy, gdzie czarny rumak grzebał kopytem ziemię i parskał z niecierpliwości. Kiedy doszli do bramy, której głęboka wnęka słabo była oświetlona blaskiem pochodni, gość zatrzymał się i przemówił grobowym głosem, któremu sklepienie mury nadawały jeszcze bardziej głębokie brzmienie.

- Teraz, kiedy jesteśmy sami - rzekł - czas wyjawić powód mego wyjazdu. Mam naznaczone spotkanie, którego nie da się odłożyć...

- Ale dlaczego - przerwał baron - nie możesz posłać kogoś w zastępstwie?

- Nie może być zastępcy... muszę przyjść osobiście... muszę jechać do katedry w Wartburgu...

- Ach, tak - odparł baron, zdobywając się na odwagę - ale dopiero jutro. Jutro zawieziesz tam swoją narzeczoną.

- Nie, nie - odparł nieznajomy, jeszcze bardziej uroczyście - nie jadę spotkać się z narzeczoną... Robaki... robaki mnie oczekują. Jestem umarły! Zabili mnie zbrojcy... ciało moje spoczywa w katedrze... O północy mają mnie pochować... Grób na mnie czeka... Muszę się stawić, muszę się stawić.

Skoczył na rumaka, przemknął po moście - tętent kopyt rozpląnął się w poświście nocnej wichury.

W najwyższej konsternacji powrócił baron do sieni i zdał sprawę z tego, co zaszło. Dwie panie z miejsca zemdlały, innym zrobiło się niedobrze na myśl, że ucztowały z upiorem. Niektórzy sądzili, że to musiał być leśny strzelec, sławiony przez niemieckie legendy. Niektórzy wspominali o duchach gór, o leśnych demonach i innych nadprzyrodzonych istotach, które od niepamiętnych czasów dręczą lud Germanii. Jeden z biednych krewnych ośmielił się napomknąć, że może temu młodemu kawalerowi zachciało się po prostu spłatać figła, bo tak ponury dowcip licowałały doskonale z tą ponurą osobą. Słowa te wywołały oburzenie całego towarzystwa, a zwłaszcza barona, który spojrzał na mówiącego jak na heretyka, tak że tamtemu pozostało tylko odwołać jak najspieszniej swą herezję i powrócić na łono prawdziwej wiary.

Ale następnego dnia kres tym wszystkim wątpliwościom położyło przybycie wysłańców, którzy potwierdzili wiadomość o zamordowaniu młodego hrabiego i o jego pogrzebie w wartburskiej katedrze.

Łatwo można sobie wyobrazić przerażenie na zamku. Baron zamknął się w swej komnacie. Goście, którzy przybyli, by dzielić z nim jego radość, nie mogli nawet pomyśleć o tym, by go opuścić w nieszczęściu. Chodzili po zamku albo zbierali się grupkami w hallu, potrząsając głowami lub wzruszając ramionami nad nieszczęściem tak zacnego człowieka. I dłużej niż zwykle przesiadywali przy stole, więcej niż zwykle pili i jedli, chcąc pokrzepić ducha w tym zmartwieniu. Ale najżałośniejszą była dola owdowiałej panny młodej. Stracić męża, nim go nawet objęła w uścisku! I to takiego męża! Skoro upiór był tak

szlachetny i pełen wdzięku, czymże musiał być żyjący człowiek! Po całym zamku rozbrzmiewały jej lamenty.

„Wieczorem drugiego dnia swego wdowieństwa udała się na spoczynek do sypialni w towarzystwie jednej z ciotek, która nie chciała pozostawić jej samej na noc. Ciotce tej mało kto w całej Germanii mógł sprostać w opowiadaniu historii o duchach. Owego wieczoru zabrała się do najdłuższej z całego swego repertuaru i... zasnęła w trakcie opowiadania. Komnata znajdowała się z dala od innych, a jej okna wychodziły na niewielki ogród. Dziewczyna w zadumie patrzyła na promienie księżycowe, drżące na liściach osiki przed jej oknem. Zegar zamkowy wydzwonił właśnie północ, kiedy z ogrodu dobiegły ją ciche tony muzyki. Zerwała się z łóżka i cicho podeszła do okna. Wśród cieni drzew stał ktoś wysoki, a kiedy podniósł głowę, promień księżycy oświetlił twarz. O nieba! to Upiorny Narzeczony! W tym momencie ciszę rozdarł przeraźliwy krzyk i w ramiona jej padła ciotka, która, zbudzona muzyką, podeszła do okna. Kiedy spojrzała ponownie w ogród, widma już nie było. Z dwu kobiet ciotka bardziej potrzebowała pomocy, gdyż z przerażenia dosłownie odchodziła od zmysłów. Co zaś się tyczy panny, to widok choćby tylko widma jej kochanka mile ją wzruszył. Tkwił w nim wciąż jeszcze urok pięknego młodzieńca, a choć cień człowieka nie zdoła zaspokoić uczuć spragnionej miłości dziewczyny, to jednak w braku rzeczywistej osoby nawet to stanowi pewną pociechę.

Ciotka oznajmiła, że nigdy więcej nie będzie spała w tym pokoju, a bratanica była w tym wypadku przeciwnego zdania i równie stanowczo oświadczyła, że nie będzie spała w żadnej innej komnacie. W rezultacie więc miała spać sama. Wymogła na ciotce przyrzeczenie, że nie będzie rozpowiadać tej historii, co

pozbawiłoby pannę jedynej smutnej przyjemności, jaka jej jeszcze pozostała na tej ziemi, a mianowicie mieszkania w pokoju, nad którym opiekuńczy cień jej ukochanego trzymał co noc straż.

Nie wiadomo, jak długo zacna stara panna zdołałaby dochować obietnicy, z upodobaniem bowiem rozprawiała o rzeczach cudownych, a co to za triumf pierwszej opowiadać jakąś straszną historię. Wciąż jeszcze podaje się w sąsiedztwie jako pamiętny przykład kobiecej dyskrecji, że dochowała tajemnicy przez cały tydzień, a potem nagle przestało to już być potrzebne, gdyż pewnego poranku dowiedzieli się wszyscy podczas śniadania, że młoda panna zniknęła. Jej pokój był pusty, łóżko nie tknięte, okno otwarte, a ptaszek - wyfrunął.

Zdumienie i troskę, z jaką przyjęto tę wiadomość, mogą sobie wyobrazić tylko ci, którym zdarzyło się kiedyś być świadkami poruszenia, jakie nieszczęście wielkiego człowieka wywołuje wśród jego przyjaciół. Kiedy ciotka, którą ta niespodziewana wiadomość pozbawiła na chwilę mowy, załamała ręce i wrzasnęła: „Upiór! Upiór ją porwał!”, wtedy nawet ubodzy krewni przerwali na chwilę swe mozoły przy misie.

Ciotka w paru słowach przedstawiła okropną scenę, jaką oglądała w ogrodzie i zakończyła opowiadanie wnioskiem, że to upiór narzeczonego porwał swą oblubienicę. To straszliwe przypuszczenie wydało się wszystkim obecnym bardzo prawdopodobne, ponieważ takie wypadki zdarzały się w Niemczech niezmiernie często, o czym świadczy wiele wiarygodnych kronik.

W jakiejż opłakanej sytuacji znalazł się biedny baron. Serce kochającego ojca i członka wielkiego rodu Katzenellenbogen pękało z bólu wobec dylematu, jaki przed nim stanął. Jego jedyna

córka została porwana przez upiora do grobu albo też będzie miał za zięcia jakiegoś leśnego demona i być może całą gromadkę gnomów za wnuki. Zamęt zapanował w jego sercu i w jego zamku. Rozesłał konnych, by przeszukali każdą drogę, każdą ścieżkę, każdą dolinę Odenwaldu. Wciągnął buty, przypasał miecz i miał już dosiąść konia, by udać się samemu na niepewne poszukiwania, gdy przeszkodziło mu w tym niespodziane pojawienie się jakichś przybyszów. Ujrzano zbliżającą się do zamku damę na rumaku, w towarzystwie jeźdźca. Galopem podjechała do bramy, zeskoczyła z konia, padła do nóg barona i objęła jego kolana. To utracona córka i Upiorny Narzeczony! Baron popatrzył na córkę, potem na widmo - własnym oczom nie wierzył. A i wygląd narzeczonego poprawił się znacznie od czasu jego wyprawy w świat duchów. Wspaniały strój podkreślał piękno jego męskiej postaci. Nie był już blady ani smutny. W pięknej twarzy płonął żar młodości, z wielkich, czarnych oczu tryskała radość.

Wkrótce wyjaśniła się zagadka. Młodzieniec (bo przecież domyślcie się chyba wszyscy, że nie był to żaden upiór!) przedstawił się jako Herman von Starckenfaust. Opowiedział o swym spotkaniu z młodym hrabią, o tym, jak śpieszył do zamku jako zwiastun niepożądanego nowiny, i jak elokwencja barona udaremniała mu wszelkie próby oznajmienia o tym, co zaszło.

Powiedział, że panna młoda oczarowała go z miejsca i chcąc przepędzić choć parę godzin w jej towarzystwie, nie wyprowadził ich z błędu. Że biedził się nad tym, jak się wycofać z honorem, aż barona opowieści o duchach podsunęły mu pomysł niezwyklego pożegnania. Że obawiając się zadawnionej wrogości dwóch rodzin, powtarzał swe wizyty ukradkiem, nawiedzał ogród; wyczekując pod oknem panny i starając się zdobyć jej

miłość.. Wreszcie zdobył ją, uniósł w triumfie uwielbianą i poślubił.

We wszystkich innych okolicznościach baron pozostałby nieugięty, bardzo bowiem był czuły, gdy w grę wchodził autorytet ojcowski i ze świętym uporem prowadził rodowe waśnie. Stary baron kochał jednak córkę, a opłakawszy jej stratę, ucieszył się” że odnalazł ją żywą i chociaż jej mąż należał do wrogiego rodu” przecie, Bogu dzięki, nie był upiorem. Trzeba wprawdzie przyznać, że w figlu, jaki mu spletał rycerz, podając się za ducha, było coś, co niezupełnie godziło się z jego pojęciem prawdomówności, ale kilku przyjaciół barona, obecnych w tym momencie, zapewniło go, że w miłości wszelkie fortele są dopuszczalne, i że kawaler zasługuje na specjalne przywileje, ponieważ ostatnio służył w wojsku.

Tak więc sprawy ułożyły się pomyślnie. Baron od razu przebaczył młodej parze. Wesele na zamku rozpoczęło się na nowo. Ubodzy krewni podbijali nowego członka rodziny serdeczną miłością, był to bowiem tak rycerski kawaler, tak szlachetny i... tak bogaty! Ciotki, to prawda, były trochę urażone, że ich system surowego odosobnienia i bezwzględного posłuszeństwa wydał takie złe owoce, ale przypisały to wszystko temu, że zapomniały okratować okna. Jedną z nich szczególnie dręczyło to, że jej cudowna opowieść została zniweczona i że jedyny upiór, jakiego kiedykolwiek widziała, nie był prawdziwym upiorem. Bratanica jednakże wydawała się bardzo zadowolona z tego, że okazał się młodzieńcem z krwi i kości - i na tym koniec naszej opowieści.

Przełożyła Aldona Szpakowska

EDWARD GEORGE EARLE
BULWER-LYTTON

Duchy i ludzie

Mój przyjaciel, literat i filozof, powiedział mi kiedyś pół żartem, pół serio: - Wyobraź sobie, ostatnio odkryłem dom, w którym straszy, i to w samym centrum Londynu.

- Naprawdę straszy? A co... duchy?

- Niestety nie mogę na to odpowiedzieć. Wiem tylko, że sześć tygodni temu wybrałem się z żoną na poszukiwanie pokojów umeblowanych. Przechodząc cichą uliczką zobaczyliśmy w oknie jednego z domów ogłoszenie: „Pokoje umeblowane”. Ponieważ dzielnica nam odpowiadała, obejrzelśmy mieszkanie i - zapłaciwszy za tydzień z góry - opuściliśmy je po trzech dniach. Żadna ludzka siła nie byłaby w stanie nakłonić mojej żony, by została tam dłużej. I wcale się nie dziwię.

- Coście zobaczyli?

- Wybacz, nie chciałbym, żeby mnie wyśmiano za przesady czy przywidzenia, a z drugiej strony nie mogę wymagać, byś tylko na podstawie moich zapewnień uwierzył w coś, czemu jedynie twoje własne zmysły mogą dać wiarygodne świadectwo.

Powiem tyle, że wyгнаło nas stamtąd wcale nie to, cośmy słyszeli albo widzieli (mógłbyś pomyśleć, żeśmy padli ofiarą własnej podnieconej wyobraźni czy też złośliwego żartu), lecz jakiś nieokreślony strach, który chwycił nas oboje, ilekroć przekraczaliśmy drzwi pewnego nie umeblowanego pokoju, gdzie nie było nic widać ani słyszać.

Najdziwniejsze w tym wszystkim było jednak to, że po raz pierwszy w życiu zgodziłem się z żoną - nigdy nie grzeszyła rozumem - i przyznałem po przespaniu trzech nocy, że nie sposób spędzić tu następnej. Czwartego dnia rano wezwałem więc kobietę, która pilnowała domu i usługiwała nam, oświadczając, że nie jesteśmy zadowoleni z mieszkania i w związku z tym wyprowadzamy się przed upływem tygodnia.

Odparła sucho: „Ja wiem dlaczego; i tak byliście dłużej niż inni. Niewielu przed wami zgodziło się przespać tu drugą noc, a nie widziałam takiego, co by został na trzecią. Widocznie były dla was szczególnie łaskawe”.

„Były? Kto?” - spytałem z wymuszonym uśmiechem.

„No, te, co straszą w tym domu, obojętne, kim są. Mnie one nie przeszkadzają. Pamiętam je sprzed lat, kiedy mieszkałam tu nie jako służąca. Wiem, że mi kiedyś przyniosą śmierć. Zresztą wszystko jedno... jestem stara i tak wkrótce umrę. Wtedy połączę się z nimi... ale w tym domu”.

Kobieta mówiła z takim ponurym spokojem, że zdumienie nie pozwoliło mi dalej prowadzić rozmowy. Zapłaciliśmy za tydzień - szczęśliwi, że nas to tak tanio kosztowało.

- Podniecasz moją ciekawość - rzekłem. - Moim największym marzeniem jest spędzić noc z duchami. Proszę cię, podaj mi adres domu, który opuściłeś tak sromotnie.

Przyjaciel wręczył mi adres i ledwo się rozstaliśmy, pospieszyłem we wskazanym kierunku.

Dom leżał po północnej stronie Oxford Street, w cichym, ale przyzwoicie wyglądającym zaułku. Był zamknięty, w oknie ani śladu ogłoszenia; nikt też nie odpowiedział na moje pukanie. Kiedy zbierałem się do odejścia, zagadnął mnie chłopiec z piwiarni: - Czy chciał się pan widzieć z kimś z tego domu?

- Tak, słyszałem, że jest do wynajęcia.

- Do wynajęcia! Niestety, staruszka, która tu mieszkała, już nie żyje. Umarła trzy tygodnie temu i nie mogą znaleźć nikogo, kto by tu został, chociaż pan J... tyle daje. Kobiecie, co u niego sprzątała, zaproponował funta tygodniowo za samo tylko otwieranie i zamykanie okien. I to nie chciała.

- Nie chciała? Dlaczego?

- W tym domu straszy; staruszkę, która go pilnowała, znaleźli martwą w jej własnym łóżku. Z szeroko otwartymi oczami. Powiadają, że ją diabeł zadusił.

- Mówiłeś o jakimś panu J... Czy to właściciel domu?

- Tak.

- Gdzie mieszka?

- Na ulicy G... pod numerem...

- Co robi? Prowadzi jakieś interesy?

- Nie, nic takiego. Po prostu samotny człowiek.

Wsunąłem chłopcu w rękę napiwek za wyczerpującą informację i udałem się na ulicę G... leżącą w pobliżu nawiedzanego domu. Szczęśliwie zastałem pana J... w mieszkaniu. Był to starszy człowiek o inteligentnej twarzy i ujmującym sposobie bycia. Przedstawiłem się i od razu wyłuszczyłem cel swojej wizyty. Powiedziałem, że doszły mnie słuchy, jakoby w tamtym domu straszyło, że chciałbym obejrzeć dokładnie miejsce ciesząc się tak osobliwą reputacją i że byłbym zobowiązany, gdyby zechciał wynająć mi dom choćby na jedną noc. Wyraziłem też gotowość zapłacenia za to sumy, którą wymieni.

- Szanowny panie - odparł pan J... niezwykle uprzejmie - dom jest do pańskiej dyspozycji na tak długo lub na tak krótko, jak tylko pan sobie życzy. O czynszu mowy być nie może, a cała

korzyść będzie po mojej stronie, gdy wykryje pan przyczyny dziwnych zjawisk, które w tej chwili pozbawiają ten budynek wszelkiej wartości. Nie mogę go wynająć chociażby dlatego, że nie sposób znaleźć kogoś, kto by zechciał utrzymywać go w porządku i otwierać drzwi. Niestety, w domu tym straszy, jeśli można się tak wyrazić, i to nie tylko w nocy, ale i w dzień. Nocą jednak te zjawiska są dużo bardziej przykre i niepokojące. Staruszka, która zmarła trzy tygodnie temu, była ubogą wziętą z przytułku. Moja rodzina знаła ją od dziecka, kiedyś nawet powodziło jej się tak dobrze, że dzierżawiła ten dom od mojego wuja. Była to kobieta wysoce wykształcona i światłego umysłu - jedyna osoba, jaką udało mi się nakłonić do zamieszkania w tym domu. I rzeczywiście po jej niespodziewanej śmierci i po wizycie koronera miejsce to nabrało tak przykrego rozgłosu, że mimo rozpaczliwych starań nie potrafiłem znaleźć dozorca, a tym bardziej dzierżawcy; chętnie przeto wynajmę dom na rok bez żadnego czynszu każdemu, kto tylko zgodzi się płacić podatki.

- Jak długo już dom ten cieszy się taką opinią?

- Wie pan, trudno powiedzieć, w każdym razie od wielu lat. Staruszka, o której wspomniałem, twierdziła, że kiedy go odnajmowała, już w nim straszyło. Ja, prawdę mówiąc, spędziłem życie w Indiach, w służbie Kompanii Wschodnio-Indyjskiej. Do Anglii wróciłem w zeszłym roku, odziedziczywszy majątek po wuju. Wśród nieruchomości był ten właśnie dom, zamknięty i pusty. Mówiono, że w nim straszy i że nikt tam nie chce zamieszkać, ale uśmiechałem się na to tylko jak na głupie plotki. Włożyłem w remont sporo pieniędzy, uzupełniłem staroświeckie umeblowanie kilkoma nowoczesnymi rzeczami, dałem ogłoszenie i znalazłem lokatora na rok.

Był to emerytowany pułkownik. Sprowadził się z rodziną -

córką i synem - oraz służbą. Opuścili dom nazajutrz i chociaż każdy z nich twierdził, że widział coś zupełnie innego niż pozostali, wszystkim wspólny był lęk przed czymś strasznym. Sumienie nie pozwalało mi dochodzić swego ani potępiać pułkownika za zerwanie umowy.

Wtedy osadziłem tam ową staruszkę, upoważnioną do wynajmowania pojedynczych apartamencików. Niestety, nie miałem lokatora dłużej niż trzy doby. Nie chcę panu opowiadać tych wszystkich historii. Dość na tym, że nie było dwóch ludzi, którzy by doznali tego samego. Zresztą lepiej, żeby się pan sam przekonał, zamiast wprowadzać się pod wrażeniem jakichś opowieści. Musi pan być przygotowany, że zobaczy i usłyszy pan to i owo. Co do środków ostrożności - pozostawiam je pańskiej decyzji.

- A pan nie próbował nigdy spędzić tam nocy? - zapytałem.

- Oczywiście... wprawdzie nie noc, ale trzy godziny przy pełnym świetle dziennym... sam w całym domu. Muszę przyznać, że ciekawość moja została nie tyle zaspokojona, co raczej ugaszona. Nie chciałbym powtórzyć tego doświadczenia. Nie może pan chyba narzekać na brak szczerości z mojej strony. I uczciwie ostrzegam: o ile pana zainteresowanie nie jest szaleńczo silne, a nerwy niezwykle wytrzymałe - niech pan nie spędza nocy w tym domu.

- Moje zainteresowanie jest szaleńczo silne - odparłem - i chociaż tylko tchórz może się chwalić, że w żadnej sytuacji nerwy go nie zawiodą, to jednak muszę stwierdzić: moje nerwy przeszły tyle i tak różnorodnych prób, iż mogę na nich polegać - nawet jeśli chodzi o dom, w którym straszy.

Pan J... niewiele już mówił; wyjął z biurka i wręczył mi klucze. Dziękując mu serdecznie za szczerość i zgodę uniosłem swoją

zdobycz.

Natychmiast po przyjsciu do domu, szalenie zniecierpliwiony, wezwałem zaufanego sługę, młodego człowieka o niezwykle wesołym usposobieniu i niezrównanej odwadze, a poza tym całkowicie wolnego od jakichkolwiek przesądów.

- F... - powiedziałem - czy pamiętasz, jak bardzo zawiedliśmy się w czasie naszego pobytu w Niemczech, nie znalazłszy żadnego ducha w tym zamku, o którym mówiono, że jest nawiedzany przez postać bez głowy? Wyobraź sobie, słyszałem o pewnym domu w Londynie, gdzie - mam poważne powody tak sądzić - straszy nie na żarty. Zamierzam spędzić tam dzisiejszą noc. Z tego, co mówiono, niewątpliwie coś daje się widzieć albo słyszeć - coś, być może, bardzo straszego. Czy, gdybym cię wziął ze sobą, będę mógł zawsze polegać na twojej przytomności umysłu?

- O panie, proszę mi zaufać - odparł F... szczerząc zęby z zadowolenia.

- Dobrze, oto klucze od tego domu, a tu adres. Idź zaraz, wybierz dla mnie jakąś sypialnię, a ponieważ dom był nie zamieszkanym przez całe tygodnie, rozpal porządny ogień, wywietrz pościel i oczywiście postaraj się o świece i opał. Weź mój rewolwer i sztylet. Sam też się zabezpiecz nie gorzej; jeśli nie będziemy w stanie stawić czoła choćby tuzinowi duchów - jesteśmy do niczego.

Przez resztę dnia pochłaniały mnie sprawy tak ważne, że nie zdążyłem nawet pomyśleć o nocnej przygodzie, w której stawką miał być mój honor. Zjadłem obiad sam, i to dosyć późno, czytając przy tym jak zwykle. Wybrałem tom eseju Macaulaya. Przyszło mi do głowy, że mógłbym wziąć książkę ze sobą - tak jędrny był styl i tak rzeczowe ujęcie tematów. Doskonale

antidotum na podnieconą wyobraźnię.

Zgodnie z planem około wpół do dziesiątej wsadziłem książkę do kieszeni i leniwie powlokłem się w stronę nawiedzanego przez duchy domostwa. Zabrałem też mego ulubionego psa, niezwykle czujnego i odważnego bulteriera, który lubił nocami węszyć po nie znanych mrocznych zakamarkach i zaułkach w pogoni za szczurami - jednym słowem, wymarzonego psa na duchy.

Była letnia, ale chłodna noc; niebo trochę mgliste i zaciągnięte chmurami. Mimo to przeglądał księżyc, słaby i jakby wymokły, lecz zawsze księżyc, obiecując - jeśli chmury ustąpią - przejaśnienie po północy.

Zapukałem wreszcie do drzwi; służący otworzył mi z wesołym uśmiechem.

- Wszystko w jak najlepszym porządku, proszę pana, i bardzo wygodnie.

- Taak? - powiedziałem z nutą rozczarowania. - I nie widziałeś ani nie słyszałeś nic osobliwego?

- Właściwie muszę przyznać, że słyszałem coś dziwnego.

- Co to było?

- Odgłos kroków za moimi plecami i raz czy dwa jakiś szmer koło ucha, coś jakby szept - i nic więcej.

- No i cóż, masz stracha?

- Ani trochę.

Śmiałe spojrzenie młodzieńca upewniło mnie raz jeszcze, że bez względu na to, co się stanie, nigdy mnie nie opuści.

Staliśmy w hallu. Drzwi od ulicy były zamknięte. Zwróciłem teraz uwagę na psa: w pierwszej chwili wbiegł ochoczo do środka, ale natychmiast przyczołgał się z powrotem do drzwi, skrobiąc i skomlać, żeby go wypuścić. Pogłaskałem go po głowie i

dodałem mu odwagi, pies więc pozornie pogodzony z sytuacją podążył za nami. Zamiast jednak spieszyć przodem i węszyć, jak zwykle na nowym miejscu - trzymał się cały czas mojej nogi.

Najpierw zwiedziliśmy sutereny, gdzie mieściła się kuchnia i piwnice. W ostatniej znaleźliśmy parę butelek wina. Stały w skrzynce, osnute pajęczynami, nie ruszane od lat. Najwyraźniej duchy nie były moczymordami. Poza tym nie natrafiliśmy na nic ciekawego. Z tyłu domostwa leżało małe, mroczne podwórko, otoczone bardzo wysokimi murami. Bruk tu obrósł mchem, płyty pokryła wilgoć i kurz; idąc zostawialiśmy niewyraźne ślady.

I oto po raz pierwszy stałem się naocznym świadkiem przedziwnego zjawiska w tym osobliwym przybytku. Nagle tuż przed sobą zobaczyłem, jak odciska się ślad ludzkiej stopy. Przystanąłem, chwyciłem mego sługę za ramię. Jednocześnie, równie nagle jak pierwszy, ale nieco przed nim, powstał drugi ślad. Podszedłem szybko do tego miejsca. Niewidzialna stopa w dalszym ciągu pozostawiała małe, dziecinne ślady. Były zbyt niewyraźne, by określić dokładnie ich kształt, przypominały jednak zarys bosej stopy. Zjawisko to ustało, gdy doszliśmy do przeciwległego muru.

Postanowiłem obejrzeć pokoje na parterze: salon, mniejszy salonik i najmniejszy z nich pokój, który prawdopodobnie zajmował lokaj - wszystkie ciche jak śmierć. Potem zwiedziliśmy jadalnię, które robiły wrażenie świeżych i odnowionych. Rozsiadłem się w fotelu we frontowym pokoju. F... postawił na stole lichtarz, który rzucał na nas snop światła. Poprosiłem go, aby zamknął drzwi. Kiedy się odwrócił, krzesło stojące pod przeciwległą ścianą szybko i bezszelestnie zbliżyło się do mnie, zatrzymując się w odległości jarda, i to dokładnie vis & vis.

- To nawet lepsze niż wirujące stoliki - powiedziałem ze

śmiechem, na dźwięk którego pies zjeżył się i zawył.

F... nie zauważył żadnej zmiany, zajęty był uspokajaniem psa. Nie przestawałem obserwować krzesła. W pewnej chwili wydało mi się, że widzę na nim blady, mglisty zarys ludzkiej postaci, zarys tak niewyraźny, że zacząłem wątpić w mój wzrok, pies zupełnie się uspokoił.

- Odstaw z powrotem pod ścianę to krzesło - rzekłem do F... który natychmiast spełnił polecenie.

- Czy to pan? - zapytał odwracając się gwałtownie.

- Ja... a co?

- Jak to? Ktoś mnie uderzył; czułem wyraźnie. W ramię, o tutaj.

- Nie, to nie ja, ale najwyraźniej mamy do czynienia z jakimiś iluzjonistami i choć może nie rozszyfrujemy ich sztuczek, z pewnością prędzej my ich złapiemy, niż oni nas stąd wystraszą.

Nie siedzieliśmy długo w jadalniach - były wilgotne i zimne. Z przyjemnością wróciłem na górę, do kominka. Na wszelki wypadek jednak, podobnie jak na dole, pozamykaliśmy wszystkie drzwi.

Służący wybrał mi na sypialnię najlepszy pokój na całym piętrze - duży z dwoma oknami wychodzącymi na ulicę. Wsparty na czterech kłocach materac sprężynowy, który zajmował niemało miejsca, stał naprzeciwko kominka, gdzie płonął wesoły, jasny ogień. Drzwi, znajdujące się między łóżkiem a oknem, prowadziły do pokoju służącego. Była to niewielka klitka, bez połączenia ze schodami, a jedyne drzwi dzieliła z moją sypialnią. Na umeblowanie składały się sofka i dwie szafy po obu stronach kominka, pokryte tym samym co ściana matowobrazowym papierem. Przeszukaliśmy je dokładnie, nie znajdując nic poza paroma wieszakami. Zbadaliśmy też - najwyraźniej solidne - szczytowe ściany budynku.

Zwiedziwszy te apartamenty rozgrzałem się trochę i zapaliłem papierosa, po czym podjęliśmy przegląd domostwa. Na klatkę schodową wychodziły jeszcze jedne drzwi. Te były szczelnie zamknięte.

- Panie - powiedział F... zdziwiony - otwierałem te drzwi, podobnie jak wszystkie inne, zaraz po przyśściu. Nie mogły zostać zamknięte od środka, gdyż...

Zanim jednak dokończył zdania, drzwi, których żaden z nas nawet nie dotknął, cicho otworzyły się same. Spojrzeliśmy na siebie rażeni tą samą myślą: daje się tu wyczuć ludzką obecność.

Rzuciłem się do drzwi pierwszy, mój sługa za mną. Pokój był mały, pusty, ponury, całkiem nie umeblowany; w kącie wałało się zaledwie kilka starych skrzynek i koszyków. Małe okno zasłaniała okiennica. Pokój, bez kominka, miał jedne drzwi - te, przez które weszliśmy. Podłogi, starej, nierównej, stoczonej przez robaki, noszącej ślady licznych reperacji w postaci rozsianych tu i ówdzie jaśniejszych plam, nie okrywał żaden dywan. I nigdzie żywej duszy - nawet miejsca, gdzie mogłaby się ukrywać.

Kiedy tak staliśmy, patrząc dokoła, drzwi zamknęły się równie cicho, jak przedtem się otwarły: byliśmy uwięzieni. Po raz pierwszy poczułem dreszcz nieokreślonej grozy. Wręcz przeciwnie mój towarzysz.

- No, chyba nie myślą nas tu więzić. Jednym kopnięciem wyważyłbym te drzwi.

- Spróbuj najpierw ręką - powiedziałem otrząsając się ze złowrogich przeczuć, jakie mną owładnęły - a ja tymczasem otworzę okiennice i wyjrzę na dwór.

Odsunąłem sztaby. Okno wychodziło na małe podwórko, które już opisałem. Ani śladu parapetu - nic, tylko gładka ściana; gdyby ktoś się pokusił o ucieczkę, nie znalazłby oparcia dla nogi -

skręciłby kark na bruku podwórka.

Tymczasem F... na próżno starał się otworzyć drzwi. Wreszcie zapytał, czy może spóbować siłą. Tu muszę oddać memu słudze sprawiedliwość: nie zdradzając najmniejszych objawów strachu, opanowany - powiedziałbym nawet wesoły, jak na okoliczności tak niezwykle - wzbudził we mnie podziw. Mogłem sobie pogratulować wyboru towarzysza, stojącego pod każdym względem na wysokości zadania. Zgodziłem się chętnie. Ale choć F... odznaczał się niemałą siłą, na nic się ona nie zdała. Zawiodły też łagodniejsze środki. Drzwi nie drgnęły nawet pod naporem uderzeń.

Bez tchu prawie, ciężko dysząc F... ustąpił. Wtedy spróbowałem sam - na próżno. Zaniechałem więc dalszych wysiłków, a dreszcz grozy przeszedł mnie ponownie. Tym razem bardziej mroźny i uporczywy. Poczułem, jak nagle ze szpar zniszczonej podłogi podnosi się dziwny, zaziemski podmuch, napełniający pokój jakimś jadowitym, wrogim życiu fluidem. Wtem drzwi otworzyły się bardzo powoli i cicho, jak gdyby z własnej inicjatywy. Wyskoczyliśmy na korytarz. Oczom naszym ukazała się plama świetlna wielkości człowieka - bezkształtna i niematerialna, która czas jakiś sunęła przed nami, by wreszcie wejść na schody wiodące na strych. Podążyliśmy za światłem. Wpełzło na poddasze, którego drzwi stały otworem. Gdy przekroczyłem próg, świetlny obłok stopniał do małej kuleczki, bardzo jasnej i ruchliwej, spoczął na chwilę na łóżku w rogu pokoju, zamigotał i znikł. Podeszliśmy do łóżka i zbadaliśmy je dokładnie.

Na stojącej opodal komodzie leżała jedwabna, spłowiała chustka z nie dokończoną cerą, w której tkwiła igła. Chustka pokryta była kurzem; prawdopodobnie należała do kobiety

zmarłej tu niedawno, a pokój był pewnie jej sypialnią.

Wiedziony ciekawością zacząłem otwierać szuflady. Było w nich parę kobiecych fatalaszków i dwa listy związane wyblakłą żółtą wstążeczką. Pozwoliłem sobie je zabrać. Poza tym nie znaleźliśmy nic godnego uwagi. Światło nie pojawiło się już więcej, lecz wychodząc usłyszeliśmy wyraźnie tuż przed nami tupot nóg. Minęliśmy pozostałe cztery poddasza, cały czas wyprzedzani przez odgłos kroków. W dalszym ciągu nie było nic widać. Na schodach poczułem nagle, że ktoś łapie mnie za rękę, w której trzymam listy, i - zaraz potem - lekki, delikatny ruch zmierzający do rozluźnienia mego chwytu; zacisnąłem dłoń mocniej - ruch ustał. Wróciliśmy do mego pokoju; stwierdziłem, że pies nie poszedł z nami. Leżał tuląc się do kominka i drżał. Niecierpliwie zacząłem przeglądać listy. Tymczasem F... dobył z pudła broń, umieścił ją w głowach mego łóżka, po czym jął uspokajać psa, który zdawał się nie zwracać na niego najmniejszej uwagi.

Korespondencja była krótka, datowana dokładnie trzydzieści pięć lat temu. Najwyraźniej listy od wielbiciela do pani jego serca albo od męża do młodej żony. Zarówno zwroty, jak i wzmianki o niedawno odbytej podróży - wskazywały na to, że autor listów był marynarzem. Ortografia i charakter pisma typowe dla człowieka niewykształconego. Mimo to język pełen był ekspresji. Spoza miłosnych zaklęć wyzierało uczucie namiętne i żywiołowe. Tu i tam jednak trafiały się mgliste, niezrozumiałe aluzje do jakiejś wielkiej tajemnicy, której przedmiotem najprawdopodobniej nie była miłość - lecz zbrodnia.

„Powinniśmy się kochać - brzmiało jedno ze zdań, które zapamiętałem - tym bardziej że gdyby wszystko wyszło na jaw, ludzie by nas przeklęli”.

I znów:

„Pamiętaj, żebyś w nocy z nikim nie dzieliła pokoju - mówisz przez sen”. A dalej: „Co się stało, już się nie odstanie. I mówię ci: nie ma przeciwko nam żadnych dowodów, dopóki zmarli nie wstają z grobów”.

W tym miejscu wprawniejsza ręka, najwidoczniej kobieca, dopisała między wierszami: „niestety, wstają”. Na końcu listu noszącego późniejszą datę widniała notatka skreślona tą samą kobiecą ręką: „Zginął na morzu czwartego czerwca, tego samego dnia, co...”

Odłożyłem listy na stół i zacząłem się zastanawiać nad ich treścią. W obawie jednak, że rozmyślania te mogą mnie wytrącić z równowagi, postanowiłem przygotować się nerwowo na wszystko, co mi mogła przynieść nadchodząca noc. Poprawiłem ogień, jasny jeszcze i wesoły, i otworzyłem Macaulaya. Czytałem do wpół do dwunastej, po czym rzuciłem się w ubraniu na łóżko. Służącemu poleciłem iść do siebie i czuwać. Kazałem mu też zostawić drzwi między naszymi pokojami otwarte.

Byłem sam. Na nocnym stoliku płonęły dwie świece, koło których położyłem zegarek i broń. Następnie z całym spokojem powróciłem do Macaulaya. Naprzeciwko trzaskał jasny ogień, a na macie przed kominkiem drzemał pies. Mniej więcej po dwudziestu minutach poczułem na policzku bardzo zimny prąd powietrza, jakby zadraśnięcie.

Pomyślałem, że drzwi wychodzące na korytarz musiały się otworzyć; ale nie - były zamknięte. Spojrzałem w lewo i zobaczyłem, że płomyki świec chylą się gwałtownie jak na wietrze. Jednocześnie zegarek leżący obok rewolweru wolniutko, jak pod wpływem niewidzialnej ręki, ześliznął się ze stolika - i znikł. Poderwałem się gwałtownie; w jedną dłoń chwyciłem

rewolwer, w drugą sztylet - nie chciałem, by podzieliły los zegarka. Uzbrojony w ten sposób, rozejrzałem się po podłodze: ani śladu zegarka. Teraz u wezgowia mojego łóżka dały się słyszeć trzy wyraźne, głośnie stuknięcia.

- Czy to pan? - zawołał F...

- Nie. Miej się na baczności!

Pies wstał i przysiadł na zadzie, strzygąc nerwowo uszami. Utkwił we mnie spojrzenie tak dziwne, że pochłonęło całą moją uwagę. Podniósł się powoli ze zjeżoną sierścią i stał na sztywnych łapach z tym samym dzikim wyrazem oczu.

Nie miałem jednak czasu patrzeć na psa. W drzwiach ukazał się służący i jeżeli kiedykolwiek widziałem przerażenie w ludzkiej twarzy, to właśnie wtedy. Gdybym go spotkał w tym stanie na ulicy, nie poznałbym go z pewnością. Każdy rys twarzy miał zmieniony. Minął mnie szybko i wyszeptał nieswoim głosem: - Uciekać! Uciekać! Goni mnie!

Dopadł drzwi wiodących na schody, pchnął je i wyleciał na korytarz. Mimo woli podążyłem za nim, wołając, by się zatrzymał. Nie zwrócił na mnie uwagi. Gnał trzymając się poręczy i skacząc po kilka stopni naraz. Usłyszałem tylko, jak drzwi frontowe najpierw się otwarły, a potem zatrzęsnęły.

Zostałem sam w nawiedzonym przez duchy domu.

Chwilę tylko stałem niezdecydowany, czy iść w jego ślady... Ale duma i ciekawość odwiodły mnie od tak haniebnej ucieczki. Wróciłem do sypialni i zamknąłem za sobą drzwi, po czym ostrożnie przeszedłem do następnego pokoju. Nie znalazłem nic, co by usprawiedliwiało panikę służącego. Jeszcze raz starannie obejrzałem ściany w poszukiwaniu jakichś ukrytych drzwi. Nic - ani śladu. Nawet pęknięcia w brązowej tapecie. Którędy więc wśliznęło się to coś, co tak przerażyło mego sługę, jak nie przez

mój pokój?

Wróciwszy do siebie, zamknąłem drzwi na klucz i gotów na wszystko usiadłem przy kominku. Pies skulony wciskał się w róg pokoju, jakby chciał wejść w ścianę. Zacząłem do niego przemawiać. Biedne zwierzę, oszalałe ze strachu, wyszczerzyło zęby. Z pyska ciekła mu ślina. Byłby mnie niewątpliwie ugryzł, gdybym go dotknął. Zdawał się mnie nie poznawać.

Jeśli ktokolwiek widział w ogrodzie zoologicznym królika, który ze strachu przed wężem chowa się w kąt, może sobie wyobrazić przerażenie tego psa. Stwierdziwszy, iż wszystkie wysiłki zmierzające do uspokojenia zwierzęcia trafiają w próżnię, w obawie, że jego ukąszenie mogłoby się okazać równie jadowite jak ukąszenie wściekłego psa, zostawiłem je w spokoju, sam zaś odłożyłem broń na stół i podjąłem lekturę Macaulaya.

Aby jednak czytelnikowi nie wydało się, że liczę na pochwały z powodu mojej odwagi czy też opanowania, które - mógłby ktoś pomyśleć - wyolbrzymiam, pozwolę sobie tu na kilka uwag natury osobistej.

Ponieważ moim zdaniem przytomność umysłu czy też to, co zwiemy odwagą, jest ściśle uzależnione od uodpornienia na nieoczekiwane okoliczności, muszę stwierdzić, że już dawno przywykłem do wszystkiego co niesamowite. Byłem świadkiem wielu niezwykłych zjawisk w różnych częściach świata - zjawisk, którym nikt by nie dał wiary, gdybym je spróbował oddać w słowach, albo które przypisano by siłom nadprzyrodzonym.

Ja osobiście jednak twierdzę, że siły nadprzyrodzone nie istnieją, a to, co nimi tłumaczymy, jest po prostu prawem przyrody, dotąd jeszcze przez człowieka nie odkrytym. Wobec tego na widok ducha nie mam prawa powiedzieć: „A jednak zjawiska nadprzyrodzone istnieją”, tylko raczej: „skoro się zjawiał,

stało się to - wbrew powszechnemu mniemaniu - zgodnie z prawami natury, a więc nie w sposób nadprzyrodzony”.

Jestem przekonany, że źródłem wszystkich niesamowitych wydarzeń, których byłem świadkiem, jak również wszystkich „cudów”, które współcześni amatorzy spirytyzmu uważają za fakty, była zawsze działalność żywej, materialnej istoty. Do dziś na Kontynencie twierdzą, że potrafią wywoływać duchy. Przypuśćmy na chwilę, że twierdzą słusznie. Jakiż stąd wniosek? Ten, że obecność człowieka w jego materialnej postaci, czyli źródła, że tak się wyrażę, materialnego działania, wywołuje dzięki specjalnym organicznym właściwościom danego osobnika pewne dziwne zjawiska odbierane przez nasze zmysły.

Przyjmijmy ponadto za prawdziwe opowieści o pokazach spirytystycznych w Ameryce: na przykład produkowanie dźwięków, pisanie na papierze, przesuwanie mebli przez niewidzialne ręce, dotyk dłoni nie należących, zdawałoby się, do nikogo - to jednak musi tu być jakieś medium czy też w ogóle żyjąca istota, której pewne szczególne cechy organiczne są w stanie wywołać podobne zjawiska.

Jednym słowem, we wszystkich tego rodzaju „cudach”, zakładając nawet, że nie ma w nich ani trochę oszustwa, musi brać udział podobna nam ludzka istota, dzięki której albo poprzez którą osiąga się podobne efekty.

Tak właśnie jest, z dobrze nam już dzisiaj znanymi zjawiskami hipnozy i elektrobiologii, gdzie umysł ludzki ulega wpływowi świadomego, również ludzkiego, działania. Nawet jeśli przyjmiemy, że medium zdolne jest odpowiedzieć na rozkazy i gesty hipnotyzera odległego o sto mil, nie umniejszamy to w niczym roli istoty materialnej.

Tym, co ma moc przekazywania bodźców materialnych

między ludźmi mimo przestrzeni i przeszkód, jest fluid materialny, obojętne, jak go nazwiemy. Stąd wszystko, czego już byłem i czego jeszcze miałem być świadkiem w tym przedziwnym domu, przypisywałem działaniu jakiejś istoty czy też medium równie śmiertelnego jak ja sam. Pogląd ten w sposób oczywisty oszczędził mi przerażenia, które niewątpliwie ogarnęłoby owej pamiętnej nocy każdego, kto za nadprzyrodzone uważa zjawiska nie dające się pomieścić w zwykłych kategoriach przyrody. Umocniony zatem w przekonaniu, jakoby to, czego już doświadczyłem i czego jeszcze spodziewałem się doświadczyć poprzez własne zmysły, działa się za sprawą istoty ludzkiej, odpowiednio przez naturę obdarzonej i mające w tym jakiś cel, rozsmakowałem się w swojej teorii, wyrosłej na gruncie rozważań filozoficznych, a nie przesądu.

Tak przygotowany, podjąłem obserwację równie spokojnie jak chemik oczekujący na wynik rzadkiego a niebezpiecznego doświadczenia. Oczywiście im bardziej ograniczałem wpływ wyobraźni na rozsądek, w tym lepszym byłem nastroju, wobec czego zarówno oko moje, jak i myśli powróciły do Macaulaya, krynicy zdrowego rozsądku. Nagle uświadomiłem sobie obecność czegoś między światłem a kartką książki, na którą padł cień. Podniosłem głowę i... zobaczyłem coś, co bardzo trudno albo wręcz nie sposób opisać.

Wyglądało to tak, jakby przede mną zaczęła wyłaniać się jakaś ciemność nieokreślonego kształtu. Nie mogę zdecydowanie powiedzieć, że była to postać ludzka; w każdym razie bardziej przypominała ludzką sylwetkę, czy może raczej cień, niż cokolwiek innego. Kiedy tak stała, odcinając się wyraźnie na tle światła, jej rozmiary wydały mi się gigantyczne. Wierzchołkiem sięgała prawie sufitu. Przejął mnie nieprzyjemny chłód. Gdybym

miał pod ręką kawałek lodu, uczucie zimna nie byłoby chyba silniejsze ani bardziej fizyczne. Jestem przekonany, że nie był to chłód grozy.

Patrząc dalej, odniosłem wrażenie - trudno to stwierdzić z pewnością - że z góry spogląda na mnie para oczu. Wydawało mi się, że widzę je zupełnie dokładnie, to znów, że znikają; w każdym razie dwa promyki bladego, błękitnego światła co chwila przebijały ciemność w miejscu, w którym dostrzegłem te oczy.

Usiłowałem coś powiedzieć, ale głos mnie zawiódł. Zdołałem tylko zadać sobie w myśli pytanie: „Czyżby to był strach?” Nie, to nie strach.

Próbowałem wstać - na próżno. Czulem się tak, jakby przykuwał mnie jakiś ciężar nie do udźwignięcia. Jakby mojej woli przeciwstawiała się przemożna potęga. To poczucie bezsiły wobec nadludzkiej mocy, którego człowiek doświadcza w sensie fizycznym podczas sztormu, wielkiego pożaru czy spotkania z dziką bestią, ogarnęło mnie w sensie moralnym. Powoli, powoli brało nade mną władzę, aż przyszła groza - groza, której słowami nie jestem w stanie opisać. Zachowałem jednak dumę, jeśli już nie odwagę, i powiedziałem sobie w duchu; „To przecież groza - nie strach; dopóki nie czuję strachu, nie ma się co przejmować. Mój umysł temu zaprzecza. To po prostu iluzja. Ja się nie boję”.

Z ogromnym wysiłkiem udało mi się wreszcie wyciągnąć rękę po leżącą na stole broń. Nagle ręką mą coś wstrząsnęło, zwiśla bezwładnie wzdłuż ciała. Na domiar złego płomienie świec zaczęły powoli blednąć - ogień na kominku stopniowo zanikł i wkrótce pokój zaległa całkowita ciemność.

Fakt, że zostałem po ciemku sam na sam z tą mroczną istotą, której potęga tak wyraźnie dawała się odczuć, podziałał na moje nerwy. Przerażenie osiągnęło szczyt. Wiedziałem, że albo

postradam zmysły, albo przełamie zły czar. Oczywiście wybrałem to drugie.

Dobylem wreszcie głosu, a moje słowa brzmiały jak skrzek: - Ja się nie boję. Moja dusza nie odczuwa strachu! - W tym samym momencie znalazłem siłę, by wstać.

Błądząc w panującym dokoła zmroku, dotarłem do jednego z okiem; Szarpnąłem zasłony i otworzyłem okiennice. Moją pierwszą myślą było „światło”.

I kiedy wysoko w górze zobaczyłem cichy, spokojny księżyc, ogarnęła mnie radość, która wynagrodziła całe poprzednie przerażenie. Był przecież księżyc i lampy gazowe na opuszczonej, śpiącej uliczce.

Spojrzałem znów na pokój; z zewnątrz sączyła się poświata miesiąca. Ciemna zjawa rozplynęła się pozostawiając tylko cień na przeciwległej ścianie. Wzrok mój spoczął na stole (był to stary, mahoniowy, okrągły stół bez jakiegokolwiek przykrycia), spod którego wysunęła się ręka aż po przegub: dłoń równie cielesna jak moja, ale chuda, pomarszczona, mała - dłoń staruszki. Powoli zamknęła się na dwóch listach leżących na stole i wraz z nimi zniknęła. Zaraz potem dały się słyszeć trzy miarowe, głośnie uderzenia, które słyszałem już u wezgowia łóżka, zanim rozegrała się ta niezwykła scena.

Gdy dźwięki stopniowo zamarły, uczułem, że pokój zaczyna delikatnie drgać, a w przeciwległym końcu, jak gdyby z podłogi, wytryska cała kaskada iskier czy kuleczek - niby bańki barwnych światel - zielonych, żółtych, ognicie czerwonych, lazurowych, które zaczynają podskakiwać i poruszać się we wszystkie strony. Każda wedle własnego kaprysu, jak bańki gazu świetlnego.

Jednocześnie krzesło - podobnie jak w pokoju piętro wyżej - za sprawą niewidzialnej siły ruszyło spod ściany i zatrzymało się po

przeciwnej stronie stołu.

I nagle... jakby z wnętrza krzesła wyrosła postać kobiety tak wyraźna, jak kształt życia, a zarazem tak widmowa, jak kształt śmierci. Twarz miała młodzieńczą, dziwnej i ponurej piękności; ubrana była w białą jak obłok luźną suknię, obnażającą szyję i ramiona.

Zjawa zaczęła gładzić długie, jasne włosy, które opadały jej na ramiona. Nie zwracając na mnie najmniejszej uwagi, utkwiała wzrok w drzwiach - zdawała się słuchać, patrzeć, czekać.

Tymczasem zarys na ścianie pociemniał i znów miałem wrażenie, że gdzieś u szczytu wyblęskły oczy - oczy wpatrzone w postać kobiecą.

Następnie od strony drzwi, które pozostawały zamknięte, jęła się zbliżać inna postać, równie wyraźna jak pierwsza i jednakowo widmowa. Była to postać młodego mężczyzny.

Miał na sobie ubranie czy może raczej coś co przypominało strój z ubiegłego stulecia, ponieważ obie postacie, mimo iż widoczne, były wyraźnie niematerialne, nie podlegające dotykowi. Jakiś brak konsekwencji, coś groteskowego, a jednocześnie przerażającego tkwiło w kontraście, jaki stanowił staroświecki, pełen dworskiej dystynkcji i drobiazgowej staranności, przybrany mnóstwem koronek i wstążek strój z jego właścicielem o wyglądzie trupa i spokoju zjawy. Kiedy widmo mężczyzny przybliżyło się do widma kobiety, czarny cień błyskawicznie oderwał się od ściany. Na chwilę wszystko spowila ciemność.

Gdy powróciło blade światło, zobaczyłem dwie zjawy stojące jakby w objęciach cienia, który unosił się między nimi. Na piersi kobiety widniała krwawa plama. Mężczyzna wspierał się o miecz, a krew obficie ściekała z koronek i wstążek. Następnie

pochłonał ich cień - znikli bez śladu. Wtedy powróciły bańki, skacząc i żeglując w powietrzu, coraz większe i większe, i coraz dziksze w swoim tańcu.

Nagle rozwarły się drzwi do alkowy i wyszła z nich postać staruszki. W ręku trzymała listy - te same, po które wyciągnęła się tajemnicza dłoń. W ślad za staruszką usłyszałem kroki. Odwróciła się, jak gdyby nadśluchując, otworzyła listy i zaczęła je czytać.

Zza jej ramienia wyjrzała ziemista twarz - typowa twarz topielca od dawna już spoczywającego w wodzie. Był obrzękły, wymokły, spowity w wodorosty, z ociekającymi wodą włosami. U nóg starej kobiety leżał trup, przy którym kuliło się dziecko. Nędzne, zabiedzone, ze strachem w oczach i głodem malującym się na buzi. Kiedy spojrzałem w twarz staruszki, zmarszczki i rysy zatarły się i zobaczyłem oblicze młodzieńca. Było kamienne, źrenice lśniły zimnym blaskiem. Po chwili jednak, tak jak poprzednio, wszystko pochłonał mrok.

Teraz wpatrywałem się w niepodzielnie panujący cień, w którym niebawem znów zabłyśły oczy - złe oczy węża. Ponownie w oszalałym pląsie uniosły się bańki świetlne, mieszając się z bladą poświatą księżyca. Ni z tego, ni z owego z tańczących kulek, niby ze skorupki jajka, zaczęły wyłazić monstrualne stwory; wnet powietrze zagęściło się od ohydnych, bezkrwistych larw, które opisać mogę czytelnikowi jedynie przez porównanie do kropli wody widzianej pod mikroskopem: mrowiąca się masa żywych stworzeń, przezroczystych, giętkich, ruchliwych, goniących się i pożerających nawzajem, jakich nigdy nie dojrzysz gołym okiem.

Tak jak kształt tych stworów był całkowicie pozbawiony symetrii, tak ruchy ich były zupełnie bezładne. Krążyły wokół

mnie bez celu, coraz gęściej i szybciej kłębiąc się dokoła głowy i pełznąc po ręce podświadomie wyciągniętej jakby gestem odżegnywania się od wszelkiego zła.

Czasami czułem, że coś mnie dotyka; ale nie były to larwy - dotykały mnie niewidzialne ręce. Raz nawet jakieś chłodne palce zacisnęły mi się na gardle. Ponieważ wciąż byłem świadom tego, że jeżeli tylko poddam się trwodze, znajdę się w śmiertelnym niebezpieczeństwie, całym wysiłkiem starałem się umocnić i uodpornić wolę.

Przede wszystkim więc odwróciłem wzrok od cienia, a zwłaszcza od dziwnych węzowych oczu, które teraz stały się dokładnie widoczne i skupiały w sobie tyle intensywnego, czynnego zła, iż bałem się, że skruszy moją wolę.

W pewnym momencie blade światło zaszło czerwoną łuną jak od pożaru. Larwy straciły barwę, jakby spopielaly w ogniu, pokój znów zawibrował i po raz trzeci dały się słyszeć miarowe uderzenia. Na koniec wszystko pożarł mrok.

Cień znikał w miarę, jak ustępowała czerń. Jednocześnie zapłonęły świece na stole i drzewo na kominku. Stopniowo wyłonił się z mroku cały pokój.

Obie pary drzwi pozostały zamknięte. Te, które prowadziły do pokoju służącego - nawet na klucz. W rogu mojej sypialni leżał pies. Zawołałem go - ani drgnął. Podeszedłem - był martwy. Leżał z oczyma wywróconymi, wywieszonym językiem i pianą na pysku. Wziąłem go na ręce i przyniosłem do kominka. Dręczył mnie żal i wyrzuty sumienia z powodu utraty ulubieńca. Czułem się winny jego śmierci. Byłem pewien, że zdechł ze strachu.

Jakież było moje zdumienie, kiedy stwierdziłem, że pies ma skręcony kark, po prostu pęknięty kręgosłup. Niewątpliwie stało się to w ciemności. Czyż nie musiała tego dokonać ręka równie

ludzka jak moja? Miałem wszelkie dane po temu, by tak przypuszczać. Ale cóż, ja mogę tylko stwierdzić fakt. Wnioski pozostawiam czytelnikowi.

Wkrótce dokonałem następnego dziwnego odkrycia: oto mój zegarek, w tak tajemniczy sposób - zabrany, powrócił na stół. Co więcej - wskazywał dokładnie tę godzinę, o której go wzięto. Niestety, od tej pory mimo licznych usiłowań zegarmistrza jest zupełnie bezużyteczny: albo chodzi, jak mu się podoba, albo staje w nieoczekiwanym momencie.

Do końca nocy nic się już nie wydarzyło, niedługo też doczekałem się świtu. Feralny dom jednak opuściłem przy pełnym świetle dziennym, zwiedziwszy uprzednio pusty pokój, w którym czas jakiś byliśmy z moim służącym uwięzieni.

Żywiłem silne przekonanie, które trudno by mi było uzasadnić, iż mechanizm wszystkich zjawisk, że tak się wyrażę, których byłem świadkiem, tkwił właśnie tutaj. I nawet teraz, stojąc na tej podłodze w biały dzień, poczułem dreszcz grozy, jakiej doświadczyłem już w nocy, grozy spotęgowanej wypadkami w moim pokoju.

Nie mogłem wytrzymać w tych ścianach ani chwili dłużej, a kiedy schodziłem na dół, słyszałem znów przed sobą kroki. Otwarłem drzwi na ulicę - mógłbym przysiąc, że doszedł mnie stłumiony śmiech.

Dotarłem do domu spodziewając się zastać tam zbiegłego sługę. Tymczasem nie pokazał się wcale. Dopiero po trzech dniach otrzymałem od niego z Liverpoolu list następującej treści:

Wielce Szanowny Panie!

Pokornie dopraszam się przebaczenia, choć Bóg jeden wie, jak mało na nie zasłużyłem po tym, czego Pan był świadkiem. Jestem pewien, że miną lata, zanim wrócą do siebie, a o przydatności do

służby mowy być nie może. Wobec tego jadę do mego szwagra do Melbourne. Statek odpływa jutro. Być może długa podróż uspokoi moje nerwy. Obecnie jeszcze ciągle drzę i myślę z ulgą o tym, że to już poza mną. Uprzejmie proszę Wielmożnego Pana, aby wszystkie moje rzeczy wraz z należnymi mi poborami przesłał mojej matce do Walworth.

List kończyły dodatkowe usprawiedliwienia, dosyć zresztą chaotyczne, i wyjaśnienia dotyczące pełnionych przez niego obowiązków.

Ta nagła ucieczka mogła nasuwać podejrzenie, że już dawniej planował wyjazd do Australii, a wypadki tej nocy potraktował jako pretekst.

Nie odmawiam tym przypuszczeniom słuszności. Po prostu uważam je za dość prawdopodobną interpretację nieprawdopodobnych zjawisk.

Moja teoria pozostała jednak niewzruszona. Wieczorem zajechałem pod nawiedzany przez duchy dom dorożką, żeby zabrać swoje rzeczy i ciało biednego psa.

Nikt mi nie przeszkadzał i poza tym, że ilekroć wchodziłem czy schodziłem ze schodów, poprzedzały mnie tajemnicze kroki, panował zupełny spokój. Opuściwszy dom, udałem się do pana J... Zwróciłem mu klucze i oświadczyłem, że moja ciekawość jest już całkowicie zaspokojona. Właśnie kiedy zamierzałem opowiedzieć mu pokrótce, czego byłem świadkiem, przerwał mi i bardzo grzecznie dał do zrozumienia, żeby mu więcej nie zawracać głowy tajemnicami, których nie da się rozwiązać.

Postanowiłem w końcu nadmienić o listach i o tym, w jak dziwny znikły sposób. Zapytałem też, czy sądzi, że listy adresowane były do staruszki, która niedawno zmarła, i czy w jej

młodości nie zdarzyło się nic, co by usprawiedliwiało podejrzenia nasuwające się pod wpływem ich lektury. Pan J... wydawał się zaskoczony i po chwili namysłu odparł: - Wiem bardzo niewiele o tej kobiecie, poza tym, że jak już panu mówiłem, znana była mojej rodzinie. Chociaż... ożywił pan pewne mgliste wspomnienia... Tak, oczywiście, zbiorę informacje i o wszystkim pana powiadomię. Ale nawet jeśli przyjmiemy za słuszny popularny przesąd, że kto był albo wykonawcą, albo ofiarą zbrodni, po śmierci jako niespokojny duch nawiedza jej miejsce, to przypominam panu, że już na długo przed zgonem staruszki dały się w tym domu słyszeć i widzieć dziwne rzeczy. Uśmiecha się pan? A cóż pan na to powie?

- Powiem tylko tyle, że jeśli dotrzemy do źródła tych tajemnic, znajdziemy tam niewątpliwie żywą ludzką istotę.

- Jak to, więc sądzi pan, że to wszystko oszustwo? Cóż by miało na celu?

- Bynajmniej nie oszustwo w zwykłym tego słowa znaczeniu. Niech pan sobie jednak spróbuje wyobrazić, że zapadłem w głęboki sen, z którego nie sposób mnie obudzić, i że w tym śnie odpowiadam na pańskie pytania z taką dokładnością, do jakiej na jawie nigdy nie byłbym zdolny. Na przykład mówię, ile ma pan pieniędzy w kieszeni, więcej nawet, odgadam pańskie myśli. Przyzna pan, że nie musiałyby to być oszustwo; tym mniej siły nadprzyrodzone. Świadczyłyby to tylko o tym, że zupełnie nieświadomie podlegam wpływowi hipnotyzera działającego na mnie z oddali.

- Oczywiście, jeśli założymy, że tak dalece posunięta hipnoza jest możliwa. To znaczy, wnioskuje pan z tego, że hipnotyzer przez swój wpływ na przedmioty martwe był w stanie wywołać tak dziwne zjawiska, których pan i inni byli świadkami.

- Nie. To, co zwykliśmy określać mianem hipnozy, jest za słabe. Ale może istnieć siła pokrewna, potężniejsza od tej, siła dawnymi czasy zwana magią. Nie twierdzę, że ma ona władzę nad wszystkimi przedmiotami martwymi, lecz jeśli tak jest - nie, byłoby to sprzeczne z naturą, a przeciwnie - stanowiłoby rzadki dar udzielany przez przyrodę tylko osobnikom o pewnych cechach szczególnych, które poprzez praktykę można rozwinąć.

Znana jest starożytna teoria, w sprawie której nie zajmuję stanowiska, głosząca, że tego rodzaju potęga włada zmarłymi, a raczej pewnymi ich myślami czy wspomnieniami, które ciało przez jakiś czas zachowuje. Zmusza ona nie to, co zwiemy duszą i co pozostaje absolutnie poza zasięgiem ludzkiej mocy, lecz widmo, czyli odbicie tego, co najbardziej ziemskie w człowieku, żeby się jawiło naszym zmysłom. W każdym razie nie przypuszczam, by siła ta była nadprzyrodzona.

Pozwoli pan, że zilustruję swoją teorię przytaczając eksperyment, który Paracelsus uważa za nietrudny, a autor „Ciekawostek literatury” cytuje jako wiarygodny.

Kwiat ginie strawiony płomieniem. Bez względu na to, z jakich się składa elementów, nic z niego nie zostaje. Wszystko przepada, nie wiadomo gdzie. Nie odnajdziesz zetkniętych składników. Ale za to chemicznie z popiołu wskrzesić można widmo żywego kwiatu.

Podobnie, dźiać się może z ludzkimi istotami. Po śmierci dusza ulatuje jak aromat kwiatu, którego obraz mimo to możesz wywołać. Tak samo powstała zjawia ludzka, powszechnie i jakżeż niesłusznie mylona z duszą zmarłego, jest tylko widmem jego cielesnej powłoki.

Stąd we wszystkich znanych historiach o duchach i seansach spirytystycznych uderza nas brak tego, co zwiemy duszą, a więc najwyższej, wysublimowanej inteligencji. Tak zwane duchy

rzadko przychodzą w jakichś konkretnych celach, prawie nigdy nie mówią, a ich wypowiedzi głębią nigdy nie przewyższają przeciętnych ludzkich możliwości.

Amerykańscy spirytyści opublikowali tomy całe, prozą i wierszem, myśli przekazywanych, jak twierdzą, przez sławnych zmarłych: na przykład Szekspira, Bacona i Bóg wie kogo.

Myśli te nie są ani trochę mądrzejsze od tego, co powiedziała by żywy człowiek, utalentowany i wykształcony, a już z całą pewnością dużo mniej genialne od tego, co głosili Bacon, Szekspir czy Platon. Są to tylko wyobrażenia przekazywane w ten czy inny sposób (nie stwierdził się jeszcze dokładnie, w jaki) przez jeden ludzki umysł innemu. Bez względu na to, czy w efekcie zaczynają spacerować stoły, czy ukazują się diabelskie postacie w magicznym kole, czy też wreszcie mrożą nam w żyłach krew cienie podobne temu, jaki mnie się ukazał - twierdzą stanowczo, że to tylko wyobrażenia przekazywane jak po drucie telegraficznym przez jakiś ludzki umysł.

Pewne predyspozycje pozwalają niektórym organizmom czynić cuda chemiczne. Inne organizmy wyposażone są we fluid naturalny - nazwijmy go elektrycznym - i te produkują cuda, powiedzmy, elektryczne. Zjawiska te jednak pozostają w całkowitej sprzeczności z ogólnymi tendencjami naukowymi: są niematerialne, bezcelowe, dziecinne i kapryśne. Nie prowadzą do żadnych wielkich osiągnięć, stąd małe zainteresowanie nimi świata i uczonych, którzy tej dziedziny zupełnie nie kultywują. W każdym razie jestem najzupełniej przekonany, że odległym źródłem wszystkiego, co słyszałem i widziałem w tamtym domu, był człowiek, i to niewątpliwie nieświadom wyników swego działania, co wnoszę z tego, że podobnie jak trudno o dwa identyczne sny, nie było też dwóch osób, którym by się te same

rzeczy objawiły.

Gdyby chodziło tu o zwykłe oszustwo, mechanizm jego z pewnością nie dopuszczałby takiej różnorodności produkowanych efektów. Gdyby z kolei była to siła nadprzyrodzona, działająca z polecenia Wszechmocnego, bezsprzecznie zmierzałaby do jakiegoś konkretnego celu. Te zjawiska nie dają się zaliczyć do żadnej z wymienionych klas. Moim zdaniem, źródłem ich jest jakiś odległy umysł ludzki, a to, co się zjawia, stanowi tylko odbicie jego błędzących, bardzo ruchliwych i różnorodnych, na pół uformowanych myśli. Jednym słowem muszą to być czyjeś sny, wprowadzone w czyn i częściowo ucieleśnione.

Nie mam najmniejszych wątpliwości, że musi to być intelekt niezwykle potężny, zdolny wprawić materię w ruch, uzbrojony w złą, destruktywną siłę. Mojego psa uśmierciła jakaś moc konkretna, materialna. O ile się orientuję, potrafiłaby i mnie pozbawić życia, gdybym tylko był tak osłabiony strachem jak biedne zwierzę i gdyby mój umysł i duch nie wyposażyły mnie w skuteczną broń - wolę.

- Zabiło panu psa?! To straszne! Rzeczywiście... zastanawiające, że żadne zwierzę nie chce pozostać w tym domu; nawet kot. Ba! Szczura ani myszy nigdy tam nie widziano.

- Zwierzęta instynktownie wyczuwają niebezpieczeństwo zagrażające ich życiu. Ludzie lepiej wyposażeni w środki obrony są mniej wrażliwi. No, ale dość tego. Czy pojął pan moją teorię?

- Owszem, chociaż nie całkowicie. W każdym razie bardziej skłonny jestem przyjąć pańską teorię, nawet z jej wszystkimi - przepraszam za - wyrażenie - dziwolągami niż historie o duchach i chochlikach, którymi karmiono nas w dzieciństwie. Nie zmienia to jednak postaci rzeczy. W moim nieszczęsnym domu nadal

straszy. Cóż, u licha, mam robić?

- Powiem panu, co ja bym zrobił w tej sytuacji. Jestem wewnętrznie przekonany, że zbiornicą czy też centralą, z której rozchodzą się na cały dom te dziwne fluidy, jest ów mały nieumeblowany pokój. Radzę panu rozwalić ściany, rozebrać podłogę i w ogóle zlikwidować cały pokój. Dobudowany jest nad małym, tylnym podwórkiem i można by go zburzyć bez szkody dla reszty domu.

- I myśli pan, że gdybym to zrobił...

- Jestem pewien, że to tak, jakby pan przeciął druty telegraficzne. Cóż szkodzi spróbować? Tak jestem o tym przeświadczony, że chętnie pokryję do połowy koszt rozbiórki, o ile tylko pozwoli mi pan poprowadzić roboty.

- Nie, dziękuję; koszt mogę pokryć sam. Co do reszty, powiadomię pana listownie.

Mniej więcej po dziesięciu dniach otrzymałem od pana J... list, w którym donosił, że odwiedził ostatnio dom, że listy, o których mówiłem, znalazł w szufladzie na dawnym miejscu i że przeczytawszy je powziął podobne podejrzenia. Wreszcie pan J... pisał, że przeprowadza wywiad w sprawie kobiety, do której, jak słusznie przypuszczałem, były adresowane.

Okazało się, że trzydzieści sześć lat temu, to znaczy na rok przed otrzymaniem tych listów, poślubiła wbrew woli rodziny pewnego Amerykanina, bardzo podejrzanego osobnika, o którym powszechnie mówiono, że był piratem. Sama pochodziła z przyzwoitej kupieckiej rodziny i przed ślubem pracowała jako guwernantka. Brat owej kobiety, wdowiec, ogólnie uważany za bogacza, miał sześciolatnie dziecko. W miesiąc po jej ślubie znaleziono ciało tego brata w Tamizie, w pobliżu Mostu Londyńskiego. Na szyi widniały ślady obrażeń, nie dość wyraźne

jednak, by mogły usprawiedliwić inny wynik obdukcji jak tylko: „śmierć przez utonięcie”. Amerykanin i jego żona zajęli się sierotą; zmarły brat testamentem czynił siostrę prawną opiekunką dziecka, a w razie jego śmierci - swoją spadkobierczynią. Dziecko zmarło w sześć miesięcy później - jak przypuszczano - z powodu zaniedbania i złego traktowania. Sąsiedzi zeznali nawet, że słyszeli nieraz w nocy jego płacz.

Chirurg, który dokonał sekcji zwłok, stwierdził, że zgon nastąpił wskutek całkowitego wyniszczenia organizmu oraz że ciało pokryte było świeżymi siniakami. Podobno pewnej zimowej nocy dziecko usiłowało uciec. Wykradło się na tylne podwórko i najwidoczniej po nieudanych próbach wdrapania się na mur, spadło wyczerpane na kamienie. Rano znaleziono je martwe. Mimo że istniały liczne dowody okrucieństwa, brakło dowodów morderstwa. Ciotka i jej mąż swoje nieludzkie postępowanie pozorowali rzekomym uporem i złośliwością dziecka, które, jak twierdzili, było niedorozwinięte. Tak czy inaczej, po śmierci sieroty ciotka odziedziczyła fortunę brata. Nim upłynął pierwszy rok małżeństwa, Amerykanin nagle opuścił Anglię, dokąd już nigdy nie wrócił. Mówiono, że kupił niewielki stateczek, który się rozbił na Atlantyku w dwa lata później.

Wdowa żyła w dostatku, ale koło fortuny się odwróciło: bank ogłosił niewypłacalność, akcje przepadły, niewielki interes, w który włożyła pieniądze - zbankrutował. Wtedy poszła na służbę, schodząc stopniowo do roli zwykłej posługaczki. Nigdzie też nie zagrzała miejsca, choć właściwie nic konkretnego nie można jej było zarzucić.

Mimo że uważano ją za pracowitą, uczciwą, a przede wszystkim cichą, spokojną, jakoś jej się nie wiodło. Tak więc na koniec trafiła do przytułku, skąd wziął ją pan J... i poruczył jej

pieczę nad domostwem, które kiedyś dzierżawiła.

Pan J... dodał, że spędził samotnie godzinę w pustym pokoju, który radziłem mu zburzyć. Przerazenie jego było tak ogromne, choć nic nie słyszał ani nie widział, że natychmiast zdecydował się mnie usłuchać. Najął nawet ludzi i czekał tylko mego sygnału. Oznaczonego dnia udałem się do nawiedzanego przez duchy domu. Otwarliśmy drzwi ślepego, ponurego pokoju. Najpierw zerwano listwy i podłogę. Pod belkowaniem, zasłanym grubą warstwą śmieci, odkryliśmy tajemne przejście, przez które niewątpliwie przecisnąłby się człowiek. Kłapa zakrywająca otwór przybita była potężnymi gwoździami. Gdy po licznych wysiłkach z naszej strony gwoździe puściły, zeszliśmy do położonego niżej pokoju, którego istnienia nikt się nawet nie domyślał. Było tam okno i przewód kominowy, najwyraźniej od dawna zamurowany. Przeszukaliśmy pokój w blasku świec; stały tam jakieś stare, próchniejące meble - trzy krzesła, dębowy taboret i stół - wszystko w stylu sprzed lat osiemdziesięciu. W komódce pod ścianą znaleźliśmy na pół zbutwiałe części staroświeckiej męskiej garderoby, jaka mogła być noszona osiemdziesiąt czy nawet sto lat temu przez osoby wysoko postawione: kosztowne metalowe klamry i guziki, dziś widywane tylko przy dworskich strojach, i piękny krótki miecz. W kamizeli, niegdyś strojonej złotymi koronkami, dziś wyblakłej i zbutwiałej, znaleźliśmy pięć gwinei, parę srebrnych monet i żółkły bilet wstępu do jakiegoś miejsca rozrywki dawno już przebrzmiałej.

Największe jednak odkrycie stanowił rodzaj żelaznego sejfu, przytwierdzonego do ściany, którego zamek znaleźliśmy dopiero po długich poszukiwaniach.

Skrytka miała trzy półki i dwie małe szufladki. Na półkach stały buteleczki napełnione przezroczystym płynem, zamknięte

hermetycznie. Zawierały bezbarwne, lotne substancje, o których nie mogę powiedzieć nic ponad to, że nie były truciznami. W skład ich między innymi wchodził fosfor i amoniak. W skrytce leżały także jakieś dziwne próbówki i mała metalowa pałeczka, z jednej strony zakończona kryształem, a z drugiej bursztynem, jak również magnes o dużej mocy. W jednej z szuflad znaleźliśmy złotą miniaturkę, która mimo starości zachowała niezwykłą żywość barw. Był to portret mężczyzny w średnim wieku, lat około czterdziestu siedmiu. Twarz szczególna, robiąca wrażenie. Gdybyśmy mogli wyobrazić sobie potężnego węża zamienionego w człowieka, który by w ludzkich rysach zachował cechy gada, więcej by wam to dało niż długie opisy. Płaskie, szerokie czoło, subtelny owal pociągłej twarzy, maskujący silny zarys żuchwy, podłużne, duże, budzące trwogę oczy, zielone jak szmaragdy, a ponadto jakiś okrutny spokój płynący z poczucia ogromnej siły...

Najdziwniejsze było to, że jak tylko zobaczyłem miniaturę, uderzyło mnie zaskakujące podobieństwo do jednego z najrzadszych portretów na świecie - do podobizny człowieka rangą ustępującego jedynie królowi, który w swoim czasie był bardzo głośny.

Historia mówi o nim niewiele albo wcale, wystarczy - natomiast przejrzeć korespondencję jego współczesnych, a niemało można znaleźć wzmianek na temat jego dzikiej odwagi, - bezwzględnej niemoralności, niespokojnego ducha i zamiłowania do nauk tajemnych..

Człowiek ten zmarł w kwiecie wieku i - jak mówią kromki - na obczyźnie; w samą porę, by ujść prawu ścigającemu go za zbrodnie, o które był oskarżony i za które czekał go topór katowski.

Po śmierci wszystkie jego podobizny, bardzo zresztą liczne

jako znanego mecenasa sztuki, zostały wykupione i zniszczone, najprawdopodobniej przez spadkobierców, którzy radzi byli wymazać jego imię ze swego wspaniałego drzewa genealogicznego. Posiadał ogromną fortunę, której część, jak fama głosi, przywłaszczył sobie jego faworyt - astrolog czy też jasnowidz, dość że w sposób tajemniczy zginęła po jego śmierci.

Jeden z jego portretów uniknął zniszczenia. Widziałem go parę miesięcy temu w domu pewnego zbieracza i wywarł na mnie silne wrażenie - podobnie jak na wszystkich, którzy go oglądali. Niezapomniana twarz, której miniaturę miałem teraz w dłoni. Prawda, że tutaj mężczyzna wydawał się parę lat starszy imz na portrecie i nawet w chwili śmierci. Ale... czy rzeczywiście tylko parę lat? Niemożliwe - przecież okres działalności tego nieustraszonego człowieka od niewątpliwej daty powstania miniatury dzielą przeszło dwa wieki! - Kiedy tak patrzyłem zadumany, pan J... powiedział: - Czy to możliwe? Przecież ja znałem tego człowieka.

- Jak to? Gdzie?! - wykrzyknąłem.

- W Indiach. Był zaufanym jednego z radzów i o mały włos nie wciągnął go w rewoltę, w której radża z pewnością straciłby swoje dominia. Człowiek ten był Francuzem. Nazywał się de V...; mądry, odważny, ale samowolny. Nalegaliśmy na jego dymisję i banicję. To na pewno on. Nie ma dwóch takich twarzy. A jednak... ta miniatura ma około stu lat.

Mimo woli odwróciłem podobiznę. Na odwrocie wyryty był pięciokąt, a w nim drabinka, której trzeci stopień stanowiła data 1765. Przyjrząwszy się jeszcze dokładniej, znalazłem sprężynkę; za jej pociągnięciem odsłodziło wieczko. Wewnątrz był napis: „Dla Ciebie, Marianno. Bądź wierna na śmierć i życie...”

Tu następowało nazwisko, które pominę milczeniem,

nazwisko mi nieobce. Starzy ludzie w czasach mego dzieciństwa opowiadali o strasznym szarlatanie, który wstrząsnął opinią publiczną Londynu przynajmniej na rok, uciekając z kraju pod zarzutem dokonania dwóch morderstw we własnym domu: na swojej kochance i na rywalu.

Nie wspomniawszy o tym ani słowem panu J... oddałem mu miniaturę.

O ile otwarcie pierwszej szuflady żalaznego sejfów nie nastroczało najmniejszych trudności, o tyle z drugą było znacznie gorzej. Mimo iż nie zamknięta na klucz, opierała się wszystkim naszym wysiłkom, ustąpiła zaś dopiero podważona dłutem. Wewnątrz znaleźliśmy osobliwy aparat, i to w jak najlepszym stanie.

Na cienkim notatniku stało kryształowe naczynie wypełnione przezroczystą cieczą, po której pływało coś w rodzaju kompasu. Igła szybko poruszała się dokoła; zamiast jednak normalnych oznaczeń kompasu, na tarczy widniało siedem dziwnych symboli, przypominających te, jakimi astrologowie oznaczają planety.

Z szuflady, jak się potem okazało, wyłożonej drzewem leszczynowym, dobywał się dosyć szczególny zapach ani zbyt mocny, ani przykry. Cokolwiek było jego źródłem, odór ten miał dziwny wpływ na nasze nerwy. Czuliśmy to wszyscy - silny dreszcz od stóp do głów.

Chcąc jak najszybciej obejrzeć notatnik, zdjąłem naczynie. Wtedy igła kompasu zaczęła wirować z zawrotną szybkością. Coś miłą szarpnęło tak silnie, że upuściłem przyrząd na ziemię. Płyn się rozlał, naczynie potłukło, a kompas potoczył w róg pokoju. Jednocześnie ściany zakołysały się niby rozhuśtane przez jakiegoś olbrzyma.

Dwaj robotnicy z przerażeniem rzucili się do schodów, ale widząc, że się nic więcej nie dzieje, powrócili bez większych sprzeciwów.

Tymczasem otworzyłem oprawny w gładką, czerwoną skórę i opatrzony srebrnym zamknięciem notatnik, zawierający jedną tylko grubą kartkę. Na kartce, w podwójnej, pięciokątnej ramce wypisane były starą, klasztorną łaciną następujące zdania, które w dosłownym tłumaczeniu brzmią, jak następuje: „Na wszystko, co jest w tych ścianach, obdarzone czuciem czy nieczułe, żywe czy martwe, zgodnie z ruchami wskazówki działa moja wola. Niech będzie przeklęty ten dom, a mieszkańcy niech nie zaznają spokoju”.

Nie znaleźliśmy nic więcej. Pan J... spalił notatnik z jego anatema i kazał zburzyć aż do fundamentów tajemniczą przybudówkę. Następnie sprowadził się tu na miesiąc i stwierdził, że trudno o spokojniejszy, bardziej wygodny dom w całym Londynie. Wkrótce też wynajął go na korzystnych warunkach, a lokator nigdy się na nic nie skarżył.

Na tym jednak moja historia się nie kończy. W parę dni po przeprowadzce pana J... złożyłem mu wizytę. Właśnie rozmawialiśmy stojąc w otwartym oknie, kiedy przed domem zatrzymał się wóz z meblami, które pan J... prznosił tu z dawnego mieszkania. Usiłowałem go przekonać o słuszności mojej teorii, że zjawiska uważane powszechnie za nadprzyrodzone są li tylko wytworem ludzkiego umysłu, cytując na jej poparcie fakt, iż wykryliśmy i zniszczyli siedlisko złych mocy czy też czarów.

W odpowiedzi pan J... zauważył, że jeśli rzeczywiście istnieje hipnoza czy jakaś inna analogiczna siła, zdolna na odległość wywoływać tak niezwykle efekty, to prawdopodobnie nawet po

śmierci osoby obdarzonej tymi zdolnościami skutki jej działalności nie giną. Jeżeli więc czar został naprawdę rzucony i zamknięty w czterech ścianach tamtego pokoju przeszło siedemdziesiąt lat temu, najprawdopodobniej jego sprawcy nie ma już wśród żywych.

Kiedy pan J... wymawiał ostatnie słowa, chwyciłem go gwałtownie za rękę. Z przeciwległej strony ulicy nadszedł właśnie przyzwoicie ubrany mężczyzna i zagadnął o coś woźnicę, zwrócony twarzą do naszego okna. Była to niewątpliwie twarz ze znalezionej przez nas miniatury, twarz dygnitarza z portretu sprzed dwustu lat.

- Wielkie nieba! - wykrzyknął pan J... - przecież to de V... Ani o dzień starszy od tego, którego widziałem w młodości na dworze radzy.

Tknięci jedną myślą pośpieszyliśmy na dół. Pierwszy wypadłem na ulicę, ale nieznajomy już odszedł. Zobaczyłem go jednak z odległości paru jardów i za chwilę byłem przy nim. Postanowiłem przemówić, lecz kiedy spojrzałem mu w twarz, stwierdziłem, że głos mnie zawiódł. Te oczy, oczy węża, osadziły mnie w miejscu i sparaliżowały jakimś czarem. Od całej jego postaci biło takie dostojeństwo i duma, że nawet największym śmiałkom odebrałyby tupet.

A zresztą... cóż właściwie miałem mu powiedzieć? O co spytać?

Zawstydzony i niezdecydowany, pozostałem trochę w tyle, postępując jednak ciągle w pewnej odległości za nieznajomym, który tymczasem skręcił w ulicę, gdzie oczekiwał go powóz ze służącym w liberii. Mężczyzna wszedł - powóz odjechał, a ja wróciłem do domu.

Pan J... czekał w drzwiach. Zapytaliśmy woźnicę, co mówił nieznajomy.

- Pytał tylko, kto jest teraz właścicielem domu.

Tak się złożyło, że tego samego wieczoru szedłem z przyjacielem do klubu Cosmopolitan. Przybytek ten stoi otworem dla ludzi wszelkich narodowości, zapatrywań i stanowisk. Po prostu idziesz, zamawiasz kawę, palisz cygaro. Zawsze spotkasz kogoś sympatycznego, nierzadko jakąś sławną osobistość.

Nie minęła chwila, a przy sąsiednim stoliku zobaczyłem... człowieka z miniatURY. Rozmawiał z moim znajomym, którego oznaczę tu literą G... Był bez kapelusza i podobieństwo do miniatURY tym więcej mnie zaskoczyło. Zauważyłem tylko” gdy rozmawiał, że twarz miał może mniej surową. Czasem nawet gościł na niej uśmiech - powściągliwy jednak i chłodny.

Dostojeństwo w obejściu, które zauważyłem już na ulicy, tu uderzyło mnie jeszcze bardziej. Dostojeństwo tak typowe dla książąt Wschodu, w którym zawiera się najwyższa obojętność obok niezaprzeczalnej, kapryśnej potęgi.

Wkrótce G... pożegnał swego rozmówcę, pozostawiając go nad lekturą jakiegoś naukowego pisma.

Odciągnąłem znajomego na stronę.

- Jak się nazywa i kim jest ten dżentelmen?

- Ten? O, to bardzo znaczna osobistość. Spotkałem go w zeszłym roku w jaskiniach Petry. Najznakomitszy orientalista, jakiego znam. Trzymaliśmy się razem. W przygodzie z opryszkami jego zimna krew uratowała nam życie. Potem zaprosił mnie do swojej willi w Damaszku, gdzie spędziłem uroczy dzień wśród kwiecica migdałów i róż - coś wspaniałego! Mieszkał tam jakiś czas spokojnie jak wschodni basza.

Podejrzewam, że to renegat. Nieprawdopodobnie bogaty dziwak, a oprócz tego wielki hipnotyzer. Na własne oczy widziałem jego ogromny wpływ na przedmioty martwe. Gdybyś

na przykład wyjął z kieszeni list i rzucił go w drugi koniec pokoju, na jego rozkaz list przyjdzie do twoich stóp. Będzie się turlał i turlał po podłodze, aż spełni polecenie. Daję ci słowo. Wszystko to prawda. Widziałem nawet, jak panuje nad pogodą. Gromadzi lub rozpędza chmury za pomocą szklanej pałeczki. Ale nie lubi mówić o tych rzeczach przy obcych.

Dopiero co przyjechał do Anglii. Powiada, że nie był tu całe lata. Pozwól, że ci go przedstawię.

- Doskonale. To on jest Anglikiem? Jak się nazywa?

- Bardzo pospolicie. Richards.

- Jak urodzony? Co wiesz o jego rodzinie?

- Właściwie nic. Zresztą, czy to ważne? Na pewno parweniusz, ale bogaty... diabelnie bogaty!

G... poprowadził mnie do nieznanego i dokonał prezentacji. Sposób bycia pana Richardsa bynajmniej nie znamionował wielkiego podróżnika. Podróżnicy na ogół odznaczają się dużym temperamentem. Są rozmowni, żywi, pełni inicjatywy. Pan Richards był spokojny, powściągliwy w rozmowie, a jego zachowanie cechowała osobliwa górnołotność i drobiazgowa dbałość o etykietę, typowa dla ubiegłego wieku.

Zauważyłem też, że jego angielszczyzna była nieco staroświecka, akcent zaś, powiedziałbym, z lekka cudzoziemski. Pan Richards nadmienił jednak, że w ostatnich latach dosyć rzadko posługiwał się ojczystym językiem.

Rozmowa potoczyła się na temat zmian, jakim uległ Londyn od czasu ostatniej wizyty pana Richardsa. Potem zeszła na literaturę, problemy społeczne, polityczne oraz niektórych wielkich ludzi. Wszystko to zdawało się nie interesować pana Richardsa. Najwyraźniej nie czytał żadnego ze współczesnych autorów, a o wielu mężach stanu młodszego pokolenia zaledwie

słyszał. Raz jeden tylko roześmiał się, kiedy G... zapytał, czy ma zamiar kandydować w wyborach do parlamentu. Był to śmiech jak gdyby wewnętrzny, pełen sarkazmu, złowrogi śmiech-szyderstwo. Po chwili G... przyłączył się do znajomych, którzy właśnie weszli na salę, więc powiedziałem spokojnie: - Widziałem pańską miniaturę, panie Richards, na Oxford Street, w domu, w którym niegdyś pan mieszkał i który najprawdopodobniej sam pan budował, jeśli nie całkowicie, to przynajmniej częściowo. Przechodził pan tamtędy dziś rano.

Dopiero teraz odważyłem się spojrzeć mu w twarz. Przykuł mój wzrok swymi fascynującymi, węzowymi oczyma. Zupełnie mimo woli, jak gdyby wyciągano ze mnie słowo po słowie, dodałem szeptem: - Studiowałem kiedyś tajemnice natury i życia. Znałem wybitnych profesorów wiedzy tajemnej. Mam prawo poruszać z panem ten temat. Tu wymieniłem coś w rodzaju hasła.

- Uznaję pańskie prawo. Cóż chce pan wiedzieć?

- Jak dalece przy pewnych temperamentach może sięgać ludzka wola?

- Jak potężna może być ludzka myśl? Proszę tylko pomyśleć, a zanim pan odetchnie, będzie pan w Chinach.

- Zgoda, ale moja myśl nie ma w Chinach żadnego znaczenia..

- Proszę ją tylko wyrazić, a może go nabrać. Niech ją pan sformułuje na piśmie, a prędzej czy później zmieni cały ustrój Chin. Bo czymże jest prawo, jak nie ludzką myślą? Myśl jest nieograniczona. Myśl to potęga, bez względu na jej wartość. Zła myśl może ustanowić złe prawo równie silne, jak dobra ustanawia dobre prawo.

- Tak. To, co pan mówi, potwierdzałoby moją własną teorię, że dzięki niewidzialnym prądom jeden ludzki umysł może

przekazywać drugiemu swoje wyobrażenia równie szybko jak wiadomości przekazywane za pomocą środków widzialnych. Ponieważ myśl jest niezniszczalna i ponieważ wyciska pewne piętno w świecie materialnym, nawet jeśli jej autor już nie żyje, istnieje duże prawdopodobieństwo, że myśli człowieka żyjącego mają moc ożywiania myśli zmarłych, takich, jakimi myśli te były za ich życia. Natomiast aktualne wyobrażenia zmarłych są niedostępne myśli człowieka żyjącego. Nieprawdaż?

- Wstrzymam się z odpowiedzią. Gdybym stwierdził, że myśl jest ograniczona, zatrzymałby się pan na tym. Ale proszę mówić dalej, wszak ma pan jakieś specjalne pytania.

- Intensywne zło połączone z intensywną wolą, zrodzone ze szczególnego temperamentu i wspomagane przez środki będące w granicach ludzkiej wiedzy, może produkować zjawiska przypisywane niegdyś diabelskiej magii. Może nękać ludzkie domostwa zjawami wskrzeszonymi ze złych myśli i złych czynów, jakich dokonano w tych ścianach - niedoskonałe, chaotyczne strzępy przed laty rozegranych tu dramatów. Myśli, splątane ze sobą bezładnie jak w sennym widziadłe, urastają do złudnych postaci i dźwięków wywołujących uczucie grozy nie dlatego, żeby naprawdę pochodziły z zaświatów, ale dlatego, że są widmami czegoś, co rzeczywiście się zdarzyło, splecionymi w potworne sceny za sprawą śmiertelników obdarzonych potęgą złej siły. Źródłem tej siły jest materialny mózg ludzki. Dzięki niemu zjawy mogą porażać jak elektrycznością, zabijać tych, których myśl nie jest silniejsza od myśli promotora zjawisk, mogą uśmiercić najsilniejsze nawet zwierzę, otepiałe ze strachu, nie są jednak w stanie zrobić nic człowiekowi, który mimo cierpiącej skóry zachowa hart ducha.

Często w starych opowieściach czytamy o czarnoksiężnikach

rozrywanych przez diabły, które sami stworzyli. W pewnym sensie, jak wiemy, jest to możliwe: niektóre jednostki ze swych złych skłonności emanują fluidy, te zaś - zwykle spokojne i nieszkodliwe - przybierają nieraz okropne kształty i przeraźliwą siłę. Podobnie błyskawica, drzemiąca gdzieś w chmurach, nagle w sposób naturalny przyjmuje widzialną postać i grozi zniszczeniem.

- „Widzę, że uchylił pan rąbka wielkiej tajemnicy - powiedział spokojnie pan Richards - ale z tego, co pan mówi, wynika, że podobną siłą może być obdarzony jedynie człowiek zły, mściwy.

- O ile efekty są takie, o jakich właśnie wspominałem, to nawet bardzo zły i mściwy. Jest on jednak w stanie wyrządzić szkodę tylko temu, do kogo powziął niechęć albo na kogo ma nieograniczony wpływ. Pozwolę sobie przytoczyć tutaj pewien przykład, który, choć nie wykracza poza prawa natury, wydaje się dziwny.

Niewątpliwie pamięta pan, jak Albertus Magnus, opisawszy wpiersz drobiazgowo proces wywoływania duchów, podkreśla, że dar ten posiada niewielu: „człowiek musi się urodzić spirytystą” - to znaczy z pewnymi określonymi predyspozycjami psychicznymi, jak na przykład urodzony poeta.

Rzadko zdarzają się ludzie obdarzeni tą tajemniczą mocą, pochodzącą z intelektu nieskazitelnego, najwyższej klasy. Zwykle umysł ma jakąś skazę, sprzeczność czy anomalię. Z drugiej strony musi posiadać wysoce rozwiniętą zdolność koncentrowania się na jednym przedmiocie - czynną siłę, którą zwiemy wolą. Choć więc intelekt takich ludzi nie jest zupełnie zdrowy, dąży tym intensywniej do osiągnięcia wytkniętych celów. Załóżmy, że naprawdę istnieje człowiek obdarzony, i to w sposób szczególny, tą tajemną mocą. Umieśćmy go w wyższych sferach społecznych.

Powiedzmy, że człowiek ten to epikurejczyk z usposobienia - a zatem kocha życie, jest absolutnym egotystą. Ma silne namiętności, nie zna poświęcenia, nie żywi szlachetnych uczuć. Pożąda gwałtownie tego, na co ma akurat ochotę - nienawidzi namiętnie wszystkiego, co stoi mu na przeszkodzie. Jest zdolny popełniać najgorsze zbrodnie bez żadnych skrupułów; skłonny raczej przeklinać bliźnich niż żałować za swoje grzechy. Okoliczności, jakie sam stwarza, udostępniają mu rzadką znajomość tajemnic życia, która może służyć jego egoistycznym celom. Jest cierpliwym obserwatorem, gdy jego namiętności tego wymagają, i dokładnym kalkulatorem nie z umiłowania prawdy, ale tam, gdzie miłość własna zaostrza jego zdolności. Człowiek taki może stać się uczonym.

Należy się więc spodziewać, że podobny osobnik, znając z doświadczenia wpływ swoich sztuczek na innych oraz wypróbowałszy na sobie siłę własnej woli, będzie jak najusilniej drogą studiów rozszerzał swą wiedzę. Kocha on życie, boi się śmierci, ma silną wolę przeobrażania. Ale nie może przywrócić sobie młodości, podobnie jak i zatrzymać nadchodzącej śmierci. Nie może też uczynić nieśmiertelnym swego ciała. Mimo to potrafi na niewiarygodnie długi okres odwlec proces starzenia. Rok nie postarzy go więcej niż innych godzina. Intensywna wola, przekuta w system naukowy, czuwa nad zachowaniem jego cielesnej powłoki. On żyje. By jednak nie budzić podejrzeń, od czasu do czasu pozornie umiera.

Zapewniwszy sobie środki finansowe oraz odprawienie ceremonii pogrzebowych, człowiek ten znika i ukazuje się na drugim końcu świata, gdzie żyje sobie spokojnie, przez nikogo nie podejrzewany. Nie zjawia się też na terenach dawnej swej działalności, dopóki żyje ktoś, kto mógłby go poznać. Gbyby miał

jakieś uczucia, byłby głęboko nieszczęśliwy, ale nie ma żadnych - chyba tylko dla siebie. Żaden uczciwy człowiek nie luznałby jego długowieczności, żadnemu też - czy byłby dobry, czy zły - nie mógłby powierzyć tej tajemnicy. Człowiek, jakiego opisałem, mógłby istnieć - więcej: człowieka takiego widzę teraz przed sobą. Książę... z dworu... dzielący czas między rozpustę i burdy, alchemię i czary, w ubiegłym stuleciu zaś znany szarlatan i kryminalista, występujący pod nazwiskiem nie tak już przyzwoitym jak dziś i zamieszkujący dom, o który dziś pan pytał. Człowiek ten uciekł przed prawem, które sam pogwałcił. Precz z miast i domostw zdrowych moralnie ludzi! Precz do imperiów, które przeminęły, precz na dzikie pustynie...

W odpowiedzi usłyszałem szept tak bardzo melodyjny, że zdawał się całego mnie przenikać i obezwładniać wbrew mojej woli...

- Szukałem takiego człowieka jak ty przez całe stulecia. Nareszcie znalazłem! Nie rozstaniemy się, póki mi nie powiesz, czego chcesz. Jest w tobie wizja przeszłości i przyszłości. Wyteż myśl i patrz w przyszłość!

Kiedy to mówił, odniosłem takie wrażenie, jakbym opuściwszy powłokę cielesną uniósł się na skrzydłach orła ponad budynek, w przestrzeń bezkresną. Byłem poza moim ciałem. Gdzie - nie wiem. W każdym razie gdzieś ponad czasem i ponad ziemią.

I znów usłyszałem melodyjny szept: - Masz rację, posiadam wielkie tajemnice dzięki sile woli. To prawda, że wola i wiedza mogą opóźnić proces starzenia, ale śmierć przychodzi nie tylko z wiekiem. Cóż mogę, na przykład, poradzić na wypadki, w których tak często giną młodzi? Nic. Każdy wypadek to przeznaczenie, a wobec przeznaczenia ludzka wola jest bezsilna.

Powiedz, jaki będzie mój koniec: czy miną wieki, nim wreszcie

umrę pod brzemieniem lat postępujących powoli, ale nie (uchronnie, czy też zginę w jakim wypadku?

- Zginiesz w wypadku.

- Jak dużo mam jeszcze czasu? - zapytał nieco drżący głos - Mierząc w kategoriach mego życia - bardzo dużo.

- Czy przed śmiercią powrócę między ludzi, by dzielić ich losy jak dawniej, zanim poznałem wielkie tajemnice? Czy wezmę czynny udział w ich codziennej walce, troskach i nadziejach. A może rozum mędrca zdobędzie mi potęgę królów?

- Kiedyś jeszcze odegrasz na ziemi rolę, która poruszy i wprawi w zdumienie cały świat. Ty - istota niezwykła - dla niezwykłych też celów żyjesz całe stulecia. Wszystkie tajemnice, których dotąd strzegłeś, znajdują zastosowanie. Wszystko to, o sprawie, żeś teraz obcy ludzkim generacjom, uczyni cię ich panem. Jak drzewa i trawy porywa i wsysa wir wody, tak pokolenia całe i trony miotać będzie huragan twej woli. Straszliwy niszczycielu, któryś w swym zniszczeniu wbrew własnej woli stał się twórcą!

- Czy chwila ta jest odległa?

- Bardzo odległa, ale gdy nadejdzie - koniec twój będzie bliski.

- Jak to się stanie?

- Spójrz w cztery strony świata. Na Północy, przed którą instynkt twój cię ostrzega, gdzie nie powstała jeszcze twoja noga - pochwyci cię widmo. To będzie śmierć. Widzę statek - coś na nim straszy, coś go ściga. Statek płynie naprzód. Za nim sunie flotylla zbłąkanych okrętów. Statek wpływa w krainę lodów, pod niebem purpurowym od meteorów. Dwa księżycy wiszą nieruchomo nad lodowymi rafami. Widzę, jak statek utknął w białym wąwozie lodowych skał. Jego pokład zasłany jest trupami - sztywne, sine ciała pokryte zieloną pleśnią. Jeden tylko człowiek pozostał przy

życiu - to ty! Ale lata, choć tak wolno płynęły, wycisnęły na tobie piętno. Na twarzy widać zapowiedź starości - wola osłabła w komórkach mózgu. Lecz ta wola, choć nie tak już silna, przewyższa wszystko, do czego człowiek był dotąd zdolny. Dzięki niej, nękanym głodem utrzymujesz się przy życiu. Natura jednak odmawia ci już posłuszeństwa w tej krainie śmierci. Niebo jest jak z ołowiu, powietrze ściska żelaznymi kleszczami, a lód wrzyna się w kadłub statku. Słyszysz, jak statek trzeszczy i jęczy? Jeszcze chwila, i lód wchłonie go jak bursztyny żdźbło trawy. Nagle wyłania się ostać ludzka - jeszcze żywa; opuszcza statek z jego trupami i wznosi się na sam szczyt lodowej skały, dwa księżyce patrzą i góry na ludzką sylwetkę. Ten człowiek to ty. Ogarnia cię Itrach, strach zniszczył twą wolę.

Widzę, jak na lodowe urwisko wspinają się dwa szare kształty - niedźwiedzie Północy wyczuły ofiarę. Niezdarnie podchodzą coraz bliżej i bliżej... przewalają się z boku na bok. Każda chwila tego dnia wyda ci się dłuższa niż wieki, które przeżyłeś. Pamiętaj, że po śmierci te chwile składają się na błogosławieństwo lub piekło wieczności.

- Szsza - wyszeptał głos. - Ale ten dzień, jak mówiłeś, jest jeszcze daleki, bardzo daleki, prawda? Wracam do moich drzew migdałowych i róż Damaszku... Spij!

Pokój zakołysał mi się przed oczyma. Straciłem świadomość. Gdy się ocknąłem, G... trzymał moją rękę i uśmiechał się do mnie.

- Ty, który tyle mówiłeś o swej odporności ma hipnozę, uległeś, jak widzę, memu przyjacielowi Richardsowi.

- Gdzie on jest?

- Wyszedł, gdy zapadłeś w trans. Na odchodnym szepnął mi tylko: „Twój przyjaciel nie obudzi się przed upływem godziny”. Jak mogłem najspokojniej spytałem, gdzie mieszka pan Richards.

- W hotelu „Trafalgar” - odparł.

- Chodź ze mną - poprosiłem. - Odwiedzimy go; mam mu coś do powiedzenia.

W hotelu powiedziano mi, że pan Richards wrócił ze dwadzieścia minut temu, zapłacił rachunek i polecił swojemu służącemu, Grekowi, by spakowawszy bagaż udał się na Malte parowcem opuszczającym nazajutrz Southampton. O sobie powiedział pan Richards tylko tyle, że musi złożyć parę wizyt w okolicach Londynu i że inie jest pewien, ozy zdąży na ten parowiec. Gdyby się spóźnił, pojedzie następnym.

Portier spytał mnie o nazwisko, po czym wręczył mi kartkę zostawioną przez pana Richardsa na wypadek, gdybym przyszedł.

List brzmiał, jak następuje:

Chciałem, by odkrył pan przede mną swoje myśli. Usłuchał mnie pan. Roztoczyłem więc nad panem swoją władzę. Przez trzy miesiące, począwszy od dziś, nie wolno panu wspomnieć o tym, co zaszło między nami. Nie wolno też pokazać tego listu pańskiemu przyjacielowi. Przez trzy miesiące musi pan zachowywać bezwzględne milczenie we wszystkim, co mnie dotyczy. Gdyby pan wątpił w moc zakazu, proszę spróbować go złamać. Przy końcu trzeciego miesiąca czar zostanie zdjęty. Poza tym oszczędzę pana. Odwiedzę pański grób dokładnie w rok i dzień po pogrzebie.

Tak kończy się dziwna historia, o której autentyczności nie będę nikogo przekonywał. Spisałem ją wiernie w trzy miesiące po otrzymaniu powyższego listu. Nie mogłem tego zrobić wcześniej, podobnie jak mimo jego usilnych nalegań nie mogłem

pokazać G... kartki, którą czytałem pod jego bokiem przy świetle gazowej lampy.

Przełożyła Zofia Uhrynowska

EDGAR ALLAN POE

Zagłada domu Usherów

Przez cały mroczny i smętny dzień jesienny, pod ciężką powalą obłoków, co wlokły się nisko po niebie, przebiegałem samotnie na koniu dziwnie zamarłą połąć kraju - i dopiero z nastaniem wieczornego zmierzchu ujrzałem przed sobą posepny Dom Usherów. Gdy po raz pierwszy zamajaczył mi przed oczyma, targnęła mą duszą - sam nie wiem dlaczego - nieposkromiona żalność. Powiadam: nieposkromiona, bowiem uczucia tego nie łąiły owe rozkoszne, przepojone poezją wrażenia, jakich zazwyczaj doznaje człowiek na widok najgroźniejszych naturalnych; przejawów okropności i spustoszenia. Patrzyłem na roztaczającą się przede mną widownię: na dom i pospolite zarysy krajobrazu całej włości, na żalobne mury, na okna, zgasłym podobne źrenicom, na kępy drętowego sitowia, na białawe pnie obumarłych drzew - z bezgranicznym przygnębieniem, do którego z odczuwań ziemskich żadne snadniej przyrównać się nie da od wrażeń nałogowego palacza opium, gdy budząc się, znów z goryczą wraca do szarzyzny życia. Złodowaciała, zniżyła się, omdlała dusza - potępieńczym zrozpaczeniem przepoiła się myśl, której żadna tortura wyobraźni ku niczemu wzniosłemu pobudzić nie mogła. Dlaczego - przystanałem w zamyśleniu - dlaczego czuję się tak nieswój spoglądając na dom Usherów? Była w tym nieodgadniona tajemnica; na próżno pasowałem się z upiornymi zwidami, co naprzykrzały się mej zadumie. Musiałem poprzestać

w końcu na bynajmniej niezadowolającym wniosku, iż w przyrodzie istnieją snadź zestawienia najpospolitszych przedmiotów, którym dana jest moc oddziaływania na nas w ten właśnie sposób, jednakowoż zbadanie tej mocy należy do dziedziny niedostępnych już dla nas tajni. Jest rzeczą możliwą - myślałem sobie - iż dość zmienić rozmieszczenie części składowych jakiejś sceny lub szczegółów jakiegoś obrazu, by się przekształciła lub snadź „nawet zupełnie zanikła ich zdolność wywoływania smutnych wrażeń; takie snując myśli, skierowałem mego konia na urwisty brzeg czarnej, zasepionej topieli, co roztaczała wokół domu zastygłe w bezruchu zwierciadło, i z dotkliwszym jeszcze niż poprzednio drżeniem spoglądałem na odbite w niej, przeinaczone obrazy szarego sitowia, upiornych pni drzew tudzież zgasłych niby źrenice okien.

A jednak w tym przybytku żalości zamierzałem spędzić kilka tygodni. Jego właściciel, Rodryk Usher, należał ongi do najmiłszych towarzyszy mojego dzieciństwa, nie widzieliśmy się wszakże już od wielu lat. Dopiero przed niedawnym czasem, gdym przebywał właśnie w odległych stronach, doręczono mi jego list, w którym z niezwykłą natarczywością domagał się tylko ustnej odpowiedzi. W piśmie widniały oznaki podniecenia nerwowego. Skarżył się na obłożną chorobę ciała, na dolegliwy rozstrój duchowy - i oczekiwał mnie z najgorętszym upragnieniem jako swego najlepszego i jedynego druha, spodziewając się, iż pogodne me usposobienie wpłynie kojąco na jego niedomaganie. Sposób, w jaki pisał o tych i innych jeszcze rzeczach, tudzież nie tajony, błagalny odzew serca nie pozwalały na zwłokę; usłuchałem też natychmiast tego osobliwego wezwania.

Jakkolwiek w dzieciństwie łączyła nas ścisła zażyłość, niewiele wiedziałem o mym przyjacielu. Odznaczał się zawsze przesadnie wrodzoną skrytością. Słyszałem atoli, iż starożytny jego ród już od niepamiętnych czasów słynął z wyjątkowej wrażliwości usposobienia, co przez długie wieki znajdowała ujście w mnogich dziełach szczytnej sztuki, w ostatnich zaś latach przejawiała się równie często w uczynkach wielkodusznego i nie dbającego o poklask miłosierdzia, jak w namiętnym zamiłowaniu do niedocieczonych snadź raczej niż powszechnie uznanych i łatwo dostępnych piękności wiedzy muzycznej. Mówiono mi również o nader znamiennej okoliczności, iż szanowany wszystkie czasy ród Usherów nie wydał nigdy trwalszego odgałęzienia, czyli że cała rodzina wyprowadzała się tylko z linii prostej i że z wyjątkiem nader nieznacznych i krótkotrwałych odstępstw bywało tak zawsze. Rozważając w myśli doskonałą zgodność, zachodzącą między charakterystycznymi cechami włości a znanymi powszechnie właściwościami rodu, oraz zastanawiając się nad możliwością wpływów, jakie w ciągu wieków ziemi te mogły wyrzucić na swych właścicieli, zrozumiałem, dlaczego ów brak bocznych linii i - co za tym idzie - nieodmienne przenoszenie się imienia i dziedzictwa z ojca na syna wytworzyły między jednym a drugim tak ścisłą łączność, iż pierwotne miano posiadłości zanikło na rzecz dwuznaczej nazwy „Dom Usherów” - która w rozumieniu posługującego się nią ludu obejmowała zarówno ród, jak i jego siedzibę.

Wspomniałem już, iż jedynym następstwem mojej nieco dziecinnej zachcianki, by rzucić okiem w głąb topieli - było pogłębienie pierwotnego, dziwnego wrażenia. Przeświadczenie o szybkim wzroście mej zabobonnej trwogi - bo i czemuż nie mam jej określić tym słowem? - przyczyniło się niewątpliwie do

przyśpieszenia tegoż wzrostu. Jest to od dawna mi znane, paradoksalne prawo wszystkich odczuwań wynikających z trwogi i snadź jego było to dziełem, iż wzniósłszy oczy ku domowi od jego odbicia w toni, uległem szczególnemu przywidzeniu - przywidzeniu istotnie tak śmiesznemu, iż wspominał o nim jedynie na dowód przemożnego nasilenia gnębiących mnie wrażeń. W rozkiełznaniu wyobraźni zwidziało mi się, iż włość i zabudowania spowija jakaś szczególna atmosfera - atmosfera nie mająca nic wspólnego z powietrzem przestworów, lecz podnosząca się ze spróchniałych drzew, szarych ścian i głuchoj topieli zatrutym, mistycznym wyziewem, ponurym i stężonym, o ledwo widocznym zabarwieniu ołowiu.

Otrząsając się z tych sennych rojeń, bo przecież nie mogło to być nic innego, jałem zastanawiać się dokładniej nad rzeczywistym wyglądem budynku. Był on przede wszystkim niesłychanie stary. Wyblakły doszczętnie ściany w ciągu wieków. Od zewnątrz omszały drobnym porostem, zwieszającym się z rynien misternie splecioną tkanką. Pomimo to nie było widać wyraźniejszych oznak zniszczenia. Nie waliły się nigdzie mury, jakkolwiek ich niespożyta krzepkość pozostawała w osobliwej sprzeczności ze zwiertzałością poszczególnych cegieł. I przyszły mi na myśl owe stare drewniane wiązania, co butwiejąc od dawna w zatechłym, nie wietrzonym podziemiu zachowują do czasu pozory trwałości. Wszelako te śtady próchnienia nie nadawały bynajmniej budynkowi wyglądu ruiny. Być może, iż oku bacznego widza nie uszłaby ledwie widoczna rysa, co poczynając się od dachu, biegła w dół, na przedniej ścianie domu, zygzakowatą znacząc się linią, i w wodach mętnej ginęła topieli.

Pogrążony w tych spostrzeżeniach minąłem krótką groblę i

zatrzymałem się przed domem. Oczekującemu tam pacholękowi oddałem konia i wszedłem pod gotyckie sklepienie przedsionka. Cicho podbiegł ku mnie służący i mrocznymi, krętymi korytarzami poprowadził mnie w milczeniu do komnaty swego pana. Wszystko, co spotykałem po drodze, przyczyniało się, nie wiadomo czemu, do spotęgowania wspomnianych już przeze mnie niepojętych wrażeń. Aczkolwiek otaczające mnie przedmioty - rzeźbione stropy, zatarte na ścianach obicia, posadzki, lśniące czernią hebanu, i widmowe, rycerskie trofea, co szczękały za każdym moim stąpieniem - różniły się niewiele lub nie różniły się wcale od tych, do których nawykłem od dzieciństwa; aczkolwiek rozpoznawałem niezwłocznie te rzeczy, tak dobrze mi znane, mimo to nie wychodziłem z podziwu, iż zwyczajne przedmioty mogą wywoływać tak niezwykłe urojenia. Na schodach spotkałem domowego lekarza. Twarz jego mignęła mi przed oczyma wyrazem uniżonej przebiegłości z domieszką zakłopotania. Pozdrowił mnie lękliwie, nie zwalniając kroku. Wtem służący rozwarł na oścież drzwi i wprowadził mnie do pokoju swojego pana.

Była to komnata bardzo obszerna i wysoka. Ostrołukowe jej okna, wąskie i długie, umieszczone były tak wysoko nad posadzką z czarnego dębu, iż niepodobna było ich dosięgnąć. Nikłe smugi nasyconego purpurą światła napływały przez zakratowane szyby i uwydatniały znajdujące się w pobliżu przedmioty; natomiast do odleglejszych kątów pokoju jako też do załomów jego sklepionego, szczerze rzeźbionego stropu niepodobna już było przeniknąć spojrzeniem. Na ścianach wisały ciemne draperie. Urządzenie składało się z mnóstwa odwiecznych, podniszczonych i niewygodnych sprzętów. Dokoła leżały porozrzucane instrumenty muzyczne i książki, nie

przyczyniając się wszakże do ożywienia całości. Owiało mnie powietrze przesiąknięte smutkiem. Wszystko było przepojone i przytłoczone tchnieniem surowej, głębokiej i beznadziejnej melancholii.

Gdym wszedł, Usher podniósł się z sofy, na której dotychczas spoczywał, i przywitał mnie z najżywszą serdecznością, co zrazu wydało mi się Wymuszonym, zdawkowym odruchem przeżytego światowca. Spojrzawszy mu wszelako w oczy, przekonałem się o najzupełniejszej jego szczerości. Kiedyśmy usiedli, milczał przez chwilę, ja zaś patrzyłem nań, przeniknięty na poły współczuciem, na poły grozą. Bo rzeczywiście, nie było chyba jeszcze człowieka, który by w równie krótkim czasie uległ okropniejszym zmianom od tych, jakie zaszły w Rodryku Usherze! W tej wybladłej istocie niełatwo przyszło mi rozpoznać towarzysza, mych lat chłopięcych. A jednak oblicze jego zastanawiało zawsze swą wyrazistością. Śmiertelna bladość lic; oczy duże, łzawe i niezrównanie przenikliwe; usta nieco cienkie i nadzwyczaj blade, lecz składające się w przedziwnie piękną krzywiznę; nos subtelny, jak u Żydów, kształtu, o rozdętych wszelako nozdrzach; broda szlachetnie zarysowana, lecz nie wystająca, co świadczyło o braku woli; wreszcie włosy, miękkie i delikatne jak przedziwo - wszystkie te cechy w połączeniu z nadmiernie rozwiniętą skronią składały się na oblicze, które niełatwo dawało się zapomnieć. Najistotniejsze wszakże tych rysów znamiona, jak również właściwy im wyraz uwydatniły się z czasem, co wywołało tak ogromną zmianę, iż jałem powątpiewać, do kogo mówię. Upiorna bladość twarzy oraz czarodziejska świetlistość źrenic przede wszystkim zdjęły mnie niepokojem i trwogą. Urosły mu również jedwabiste włosy i opływały raczej, niż okalały jego twarz dziwnym, jak gdyby

pajęczym opłotem, którego arabeskowości żadną miarą nie można było pogodzić z myślą o zwykłym człowieczeństwie.

W zachowaniu mego przyjaciela zastanowił mnie od razu pewien chaos i bezład; rychło zdałem sobie sprawę, iż były one następstwem słabych i płonnych wysiłków, zmierzających do opanowania ciągłego niepokoju, daleko posuniętego rozstroju nerwowego. Na podobne objawy byłem zawczasu przygotowany; uprzedziły mnie o nich nie tylko jego listy i wspomnienia niektórych cech z lat chłopięcych, lecz także wnioski, na jakie naprowadziły mnie właściwości jego temperamentu, jak również konstrukcji fizycznej. Ruchy jego były na przemian żywe, to znów opieszale. Głos (zwłaszcza w chwilach zupełnego odpływu sił) drżący, niepewny, nabierał nagle energicznej stanowczości; po czym urywane, powolne i niepewne dźwięki przeobrażały się w zrównoważone i dobitne wypowiedzi, podobnie jak u nałogowych pijaków lub u ludzi działających pod wpływem opium, kiedy są w okresie najsilniejszego podniecenia. W taki sposób mówił o celu mych odwiedzin oraz o tym, iż gorąco pragnął mnie zobaczyć, spodziewając się, że dodam mu otuchy. Wyjaśniał mi obszernie, na czym polegała jego choroba. Miało to być niedomaganie wrodzone i dziedziczne, na które - zdaniem jego - nie było lekarstwa. „Oczywiście to najzwyczajniejszy rozstrój nerwowy - dodał niezwłocznie - który rychło przeminie”. Przejawiało się to mnóstwem nieprawidłowych odczuć. Gdy jął o nich opowiadać, niektóre zaciekały i przeraziły mnie zarazem, do czego w znacznej mierze przyczyniły się zapewne użyte przezeń wyrażenia oraz cały tok opowiadania. Dolegało mu wielce chorobliwe zaostrenie zmysłów; mógł spożywać tylko małe potrawy; znośna dlań była odzież jedynie z niektórych tkanin; sprawiała mu przykrość woń kwiatów; nawet

przyćmione światło raziło jego oczy, zaś wszystkie dźwięki prócz dźwięków pewnych strunowych instrumentów muzycznych były dlań nie do zniesienia.

Podlegał niewolniczo jakiemuś osobliwemu uczuciu grozy. „Zgubi mnie - mówił - to żalosne szaleństwo, musi mnie zgubić. Wiem, iż przez nie zginę. Lękam się przyszłych zdarzeń, nie dla nich samych, lecz dla tego, co przyniosą. Wzdrygam się na myśl o każdym, najbardziej nawet błahym wypadku, gdyż może on pogłębić nieukojoną rozterkę mej duszy. Nie przeraża mnie niebezpieczeństwo, lękam się tylko jego nieuniknionego następstwa: grozy. W mym zagubieniu, w mej rozpaczycy czuję, iż wcześniej lub później nadejdzie chwila, gdy postradam życie i rozum w walce z potworną chimerą TRWOGI”.

Z czasem urywane i niejasne napomknienia odsłoniły mi jeszcze inne zagadkowe rysy jego stanu duchowego. Pozostawał pod wpływem jakichś przesądów dotyczących domu, w którym mieszkał i z którego przez długie lata nie śmiał się oddalić - dotyczących również jakiegoś wpływu, którego rzekomą moc zawarł w określeniach nazbyt ciemnych, by dały się tu powtórzyć:” pewne osobliwe właściwości, zawarte w kształtach i materialnej istocie jego rodowego gniazda, drogą długotrwałego cierpienia miały osiągnąć ten wpływ na jego ducha; zmysłowe zatem oddziaływanie szarych wieżyc i murów jako też mrocznej, odzwierciedlającej je toni przeniosło się ostatecznie w sferę jego duchowego istnienia.

Przyznawał jednakże, acz nie bez wahania, iż gnębiąca go żalność wypływa z prostszej i łatwiej uchwytnej przyczyny: była nią ciężka i zadawniona choroba, a raczej bliski już zgon ukochanej siostry, przez długie lata jedynej towarzyszki i ostatniej jego krewnej. „Po jej śmierci - rzekł do mnie z goryczą,

której nigdy nie zapomnę - złamany rozpaczą, będę ostatnim ze starożytnego rodu Usherów”. Gdy mówił, lady Madeline (gdyż takie było jej imię) przesunęła się z wolna w głębi komnaty i zniknęła, nie zauważywszy mej obecności. Patrzyłem na nią ze zdumieniem, nie bez lęku, acz było dla mnie niepodobieństwem zdać sobie z tych uczuć sprawę. W osłupieniu podążałem spojrzeniem za odchodzącą. Kiedy drzwi się za nią zamknęły, oczy moje bezwiednie przeniosły się na twarz brata; lecz ukrył ją w dłoniach i dostrzegłem tylko, że wychudłe jego palce okryła silniejsza niż zazwyczaj bladość i sączą się między nimi łzy. Zadawnionej niemocy lady Madeline na próżno starali się zapobiec lekarze. Przewlekła apatia, wzmagające się stopniowo wyczerpanie organizmu oraz częste, jakkolwiek przemijające objawy kataleptycznej natury składały się na niezwykle obraz choroby. Dotychczas opierała się mężnie dolegliwościom i nie kładła się do łóżka; ze schyłkiem wszakże pierwszego po mym przyjeździe wieczora uległa (jak mi jej brat oświadczył nocą z niewysłowionym wzruszeniem) trawiącemu ją schorzeniu; dowiedziałem się zarazem, że owo przelotne widzenie będzie zapewne ostatnie - że żywej prawdopodobnie już jej nie zobaczę. Przez kilka następnych dni nie wspominaliśmy jej imienia; upłynęły mi one na najusilniejszych staraniach, by ukoić melancholię mojego przyjaciela. Spędzaliśmy czas na wspólnym czytaniu i malowaniu; niekiedy, w sen jakby zapadłszy, siedziałem zasłuchany w porywające improwizacje, które umiał wyczarować z gitary. Zacieśniająca się z dniem każdym między nami zażyłość torowała mi coraz swobodniejszy dostęp do tajników jego ducha; z tym większą goryczą nabierałem przeświadczenia o płonności wszystkich zabiegów, zmierzających do rozpogodzenia umysłu, którego oćma, niby

jakaś nieodłączna i rzeczywista władza, osnuwała nieustającą żalością wszystkie zjawiska duchowego i zmysłowego świata.

Nie wygaśnie nigdy w mej duszy pamięć wzniosłych chwil, spędzonych w towarzystwie ostatniego z Usherów. Trudno jednak byłoby mi określić dokładniej rodzaj studiów i zajęć, w które mnie wtajemniczył lub do których wytknął mi drogę. Jego czujny i nieokiełznany idealizm wszystko swym fosforycznym oblewał blaskiem. Jego długie, improwizowane pienia żałobne nieustannie dźwięczą mi w uszach. Przeboleśnie utkwiała mi w duszy dziwna jakaś parafraza i dopełnienie dzikiej melodii z Ostatniego Walca Webera. Spomiędzy obrazów, co poczynały się z jego twórczej wyobraźni i za każdym dotknięciem pędzla roztaczały się w nieokreśloność, tym przenikliwszym wstrząsającą mnie dreszczem, iż drżałem, sam nie wiedząc dlaczego - spomiędzy tych obrazów (jakkolwiek tak żywo stoją mi przed oczyma) nie zdołałbym opisać żadnego prócz niewielu, pokrewnych już dziedzinie pisanego słowa. Nadzwyczajną prostotą oraz najzupełniejszym odsłonięciem swych zamierzeń przykuwał uwagę. Jeżeli człowiekowi śmiertelnemu udało się kiedykolwiek namalować ideę, to Hodryk Usher był tym człowiekiem. Dla mnie przynajmniej - w okolicznościach, w jakich się znajdowałem - z czystych abstrakcji, które ten melancholik starał się wyrazić na płótnie, wiała taka przepotężna i niewysłowiona groza, jaką płomienne, lecz nazbyt jeszcze rzeczywiste marzenia Fuseliego nie przejmowały mnie nigdy.

Pewien fantastyczny, mniej wszakże w abstrakcjach zaprzepaszczony utwór mojego przyjaciela postaram się, acz nieudolnie, nakreślić tu w słowach. Nieduży ten obrazek przedstawiał wewnątrz jakiegoś niezmiernie długiego,

prostokątnego podziemia czy tunelu o niskim stropie, gładkich i białych ścianach, pozbawionych wszelkich ozdób. Niektóre szczegóły uboczne miały naprowadzać na domysł, że tunel ten znajduje się niesłychanie głęboko pod powierzchnią ziemi. Na całej jego ogromnej przestrzeni nie widniało nigdzie wyjście, nie było pochodni ani żadnego innego źródła światła, a jednak powódź jaskrawych blasków roztaczała się wszędzie i zatapiała czeluść upiorną, nieodgadnioną poświatą.

Schorzenie nerwu słuchowego, o którym już wspomniałem, sprawiło, iż prócz dźwięków instrumentów strunowych Usher nie znosił muzyki. Być może, iż właśnie ów wąski zakres, w jakim się zasklepił, grywając tylko na gitarze, grę jego fantastycznym otoczył urokiem. Wszelako ognistego polotu, jaki wiał z tych jego *impromptu*, [*Impromptu (franc.) - muzyczny utwór improwizowany] nie można było złożyć na karb zasklepienia. Zarówno melodie, jak i słowa (gdyż nierzadko wtórował sobie rymowanymi improwizacjami) musiały być i były istotnie wynikiem wytężonego, duchowego skupienia, o którym napomknąłem poprzednio, mówiąc, iż zdarza się ono tylko w wyjątkowych chwilach najpotężniejszego, nienaturalnego podniecenia. Słowa jednej takiej rapsodii utkwily mi w pamięci. Być może, iż wstrząsnęła mną ona silniej, niżeli zamierzał, gdyż zdało mi się, że w tajemnym czy misternym jej znaczeniu wyczułem po raz pierwszy zupełne przeświadczenie Ushera, iż szczytny jego umysł chwieje się na swym tronie. Wiersze te, noszące tytuł *Nawiedzony gród*, jeżeli nie dosłownie, to niemal dosłownie brzmiały tak:

I

*Śród zieleni, śród lewady Przez aniołów dzierzon ród Niegdyś
dźwignął się z posady Promienisty, wzniosły gród.*

Kędy myśli królowania, Tam ten twór!

Większe chwały nie osłania Żaden Seraf tęczą piór.

II

Wstęgą złotą, świetną, sławną Wiały znaki z hełmów wież.

(Ach, jak dawno Już - tak dawno!

*Gdzież są, gdzież) Niosły powiew jak posłanki W słodki ów dzień
Na ocienione grodu blanki Pierzchliwą falę wonnych tchnień.*

III

*Przez świetlistych okien dwoje Widział pielgrzym z obcych stron
Płásających duchów roje, Jak na dźwięcznej lutni ton W krąg
stolicy złotolitej Zataczały tan U stóp Porfirogenety, [*Urodzony w
purpurze; władca]*

Co władał jako grodu pan.

IV

*Z rubinu każdy grodu wrzeczadz, Blask pereł na drzwiach mży
Przez które lecąc, lecąc, lecąc, Świecące niby skry, Wpadały echa z
każdym mgnieniem, Zaś ten ech tłum Swym czarodziejskim wielbił
pieniem Królewską dostojność i um.*

V

*Ale złe dziwy w smętku szacie Naszły królewski, wzniosły dom
(Ach, król nie ujdzie już zatracie Już nie będzie końca łzom!) A
sława, co kwitnęła jaśniej Niż rajski kwiat, Test tylko mglistym
tworem baśni Z dawno zamierzchłych lat.*

VI

*Widzi dziś pielgrzym wśród lewady Przez okna skrzące blaskiem
łun, Jak się kołyszą zjaw gromady Przy opętańczym zgrzycie strun.
Przez zmierzchłe dźwierze dziką zgrają Miast dźwięcznych ech,
Tłoczą się widma, które znają Nie uśmiech Już, lecz śmiech.*

Przypominam sobie, iż wywołana nastrojem ballady wymiana myśli nastąpiła Usherowi sposobność do wygłoszenia poglądu, o którym wspomnę nie dla jego nowości, gdyż myśli tej hołdowali już inni, lecz dla stanowczości, z jaką się przy nim upierał. Pogląd ten w swej zasadzie opiewa, iż wszystkie ustroje roślinne wyposażone są w zdolności odczuwania. Atoli w jego rozkojarzonej wyobraźni myśl ta śmielszego nabrała rozpędu i z pewnymi zastrzeżeniami ogarniała także dziedzinę świata nieorganicznego. Nie mam słów na wyrażenie całego zakresu oraz surowej beznadziejności tych jego zapatrywań. Pozostawały one w związku (jak już poprzednio napomknąłem) z szarymi kamieniami siedziby jego praojców. Zdolność odczuwania rozwinęła się w niej - jak sobie wyobrażał - zarówno pod wpływem układu i sposobu zestawienia kamieni, jak pod wpływem porastających je mchów oraz okolicznych spróchniałych pni drzewnych - przede wszystkim zaś skutkiem długiego, niezmaconego trwania tych właściwości jako też ich odbicia w cichych wodach topieli. Świadczy o niej - o owej zdolności odczuwania - (rzekł do mnie, ja zaś wzdrygnąłem się na te jego słowa) stopniowe, lecz „niezawodne zgęszczanie się dokoła wód i murów pewnej właściwej im atmosfery. Następstwa - dodał jeszcze - przejawiają się w utajonym

wprawdzie, niemniej wszakże przemożnym i straszliwym odwiecznym oddziaływaniu na losy jego rodu, z niego zaś samego uczyniły to, czym był i czym jest obecnie. Poglądy takie nie potrzebują komentarzy, więc ich dawać nie zamierzam.

Książki nasze - te książki, co przez długie lata przyczyniały się niemało do kształtowania jego duchowych nastrojów, pozostawały - jak łatwo się domyślić - w najściślejszej łączności z tym światem przywidzeń. Zagłębialiśmy się razem w takich dziełach jak: *Ververt i Chartreuse* Gresseta, *Belphegor* Macchiavellego, *Niebo i piekło* Swedenborga, *Podróż podziemna Nicholasa Klimma* Holberga, *Chiromancja* Roberta Fluda, Jean d'Indagine'a i de la Chambre'a, *Podróż w błękity* Tiecka tudzież *Miasto słońca* Campanelli. Jedną z ulubionych jego książek było *Directorium Inquisitorium*, wydane w małej ósemce przez dominikanina Eymerica de Gironne, zaś nad niektórymi ustępami Pomponiusza Meli, gdzie jest mowa o starodawnych afrykańskich, satyrach i oegipanach, mógł Usher w zadumie długie spędzać godziny. Z największym wszakże upodobaniem rozczytywał się w nadzwyczaj rzadkiej i tajemniczej gotyckiej księdze, pochodzącej z jakiegoś zapomnianego kościoła, a noszącej tytuł: *Vigiliae Mortuorum secundum Chorum, Ecclesiae Maguntinae*.

Zastanawiałem się właśnie nad dziwnym rytuałem tego dzieła oraz nad przypuszczalnym jego wpływem na melancholię mojego przyjaciela, gdy pewnego wieczora zawiadomił mnie on niespodziewanie o zgonie lady Madeline, oświadczając zarazem, iż zamierza złożyć jej zwłoki (zanim odbędzie się pogrzeb) na jakieś dwa tygodnie w jednym z podziemi zamczyska. Powody, jakimi uzasadniał to osobliwe postanowienie, były tego rodzaju, iż sprzeciwiać się mu nie mogłem. Ową decyzję powziął rzekomo

pod wpływem niezwykłych objawów chorobowych zmarłej oraz natarczywych i badawczych nagabywań jej lekarzy, a przyczyniła się jeszcze i ta okoliczność, iż groby rodzinne w znacznej znajdowały się odległości i nie były należycie zabezpieczone. Przyznaję, iż uprzytomniwszy sobie złowróżbną twarz osobnika, którego w dzień przyjazdu spotkałem na schodach, nie miałem już chęci doradzać Usherowi, by odstąpił od zarządzenia, które wydawało mi się ze wszech miar słuszne i najzupełniej godziwe.

Na prośbę Ushera pomagałem mu przy tym żałobnym obrzędzie. Złożywszy zwłoki do trumny, zanieśliśmy je we dwójkę na miejsce spoczynku. Podziemie, w którym je umieściliśmy (nie otwierano go już od tak dawna, iż nasze pochodnie w stęchłym powietrzu ledwo się jarzyły, nie pozwalając nam rozejrzeć się dokładniej), było małe, duszne i zupełnie pozbawione dopływu światła, położone zaś było ogromnie głęboko, bezpośrednio pod tym skrzydłem zamku, gdzie znajdował się mój pokój sypialny. Za dawno minionych feudalnych czasów służyło widać ono jako loch więzienny, później zamieniono je zapewne na skład prochu czy też innych wybuchowych materiałów, gdyż zarówno część posadzki, jak i całe wnętrze długiego, sklepionego korytarza, który do niego prowadził, opancerzono starannie miedzią. Potężne dźwierze żelazne były również zabezpieczone w ten sam sposób. Poruszając się na zawiasach, wydawały przeraźliwy zgrzyt, olbrzymim spowodowany ciężarem.

Złożywszy nasze żałobne brzemię na marach śród tego przybytku grozy, uchyliliśmy nie przytwierdzone jeszcze wieko trumny, by przyjrzeć się obliczu zmarłej. Zastanowiło mnie przede wszystkim uderzające podobieństwo między bratem a

siostrą, toteż Usher, jakby odgadując moje myśli, wyszeptał kilka słów, z których się dowiedziałem, iż byli bliźniętami i że zawsze wprost niepojęta łączyła ich sympatia. Ale spojrzenia nasze niezbyt długo spoczywały na zmarłej, gdyż nie mogliśmy patrzeć na nią bez drżenia. Choroba, która przecięła wątek młodego jej życia, pozostawiła, jak to zazwyczaj się zdarza przy wszystkich niedomaganiach o ściśle kataleptycznym charakterze, złudzenie lekkiego rumieńca na licu i na piersiach, a na ustach ów zagadkowo tęskny uśmiech, co tak strasznie wygląda u zmarłych. Zamknęliśmy i przytwierdziliśmy wieko, po czym zasunawszy żelazne dzwierze powróciliśmy nie bez trudu do niewiele pogodniejszych komnat, stanowiących wyższe piętro zamczyska.

Mijał dzień za dniem nieprzepłakanego żalu, gdy w objawach rozstroju duchowego mojego przyjaciela zaszła widoczna zmiana. Zachowywał się inaczej niż zazwyczaj. Poniechał całkiem swych zajęć lub o nich zapomniał. Błądził po komnatach bez celu szybkim i nierównym krokiem. Jeszcze upiorniej stała się śmiertelna bladość jego oblicza, a promienne oczy przygasły. Dawna chrypliwość głosu zanikła, zaś w brzmieniu słów znać było nieustające drżenie, jak gdyby wywołane przerażeniem. Zdawało mi się chwilami, iż stale podniecony jego umysł pasuje się z jakąś tajemnicą i sili się na odwagę, by ją wypowiedzieć. Lecz kiedy indziej składałem znów wszystko na karb niepojętych majaczeń obłądu, gdyż widywałem go, jak z wyrazem najgłębszego skupienia wpatrywał się w próżnię, niby łowiąc uchem jakieś urojone dźwięki. Nie było w tym nic dziwnego, iż etan jego przerażał mnie i udzielał mi się. Czułem, że stopniowo poddaję się nieodpartemu wpływowi jego fantastycznych, lecz porywających przywidzeń.

Zwłaszcza siódmej czy ósmej nocy po przeniesieniu lady

Madeline do podziemia, udawszy się na spoczynek, doświadczyłem na sobie przemożnej ich potęgi. Godziny upływały, lecz sen nie przychodził. Rozumowaniem starałem się stłumić w sobie niepokój, który mną owładnął. Wmawiałem w siebie, iż głównym, jeśli nie wyłącznym mych odczuć powodem był przygnębiający wpływ posępnego umeblowania komnaty - przede wszystkim ciemnych i obszarpanych draperii, co smagane tchnieniem budzącej się burzy trzepotały po ścianach i szeleściły u wezglowia mojego łóża. Jednak wszystkie moje usiłowania były nadaremne. Nieposkromione drżenie jęło stopniowo wstrząsać całym moim ciałem, zaś w końcu nawet w moim sercu rozgościła się zmora najzupełniej nieuzasadnionej trwogi. Otrząsnąłem się z niej wysiłkiem wtili, po czym dysząc ciężko, dźwignąłem się na poduszkach i utkwivszy badawcze spojrzenie w nieprzeniknionych mrokach komnaty, zasłuchałem się - powodowany nie wiedzieć czym, może tylko nieświadomym odruchem instynktu - w jakieś głucho i nieokreślone dźwięki, co z wielkimi przerwami dolatywały nie wiadomo skąd, gdy uciszała się burza. Zdjęty dławiającym uczuciem niepojętej, lecz niezwalczonej grozy, odziałem się pośpiesznie (gdyż czułem, iż nie uda mi się zasnąć tej nocy) i szybkim krokiem jąłem przechadzać się po komnacie, by wyrwać się z tego przykrego nastroju.

Zaledwie wszakże zdążyłem przejść się kilka razy, gdy lekkie stąpanie na przyległych schodach zwróciło moją uwagę. Natychmiast poznałem po chodzie Ushera. Jakoż w chwilę później zastukał z cicha do moich drzwi i wszedł z lampą w ręku. Twarz miał jak zazwyczaj śmiertelnie bladą - lecz w oczach widniała jakaś obłądana radość, a w całym zachowaniu znać było powściągnany atak szału. Wygląd jego zatrwożył mnie - wolałem

jednak jaką bądź zmianę od dotychczasowej gnębiącej samotności i powitałem go z uczuciem ulgi.

- A ty... czy nie widziałeś tego? - odezwał się nagle po chwili niemego osłupienia. - Nie widziałeś? Ale poczekaj, zobaczysz! - To mówiąc osłonił lampę dłonią i podbiegłszy do okna rozwarł je na oścież nie bacząc na burzę.

Wściekły pęd wdzierającego się wichru omal nie obalił nas z nóg. Noc była burzliwa, lecz groźnie piękna - dziwna tym skojarzeniem piękności i grozy. Zamęt powietrzny czerpał widocznie swe siły gdzieś w naszym sąsiedztwie,- gdyż kierunek wiatru ulegał częstym i nagłym zmianom i pomimo nadzwyczajnego zagęszczenia chmur (co wisiały tak nisko, iż zdawały się kłaść na wieżycach zamku) widać było chyżość, z jaką przelatowały na podobieństwo żywych istot, nadciągając ze wszech stron, lecz nie rozpraszając się w przestworzu.

Powtarzam, iż widzieliśmy to zjawisko pomimo niesłychanego zagęszczenia chmur - jakkolwiek nie przesiąkały przez nie promienie gwiazd ni księżyca i nie migotały błyskawice. Zarówno olbrzymi zwał rozkołysanych obłoków, jak i wszystkie znajdujące się na ziemi bliskie nas przedmioty jarzyły się nienaturalną poświatą mgławych, wyraźnie dostrzegalnych wyziewów, co słańały się dokoła i spowijały zamek w swe całuny.

- Nie powinienes... nie trzeba, żebyś na to patrzył! - rzekłem wstrząśnięty do Ushera i przemocą odciągnąłem go od okna, skłaniając, by usiadł. - Te majaki, które cię tak niepokoją, są to po prostu dość pospolite zjawiska elektryczne i najprawdopodobniej zawdzięczają swe upiorne istnienie błotnym oparom topieli. Pozwól, że zamknę okno; powietrze jest ostre i mogłoby ci zaszkodzić. Oto jedna z twych ulubionych powieści. Ja będę

czytał, a ty posłuchaj - i jakoś minie nam ta przekłeta noc!

Starożytna księga, którą wziąłem do ręki, był to *Mad Trist* Sir Lancelota Canninga, jednak nazwanie jej ulubioną powieścią Ushera było raczej posępnym żartem niż rzeczywistością, bowiem cudaczna oschłość i rozwlekłość tego utworu nie licowały wcale ze szczytnym i uduchowionym idealizmem mojego przyjaciela. Lecz była to jedyna książka, którą w tej chwili miałem na podorędziu, a przy tym przyświecała mi nikła nadzieja, iż bezmiar zawartych w niej bredni może wpłynąć kojąco na rozterkę, co targała duszą melancholika (gdyż dzieje zboczeń umysłowych roją się od podobnych sprzeczności). Jakoż sądząc z wyrazu niezmiernie wytężonego skupienia, z jakim słuchał lub zdawał się słuchać powieści, mogłem się cieszyć z powodzenia mego pomysłu.

Dotarłem w czytaniu do owego powszechnie znanego ustępu, gdzie Ethelred, bohater *Mad Trista*, widząc, iż wszelkie jego namowy, by pustelnik dobrowolnie wpuścił go do swej chaty, są bezowocne, postanawia wedrzeć się przemocą. Przypominam, iż opowiadanie brzmi następująco:

Ethelred, co z przyrodzenia chrobre miał serce, a był teraz dużo silniejszy, mocnym poprzednio pokrzepiwszy się winem, zaniechał dalszej rozmowy z eremita, który był istotnie człowiekiem upartym i złośliwym, lecz czując deszcz na karku i nadciągającej obawiając się burzy, dźwignął w górę swą pałkę i szybkimi uderzeniami rum uczynił w bierwionach dzwierzę dla swej pancernej dłoni; po czym wraziwszy ją śmiało, jął tak rwać, siepać i druzgotać do cna, że pogłosy larum szły hen po całym lesie od trzasku suchego i próżni odzywającego się drewna.

Pod koniec tego okresu drgnąłem i zatrzymałem się na chwilę,

gdyż wydało mi się (acz uświadomiłem sobie od razu, iż rozigrana uwodzi mnie wyobraźnia), jak gdybym skądś, z jakiegoś bardzo odległego zakątka, dosłyszał szmer głuchy i przytłumiony, lecz najzupełniej podobny do owego trzasku i łomotu, który Sir Lancelot opisuje tak szczegółowo. Bez wątpienia właśnie to podobieństwo zwróciło moją uwagę, gdyż wśród brzęku szyb w oknach oraz zmaconego poszumu wzmagającej się burzy szmer ten sam przez się na pewno nie byłby mnie zastanowił i zaniepokoił. Czytałem więc dalej:

Alić takiz gniew i przerażenie zdjęło mężnego najeźnika (Ethelreda), gdy przekroczywszy próg nie zastał ani śladu złośliwego eremity; miast niego smok obmierzły, cały w łuskach i z płomienistym językiem, dzierzył straż przed pałacem ze złota, co miał pawiment ze srebra. Także na ścianie wisiała paiza ze szklącej miedzi, na której taka widniała legenda:

Kto wejdzie tutaj, ten zwycięzcą będzie, Smoka zabije i pawęż posiada.

Za czym Ethelred dźwignął swą maczugę i ugodził w łeb smoka, który padł przed nim i wyzionął swe jadowite tchnienie z jękiem tak srogim i okropnym, a zarazem tak przeraźliwym, iż Ethelred dłonią zatulał uszy przed tym straszliwym wrzaskiem, jakiego przedtem nie zdarzyło mu się usłyszeć.

W tym miejscu urwałem znowu, tym razem z uczuciem lodowatego osłupienia - gdyż nie ulegało już wątpliwości, iż w tej chwili doleciał mnie (jakkolwiek nie umiałbym powiedzieć skąd) jakiś słaby i widocznie daleki, lecz chrapliwy przeciągły i niewymownego pełen pojęku zgrzyt - niejako wtór dokładny nadprzyrodzonego ryku smoka, wyczarowanego przez poetę w

mej wyobraźni.

Odurzony tym ponownym i niepojętym zbiegiem okoliczności, miotany najsprzecznieszymi wrażeniami, wśród których przeważało zdumienie i ostateczna groza, zachowałam jednakże tyle przytomności umysłu, iż żadnym niebacznym słowem nie zadrasnąłem przeczulonej wrażliwości mojego towarzysza. Nie miałem bynajmniej pewności, czy zgrzyt ów zwrócił na siebie jego uwagę, aczkolwiek w zachowaniu się jego już od pewnego czasu zaszła szczególna zmiana. Usiadł zrazu zwrócony obliczem ku mnie, po czym stopniowo tak wykręcił krzesło, iż miał przed sobą drzwi komnaty; nie widziałem przeto całej jego twarzy, dostrzegłem wszakże, iż wargi jego drżały jak gdyby bezgłośnym szeptem. Głowa zwisała mu na piersi, ale wiedziałem, iż nie śpi, gdyż z boku mignął mi połysk jego szeroko otwartych, zakrzepłych nieruchomo oczu. Przeczyło temu także przechylenie się jego ciała - kołysał się bowiem w obie strony lekkim, lecz miarowym i nieustającym ruchem. Ogarnąwszy to wszystko jednym rzutem oka, podjąłem na nowo wątek opowieści Sir Lancelota, która w dalszym toku brzmi tak:

Jakoż uszedłszy srogiej furii smoka, najeźnik on wspomniął miedzianą paizę i zawieszoną na niej zakłęcie i usunąwszy ścierwo precz z drogi kroczył mężnie po srebrnym pawimencie zamczyska, kędy na ścianie wisiała paiza: bawej, nie czekała jego przyjścia, ale sama upadła mu pod nogi na srebrną posadzkę z ogromnym i przeraźliwym szczękiem.

Jeszcze te zgłoski nie zdążyły zamrzeć na moich wargach, gdy wtem - jak gdyby istotnie tarcza z miedzi ciężko na srebrną runęła posadzkę - doleciał mnie wyraźnie odgłos jakiś suchy, dźwięczny i metaliczny, acz widocznie przytłumiony. Truchlejąc

z przerażenia, zerwałem się na równe nogi, ale Usher nie zaprzestał swego miarowego, kołyszącego się ruchu. Podbiegłem do krzesła, na którym siedział. Miał oczy nieruchomo utkwione przed siebie, a na licach wyraz kamiennego odrętwienia. Kiedym wszakże położył rękę na jego ramieniu, silny wstrząs targnął całym jego ciałem; mdły uśmiech prześliznął się po jego wargach i zauważyłem, że mówi głuchym, urywanym szeptem, jak gdyby nieświadom mej obecności. Pochyliwszy się nad nim, słów jego straszliwej dorozumiałem się treści: - Jakże tego nie słyszeć? Słyszę, słyszałem już od dawna. Słyszałem dawno - dawno - dawno - przez tyle minut, tyle godzin, tyle dni! Słyszałem, lecz inie śmiałem - biadaż mi nieszczęsnemu! - nie śmiałem, nie miałem odwagi mówić. Myśmy ją żywcem pochowali w grobie! Czyż nie mówiłem, że mam przeczulone zmysły? A teraz powiadam ci, że słyszałem pierwsze jej lekkie poruszenia we wnętrzu trumny. Słyszałem je od wielu, wielu dni - lecz nie śmiałem - nie miałem odwagi mówić. I oto tej nocy - ten Ethelred - ha! ha! - to wywalanie drzwi u pustelnika i ten przedzgonny ryk smoka, i ten szcęk tarczy - powiedz raczej: otwieranie trumny i zgrzyt żelaznych wrzeciędzów więziennych, i jej rozpaczne błąkanie się w opancerzonym korytarzu podziemia. Oh, dokąd uciekać? Nie przyjdzież tu zaraz? Nie biegnież, by mnie przeklinać za mój pośpiech? Czyż nie słyszę na schodach jej kroków? Czyż nie rozróżniam ciężkiego, bolesnego dygotania jej serca? Szaleńcze!

Nieprzytomny, zerwał się z miejsca i z takim krzykiem jął wyrzucać słowa, jak gdyby wraz z nimi miał wyzionąć ducha: - Szaleńcze! Ja ci powiadam, że ona stoi już przed drzwiami!

I jak gdyby w nadludzkiej głosu jego mocy kryła się jakaś czarodziejska potęga - ogromne, starożytne podwoje, na które

wskazywał, rozchyliły naraz z wolna swe ciężkie, hebanowe skrzydła. Otworzył je pęd wiatru - lecz za nimi istotnie stała smukła, otulona w całun postać lady Madeline Usher. Krew zbroczyła białe jej szaty, a na wynędzniałym ciele widniały wszędzie ślady przebolesnych wysiłków. Drżąc i słaniając się, stała przez chwilę w progu - po czym z jękiem przechyliła się ku wnętrzu komnaty, całym ciężarem waląc się ma brata. Śród strasznych i tym razem już ostatecznych skurczów przedśmiertnych pociągnęła go za sobą na ziemię - nieżywego: zabiła go, jak przepowiedział, trwoga.

Zmartwiały z przerażenia, wybiegłem z tej komnaty i z tego domu. Gdym mijał odwieczną grobę, wciąż jeszcze srożyła się burza. Wtem przede mną na drodze dziwna jakaś zamigotała poświata. Obejrzałem się, by zobaczyć, skąd ta niespodziewana jasność pochodzi, gdyż poza mną nie znajdowało się nic prócz potwornego zamczyska i jego mroków. Było to światło wschodzącego i jak gdyby okrwawionego księżyca w pełni, co przeświecał jaskrawo przez ową, ongi zaledwie dostrzegalną szczelinę, o której wspominałem, iż wiła isię zygzakowato od dachu aż do posad budynku. Gdym patrzył, szczelina nagle się powiększyła; wichur znów silniej się zakłębił; zaskrzył mi nagle w oczach cały krąg miesiąca; pociemniało mi w mózgu, gdym ujrzał, jak potężne mury rozpadają się na dwoje; dał się słyszeć przeciągły, rozgłośny, ogłuszający huk, niby poszum nieprzebranych wód - i u mych stóp głucho, złowrogo, nad ruinami Domu Usherów zawarła się - czarna, posepna topiel.

Przełożył Stanisław Wyrzykowski

JOSEPH CONRAD

Gospoda Pod Dwoma Wiedźmami (rękopis znaleziony)

Powiastkę tę, epizod czy zdarzenie - nazwać ją można, jak się chce - opowiedział w pięćdziesiątych latach zeszłego stulecia człowiek, który wedle własnych swych zeznań miał wówczas sześćdziesiąt lat. Sześćdziesiątka to ładny wiek - ale jeśli się ją ogląda z dala, wywołuje u większości ludzi bardzo różnorodne uczucia. Jest to wiek spokojny, zabawa wtedy już właściwie skończona, a podnieca nas wspomnienie, jak dzielnymi byliśmy ongiś ludźmi. Zauważyłem, że z uprzejmej łaski Opatrzności większość ludzi około sześćdziesiątki zaczyna widzieć siebie w romantycznych barwach. Nawet wady ich nabierają uroku swoistej mocy. Nadzieje są miłymi towarzyszkami życia, zgadzam się nawet, że są czarowne, lecz - że tak to określe - pozostają nagie, aby lżej mogły biec naprzód. Strój pełen przepychu jest na szczęście własnością niezmiennej przeszłości, która by bez niego skostniała wśród zakrywających ją cieni.

Przypuszczam, że to romantyzm właściwy późnemu wiekowi skłonił naszego sześćdziesięcioletniego bohatera do opisanego tego zdarzenia, ku własnemu zadowoleniu lub dla podziwu potomności. Nie uczynił tego dla swej chwały, gdyż opowiada, jakiego doznał okropnego strachu, trwogi, jak sam się wyraża. Zapewne domyśliście się już, że opowiadanie, o którym wspomniałem w pierwszych wierszach, było zachowane w rękopisie.

Był to ów „znaleziony rękopis”, wymieniany w podtytule. Sam tytuł jest moim pomysłem (nie mogę powiedzieć: wynalazkiem); główną jego zasługą jest trafność. Będziemy mieć do czynienia z gospodą. Co do wiedźm, jest to tylko konwencjonalne wyrażenie i musimy wierzyć na słowo naszemu autorowi, że w tym wypadku odpowiadało ono rzeczywistości.

Rękopis ten znalazłem w skrzyni z książkami, kupionej w Londynie na ulicy dziś już nie istniejącej od handlarza książek bliskiego ostatecznej ruiny. Książki przechodziły z rąk do rąk po raz dwudziesty już przynajmniej zmieniały właściciela: po przejrzaniu ich przekonałem się, że nie były warte nawet tej niewielkiej sumy, jaką za nie zapłaciłem. Przeczuwałem to widać, mówiąc do handlarza: „Musi mi pan dodać skrzynkę”. Podupadły księgarz zgodził się z obojętnym i tragicznym gestem człowieka skazanego na zagładę.

Pokład luźnych kartek na dnie skrzynki podniecił nieco moją ciekawość. Tekst pisany ściśle, wyraźnie i równo na pierwszy rzut oka nie był zaciekawiający. Lecz w jednym miejscu zwrócił moją uwagę szczegół, że w A.D. 1813 piszący te słowa miał lat dwadzieścia dwa. Dwadzieścia dwa lata to wiek interesujący, w którym człowiek jest zarówno lekkomyślny, jak i łatwo daje się nastraszyć, gdyż rozważa jest słabo rozwinięta, a za to siła wyobraźni wielka.

W innym miejscu moją rozproszoną uwagę zwróciło na siebie zdanie: „Wieczorem dobiliśmy do brzegu...”, gdyż było to zdanie zaczerpnięte z żeglarskiej mowy. Trzeba zobaczyć, co to być może - pomyślałem bez szczególnego zainteresowania. Och! jakież to był nudny rękopis! Pismo każdego wiersza, równe i ściśle, było zupełnie podobne do następnego. Przypominało szmer monotonnego głosu. Traktat o rafinowaniu cukru (najnudniejszy

temat, jaki mogę sobie wyobrazić) mógłby wyglądać bardziej zajmująco.

„W A.D. 1813 miałem dwadzieścia dwa lata” zaczyna poważnie i ciągnie dalej z przerażającym spokojem. Proszę jednak sobie nie wyobrazać, aby ten rękopis był przestarzały. Diabelska pomysłowość wynalazków, stara jak świat, nie jest bynajmniej sztuką zagubioną. Spójrzcie na telefony, niweczące tę odrobinę spokoju, który jest nam dany na ziemi, lub na karabiny maszynowe, wyprawiające nas pośpiesznie na temten świat. W terażniejszych czasach byle stara wiedźma o kaprawych oczach, jeśli tylko jest dość silna, aby zakręcić małą korbką, może w mgnieniu oka uśmiercić setkę dwudziestoletnich młodzieńców.

Czyż to nie postęp?... I to ogromny! Posunęliśmy się naprzód, musimy więc być przygotowani, że spotkamy się w tym opowiadaniu z pewną naiwnością pomysłu i prostotą intencji, właściwych owej zamierzchłej epoce. Naturalnie w terażniejszych czasach automobilista nie może się spodziewać, że znajdzie gdzieś na świecie taką gospodę. Ta, o której mowa w tytule, znajdowała się w Hiszpanii. Wywnioskowałem to tylko z treści opowiadania, gdyż brakowało znacznej liczby kartek, co zapewne nie jest wielkim nieszczęściem. Zdaje się, że opowiadający wchodził w najdokładniejsze szczegóły, dlaczego i po co znalazł się na tym wybrzeżu - prawdopodobnie było to północne wybrzeże Hiszpanii. Przygoda jego jednak nie miała żadnego związku z morzem. O ile mogłem wywnioskować, był on oficerem na korwecie. Nic w tym dziwnego. Przez całą długotrwałą kampanię hiszpańską dość znaczna ilość naszych mniejszych statków wojennych krążyła wzdłuż północnych wybrzeży Hiszpanii; łatwo można sobie wyobrazić, jakie to było niebezpieczne i nieprzyjemne stanowisko.

Zdaje się, że statek owego oficera miał sobie powierzone jakieś specjalne zadanie. Można się było spodziewać po naszym autorze, że wyjaśni nam starannie wszelkie okoliczności, ale, jak już wspomniałem, brakowało kilku kartek, i to z dobrego grubego papieru; zostały zapewne zużyte przez lekkomyślną potomność do zawiązywania słoików z konfiturami lub na przybitki do strzelb. Lecz mimo to można wywnioskować, że część zadania korwety stanowiła komunikacja z wybrzeżem, a nawet wysyłanie gońców w głąb lądu dla otrzymania wiadomości lub przesyłania rozkazów i rad patriotom hiszpańskim, partyzantom lub tajnym juntom prowincjonalnym. W każdym razie było to coś w tym rodzaju, o ile można sądzić z zachowanych strzępków tego dokładnego opowiadania.

Tu następuje panegiryk znakomitego marynarza, należącego do załogi statku na stanowisku sternika. Znany był na okręcie jako Tom Kubańczyk, bynajmniej nie dlatego, żeby pochodził z wyspy Kuby; był typowym angielskim - marynarzem z owych czasów i od lat służył na okręcie wojennym. Zyskał to przezwisko z powodu nadzwyczajnych przygód, jakich doświadczył na tej wyspie w młodości; przygody te stanowiły ulubiony temat opowiadań, które zwykł był snuć wieczorami swym towarzyszom, zgromadzonym na forkaasztelu statku. Odznaczał się inteligencją, wielką siłą i wypróbowaną odwagą. Nasz autor niezmiernie jest dokładny; przy sposobności zaznacza, iż Tom miał najdłuższy i najgrubszy harcap w całej marynarce angielskiej. Ta ozdoba, o którą dbał wielce i którą chował starannie w pokrowcu ze skóry świnki morskiej, zwisała do połowy jego szerokich pleców, budząc podziw wszystkich i zazdrość niektórych.

Nasz młody oficer rozwodzi się nad męskimi zaletami Toma z

uczuciem zbliżonym do czułości. Tego rodzaju stosunek między oficerem a żołnierzem nie należał wówczas do rzadkości. Młodzieniec, wstępujący na służbę, oddawany bywał pod opiekę zaufanego marynarza, który pierwszy zawieszał rnu hamak, w następstwie czego pozostawało nieraz między nimi coś w rodzaju uczucia przyjaźni. Nasz oficer po paru latach rozstania spotkał na korwecie tego marynarza. Jest coś wzruszającego w szczerym zadowoleniu, z jakim wspomina to spotkanie z człowiekiem, który był jego mentorem w latach chłopięcych.

Dowiadujemy się dalej, że gdy nie znaleziono odpowiedniego Hiszpana, ten zacny marynarz, obdarzony niezrównanym harcapem i szczytnym charakterem, pełen odwagi i stateczności, został wybrany dla wypełnienia jednej z tych misji w głębi lądu, o których poprzednio była mowa. Przygotowania jego nie trwały długo. Ciemnym rankiem jesiennym korweta zbliżyła się do płytkiej zatoki, jedyne miejsce, gdzie można było wylądować na tym skalistym wybrzeżu. Spuszczono łódź, w której na przedzie usadowił się Tom Corbin (Tom Kubańczyk), a nasz młodzieniec, noszący za życia nazwisko Edgar Byrne, siadł na rufie.

Na wybrzeżu kilku ludzi patrzyło na zbliżającą się łódź; byli to mieszkańcy wioski, której szare kamienne domy widniały o jakie sto jardów w głębokim wąwozie. Dwaj Anglicy wyskoczyli na brzeg. Wieśniacy tak byli tępi czy też zdziwieni, że nie pozdrowili ich nawet, lecz cofnęli się w milczeniu o parę kroków.

Byrne postanowił zaczekać, aż Tom wyruszy szczęśliwie w podróż. Spojrzał wokoło na ogłupiałe ze zdziwienia twarze.

- Niewiele się od nich dowiemy - rzekł - chodźmy do wsi. Tam pewnie będzie winiarnia, gdzie znajdziemy może kogoś bardziej wymownego i zdołamy zasięgnąć pewnych informacji.

- Tak, tak, panie! - mówił Tom, idąc w ślad za swym oficerem. - Bez wątpienia nie zawadzi pogadać trochę o tej drodze; przecież przeszedłem Kubę w najszerszym miejscu z pomocą tylko swego języka, choć umiałem po hiszpańsku znacznie gorzej niż teraz. Gdy mnie fregata „Blanche” pozostawiła na wybrzeżu, umiałem, jak tutaj mówią, „trzy słowa na krzyż”.

Lekceważył sobie podróż, która go czekała; był to przecież tylko jeden dzień drogi w górach. Wprawdzie trzeba było podróżować cały dzień, aby dojść do tej górskiej ścieżyny, ale to drobnostka dla człowieka, który przebył całą wyspę Kubę na swych własnych dwóch nogach, znając tylko trzy słowa miejscowego języka.

Oficer i żołnierz szli teraz po grubym ipokładzie suchych liści, które tutejsi chłopci gromadzą na ulicach wiosek, aby podczas zimy przegniły na nawóz. Odwróciwszy głowę Byrne zauważył, że cała męska ludność wioski szła za nimi bez szelestu po tym elastycznym dywanie. Kobiety przyglądały się, stojąc na progach domów; dzieci pochowały się widocznie. Mieszkańcy wioski widywali z daleka okręty, ale żaden obcy nie wylądował w tym miejscu od lat stu, a może i więcej. Stosowany kapelusz Byrne’a, sumiaste wąsy i ogromny harcap marynarza przejmowały ich niemym podziwem. Tłoczyli się za dwoma Anglikami jak owi mieszkańcy wysp odkrytych przez kapitana Cooka na Południowym Oceanie.

Wówczas Byrne po raz pierwszy zauważył małego człowieczka owiniętego w płaszcz, w żółtym kapeluszu na głowie. To nakrycie głowy, choć wyblakłe i przybrudzone, zwracało na niego uwagę.

Wejście do winiarni przypominało dziurę wybitą w kamiennym murze. Właściciel jej był jedynym w całej wsi, który

nie wyszedł na ulicę; wyłonił się teraz z ciemnej głębi, gdzie niewyraźnie majaczyły wiszące na gwoździach pękate kształty skór wypełnionych winem. Był to wysoki jednooki Asturyjczyk o mizernych, zapadłych policzkach; pełne powagi jego obejście odbijało zagadkowo od niespokojnie latającego jedyne go oka. Gdy się dowiedział, że chodzi o wskazanie angielskiemu marynarzowi drogi w górach do niejakiego Gonzalesa, przymknął na chwilę zdrowe oko, jak gdyby się namyślał. Potem otworzył je, żywo i rzekł: - Można, można. To się da zrobić.

Na dźwięk imienia Gonzalesa, miejscowego przywódcy powstania przeciw Francuzom, przyjazny pomruk rozległ się wśród zgromadzonych około drzwi. Rozpytując się, czy droga jest bezpieczna, Byrne z radością dowiedział się, że już od kilku miesięcy francuscy żołnierze nie ukazywali się w tych okolicach; nie spotykało się teraz nawet najmniejszego oddziału tych bezbożnych *polizones*. Właściciel winiarni, dając te objaśnienia, zakrzętnął się, aby nalać wina do glinianego dzbanka. Postawił go przed heretyckim Anglikiem i zgarnął z pełną powagi niedbałością drobną monetę, rzuconą na stół przez oficera w uznaniu obyczajowego prawa, że kto wchodzi do winiarni, ten musi kupić wina. Jedyne jego oko było w bezustannym ruchu, jak gdyby miało zastąpić oba, lecz gdy Byrne - zaczął się rozpytywać, czy można wynająć muła, oko to nieruchomo zatrzymało się na drzwiach, obleżonych przez ciekawych. W pierwszym ich rzędzie, na samym progu stał człowiek w szerokim płaszczu i żółtym kapeluszu. Była to maleńka osoba, istny homunculus. Byrne opisuje go stojącego w śmiesznie tajemniczej a pewnej siebie pozie, z płaszczem zakrywającym usta i brodę, zarzuconym zawadiacko na lewe ramię, z żółtym, kapeluszem o szerokich skrzydłach wsadzonym na bakier na kanciastą małą

główkę; człowiek ten zażywał często -tabaki.

- Muła? - powtórzył gospodarz, nie odrywając wzroku od tej dziwacznej, zatabaczonej figurki. - Nie, *senor* oficerze! Nie znajdzie się muła w tej biednej wioszczynie.

Sternik, który przysłuchiwał się rozmowie ze zwykłą u marynarzy obojętnością na nowe otoczenie, przerwał ze spokojem: - Niech wasza miłość mi wierzy: na taką wyprawę najlepiej wyruszyć wierzchem na podszwach. Musiałbym i tak gdzieś tego muła po drodze zostawić, gdyż kapitan mówił mi, że większość drogi stanowią ścieżki dostępne tylko dla kóz.

Maleńki człowieczek zrobił krok naprzód i rzekł poprzez fałdy płaszcza, który zdawał się ukrywać szydercze jego zamysły: - Tak jest, *señor*, zbyt są uczciwi w tej wiosce, aby mieć na usługi pańskie choćby jednego muła. Mogę to zaświadczyć W tych czasach muła lub inne czworonogie zwierzę i wszystko co do jego utrzymania potrzebne, posiadać mogą tylko albo łajdacy, albo też bardzo mądry ludzie. Lecz temu dzielnemu marynarzowi przyda się przewodnik, którego wynajdzie wam mój szwagier, ten oto Bernardino, karczmarz i alkad najpoważniejszej i najgościnniejszej z wiosek.

I tak też wypadło zrobić, jak pisze w swym opowiadaniu Byrne. Pogadawszy jeszcze trochę, przyprawiono wreszcie chłopaka w podartym płaszczu i w spodniach z koziej skóry. Angielski oficer poczęstował całą wieś i podczas gdy wieśniacy pili, wyruszył w drogę z Tomem Kubańczykiem; towarzyszył im przewodnik. Maleńki człowieczek w płaszczu zniknął.

Byrne odprowadził marynarza do końca wioski. Pragnął go uczciwie wyprawić w drogę i byłby poszedł z nim jeszcze dalej, lecz marynarz radził mu wracać, aby ani chwili dłużej nie zatrzymywać statku bez koniecznej potrzeby w pobliżu

wybrzeża w taki niezachęcający poranek. Gdy się rozstawali, dzikie i pochmurne niebo zwisało nad ich głowami, a kamieniste pola i krzewy stanowiły ponure tło ich pożegnania.

- Za cztery dni - takie były ostatnie słowa Byrne'a - okręt przypłynie i jeśli tylko pogoda pozwoli, łódź przybije do brzegu. Jeżeli nie będzie to możliwe, musisz sobie radzić na lądzie, jak będziesz mógł, dopóki po ciebie nie przypłyniemy.

- Dobrze. Niech tak będzie - odparł Tom i ruszył w drogę. Byrne widział go wchodzącego na wąską ścieżynkę. W sukiennej kurtce marynarskiej, z parą pistoletów za pasem, z kordelasem u boku i grubym kijem w ręku wyglądał na dzielnego człowieka, umięjącego dać sobie radę w niebezpieczeństwie. Odwrócił się na chwilę, aby przesłać ręką pożegnanie, i Byrne raz jeszcze dojrzał krzaczaste jego bokobrody i zacną twarz, opaloną na brązowo. Chłopak w spodniach z kozłej skóry, pnąc się na przedzie, wyglądał, jak Byrne opowiada, na fauna lub młodego satyra; zatrzymał się chwilę, czekając na marynarza, i znów w podskokach ruszył dalej. Obaj zniknęli mu z oczu.

Byrne zawrócił. Wioska była ukryta w zagłębieniu terenu, więc miejsce to zdawało się największą pustką na świecie, miejscem przeklętym, smutnym i jałowym. Uszedł zaledwie parę jardów, gdy nagle zza krzaka ukazała się maleńka postać Hiszpana w płaszczu.

Byrne stanął jak wryty.

Tamten uczynił tajemniczy ruch maleńką ręką, wyrastającą spod płaszcza. Kapelusz miał przekrzywiany na bok.

- *Senor* - rzekł bez żadnego wstępu - zwracam pańską uwagę na pewien takt: mój szwagier, jednooki Bernardino, ma w tej chwili w swojej stajni muła. A dlaczego on, który nie zalicza się do mądrych ludzi, posiada muła? Bo jest łajdakiem, człowiekiem

bez sumienia. Musiałem mu oddać mojego *raacho*, aby zapewnić sobie dach nad głową i łyżkę strawy dla utrzymania życia w tym marnym ciele. Bije w nim jednak serce znacznie większe niż to, które kołacze się w piersi mego podłego krewniaka; wstydzę się go po prostu; choć opierałem się temu małżeństwu wszelkimi sposobami. Biedna, oszukana jego żona nacierpiała się dosyć. Przeszła męki czyścicowe na tej ziemi - niech Bóg ma jej duszę w swej opiece.

Byrne był tak zdumiony nagłym ukazaniem się tej istoty podobnej idu gnoma i szyderczą goryczą jego przemowy, że nie docenił w pierwszej chwili tego pełnego znaczenia faktu wobec spraw rodzinnych, wytoczonych przed jego sąd bez żadnego powodu. Był oszołomiony i zarazem zdumiony szybkością i siłą jego wymowy, zupełnie różną od napuszonej gadatliwości Włochów. Milczał zdziwiony, podczas gdy homunculus odrzucił płaszcz i prosto z dłoni zażył niesłychaną ilość tabaki.

- Posiada muła! - zawołał Byrne, zrozumiałwszy nareszcie rzeczywiste znaczenie tej przemowy. - Powiadasz, że posiada muła? To dziwne. Dlaczego nie chciał mi go wynająć?

Maleńki Hiszpan z godnością zawinął się znów w płaszcz.

- *Quien sabe* - rzekł chłodno, wzruszając udrapowanymi ramionami. - Jest on wielkim *politico* we wszystkim, co czyni. Lecz jednej rzeczy można być pewnym: tego, że intencje jego są zawsze łajdackie. Mąż mojej *defunta* siostry powinien był już dawno poślubić - wdowę o drewnianych nogach. [*Szubienica jest wdową po ostatnim powieszonym zbrodniarzu i oczekuje następnego]

- Rozumiem. Przypomnij sobie jednak, że swoją przysięgą potwierdziłeś jego kłamstwo nie wiadomo dla jakich przyczyn.

Oczy jego, rozdzielone lisim nosem, błyszczące i stroskane,

wpiły się w „twarz Byrne’a bez mrugnięcia, gdy mówił z nadąsaniem, które tak często kryje się na dnie hiszpańskiej dumy: - *Senor* oficer nie straci ani kropli krwi, gdy mnie zdeptał pod piętę żebro - odparł. - Lecz nie chodzi tu o biednego grzesznika - i zmieniwszy ton ciągnął dalej: - Ja, Kastylijczyk i dobry katolik, żyję tu na wygnaniu, zmuszony okolicznościami, pośród tych asturyjskich gburów i jestem zdany na łaskę najgorszego z nich wszystkich, a on ma „mniej sumienia i skrupułów od wilka. Postępuję jednak, jak na człowieka inteligentnego przystało, choć z trudem ukrywam moją pogardę. *Senor* słyszał, w jaki się sposób wyrażałem. Taki *caballero* odgadł naturalnie od razu, że coś się w tym kryje podejrzanego.

- Coś podejrzanego? - zapytał Byrne niespokojnie. - Och, rozumiem. Coś podejrzanego? Nie, panie, nic nie odgadłem. My, Anglicy, nie jesteśmy - w takich sprawach domyślni i dlatego zapytuję pana wprost, czy karczmarz co do innych rzeczy mówił prawdę?

- Francuzów na pewno nie ma w okolicy - odparł maleńki człowiek, powracając do swojej zwykłej obojętności.

- Ale może są rozbójnicy - *ladrones*?

- *Ladrones en grandę* - nie! z pewnością ich nie ma - brzmiała odpowiedź, wypowiedziana zimnym filozoficznym tonem. - Co oni by tu robili po przejściu Francuzów? Przecież teraz tu nikt nie podróżuje. Lecz któż może zaręczyć! Złodzieja stwarza sposobność. Pański marynarz dzielnie wyglądał, a z synem kota myszy nie lubią się zadawać, lecz jest też przysłowie, że gdzie jest miód, tam wkrótce zjawią się i muchy.

Ta wieszczą przemowa doprowadziła Byrne’a do rozpacz.

- Na miłość boską - zawołał - powiedzcie mi po prostu, człowieku, czy sądzicie, że mojemu sternikowi nic nie grozi w tej

podróży?!

Homunculus, jak zwykle szybko zmieniając swe postępowanie, schwycił oficera za ramię. Siła tej małej ręki była zdumiewająca.

- *Señor!* Bernardino zapamiętał go sobie! To wystarczy. Niech pan posłucha: ludzie ginęli na tej drodze, a właściwie w pewnym punkcie tej drogi, gdy Bernardino posiadał *meson*, gospodę, a ja, jego szwagier, miałem do wynajęcia muły i pojazdy. Teraz nie ma ani podróżnych, ani pojazdów. Francuzi mnie zrujnowali, Bernardino po śmierci mojej siostry przeniósł się tutaj z powodów jemu tylko wiadomych. Zamęczyli ją na śmierć, on i dwie jego ciotki, Erminia i Lucilla - wszyscy troje to rodzeństwo diabła. Teraz zabrał mi ostatniego mojego muła. Jesteś, panie, uzbrojony. Przyłożywszy mu pistolet do głowy zażądaj od niego muła - zaręczam panu, że nie jest jego - i podążaj za marynarzem, którego życie jest dla ciebie tak cenne. Wówczas obaj będziecie bezpieczni, gdyż w terażniejszych czasach dwaj podróżni razem nie zginą. A co do muła, ja, jako jego prawowity właściciel, powierzam go pańskiemu honorowi.

Wpili się w siebie oczami, a Byrne omal nie wybuchnął śmiechem z naiwnej, nieskomplikowanej intrygi, jaką maleńki człowiek ułożył sobie dla odzyskania swego muła. Ale bez trudu zachował poważny wyraz twarzy, gdyż w głębi duszy dziwnie go ciągnęło, aby zastosować się do tej niezwyklej rady. Nie roześmiał się, lecz wargi jego zadrżały; widząc to maleńki Hiszpan oderwał czarne, błyszczące oczy od twarzy Byrne'a i odwróciwszy się nagle od niego, narzucił płaszcz na ramię ruchem wyrażającym jednocześnie pogardę, gorycz i zniechęcenie. Odwrócił się i stał milcząc, w kapeluszu na bakier, zawinięty w płaszcz po same uszy. Ale nie był obrażony do tego stopnia, aby odrzucić srebrnego *Auro*, którego Byrne ofiarował

mu z obojętną przemową, tak jak gdyby nic nadzwyczajnego między nimi nie zaszło.

- Muszę śpieszyć ma statek - rzekł wówczas Byrne.

- *Vaya usted eon Dios* - mruknął gnom. Na zakończenie tej rozmowy drwiąco zamiótł ziemię kapeluszem, po czym umieścił go z powrotem na głowie z niedbałą fantazją.

Zaledwie łódź została wciągnięta i przestawiono żagle na kurs na morze, Byrne pośpieszył opowiedzieć całą tę historię kapitanowi, człowiekowi niewiele starszemu od niego. Rozbawieni opowieścią, oburzali się jednak trochę i naśmiawszy się do woli, spojrzeli na siebie poważnie. Hiszpan-karzeł, który usiłuje namówić oficera marynarki Jego Królewskiej Mości, aby dla niego ukradł muła, zbyt to zabawne, dziwaczne, nieprawdopodobne! Tak się wyrażał kapitan i nie mógł się dość nacieszyć śmiesznością wydarzenia.

- Nieprawdopodobna przygoda. Ot, co jest! - szepnął Byrne znaczącym tonem.

Zamienili przeciągłe spojrzenia.

- To jasne jak słońce - oświadczył zniecierpliwiony kapitan, lecz w głębi serca wcale nie był tego pewien. Tom, który był dla jednego z nich najlepszym marynarzem spośród całej załogi, a dla drugiego przyjacielem lat chłopięcych, zawsze wesołym i pełnym szacunku, nabrał tajemniczego uroku, stał się symbolem wierności i przemawiał do ich uczucia i sumienia tak, że nie mogli przestać myśleć o jego bezpieczeństwie. Nieraz wychodzili na pokład, aby spojrzeć na wybrzeże, jak gdyby mogło im coś opowiedzieć o losie Toma. Brzeg ten, wydłużając się, ginął w dali, milczący, nagi i dziki, przesłonięty niekiedy ukośnymi strumieniami zimnego deszczu. Zachodnia fala toczyła w nieskończoność białą linię piany, a wielkie czarne chmury

płynęły ponad statkiem w ponurym pochodzie.

- Na Boga, szkoda, żeś nie postąpił według rady małego człowieczka w żółtym kapeluszu - rzekł nad wieczorem kapitan z wyraźną rozpaczą.

- Czy naprawdę pan tego żałuje? - zapytał Byrne z goryczą, kryjącą prawdziwy niepokój, - Ciekaw jestem, co byłby pan na to powiedział? Zostałbym wyrzucony ze służby za rekwirowanie muła poddanemu państwa sprzymierzonego z Jego Królewską Mością. Lub może za usiłowanie kradzieży byłbym zbity cepami i widłami na kwaśne jabłko. Chciałbyś pan może, żeby taka przygoda zdarzyła się jednemu z pańskich oficerów? A może sromotnie przepędziliby mnie do łodzi, gdyż nie przypuszcza pan zapewne, abym dla ocalenia parszywego muła strzelał do niewinnych ludzi... A pomimo to - dodał cichym głosem - żałuję prawie, żeś tego nie uczynił.

Zanim się zupełnie ściemniło, dwaj młodzieńcy doprowadzili się do skomplikowanego stanu psychicznego, który był mieszaniną pogardliwego sceptycyzmu i trwożnej ufności. Męczyli się okropnie, a myśl, że mają przed sobą przynajmniej sześć dni takiej niepewności, która może się przedłużyć w nieskończoność, była nie do zniesienia. Dlatego też, gdy się ściemniło, statek został skierowany ku brzegowi. W ciemną, burzliwą noc dążył do wybrzeża w poszukiwaniu swego zaginionego marynarza kładąc się chwilami pod silnymi podmuchami wiatru, to znów kołysząc się leniwie na fali i nie posuwając się prawie naprzód tak, jak gdyby i on miał powody wahać się między zimnym rozsądkiem a gorącym popędem.

O świcie spuszczone łódź; kołysząc się na morzu, dopłynęła do płytkiej zatoki, gdzie oficer w grubym płaszczu i okrągłym kapeluszu wylądował z trudem na zwirowatym brzegu.

„Pragnąłem, pisze Byrne, wylądować w jak największej tajemnicy, kapitan był także za tym. Nie chciałem być widziany ani przez mego pokrzywdzonego przyjaciela w żółtym kapeluszu, którego motywy nie były jasne, ani przez jednookiego karczmarza, spokrewnionego być może z diabłem, ani w ogóle przez żadnego mieszkańca tej zapadłej wioski. Niestety, zatoka była na przestrzeni kilku mil jedynym możliwym miejscem lądowania. Strome zbocza wąwozu nie pozwalały ominąć wioski.

Szczęściem, ciągnie dalej, wszyscy jej mieszkańcy spali jeszcze. Świtało zaledwie, gdy przechodziłem po grubym pokładzie liści przez jedyną ulicę wioski. Żywa dusza nie ukazała się na dworze, pies nawet nie zaszczekał. Cisza panowała głęboka, pomyślałem więc ze zdziwieniem, że nie ma widocznie psów we wsi, gdy usłyszałem ciche warczenie i w wąskim przejściu między dwiema chałupami ukazało się mizerne psisko z podwiniętym ogonem. Przebiegło przede mną, w milczeniu wyszczerzywszy na mnie zęby, i znikło tak niespodziewanie, jak gdyby było wcieleniem nieczystej siły. Byłem już tak podniecony, że niesamowite ukazanie się i zniknięcie tego wstrętnego stworzenia przygnębiło mnie do reszty przecuciem grożącego nieszczęścia.” Oddalił się od wybrzeża, jak mu się zdawało, nie zauważony przez nikogo, i pośród jałowej, smutnej wyżyny, pod niebem ciemnym jak popiół borykał się odważnie z zachodnim wichrem i deszczem. W oddali wyniosłe i samotne skały zdawały się oczekiwać go i grożąc mu, wznosiły ku górze urwiste i nagie szczyty. Wieczór zastał go w niewielkiej (odległości od tych gór, lecz, jak mówią marynarze, był niepewny swego położenia; w dodatku był głodny, przemoczony i zmordowany całodzienną pieszą podróżą po nierównym gruncie; przez ten czas spotkał tylko parę osób, które nie potrafiły mu dać żadnej wskazówki co

do losu Toma Corbina. „Naprzód, naprzód! Muszę iść dalej” - powtarzał sobie w czasie długich godzin samotnego wysiłku, podniecany raczej przez niepewność niż przez określoną obawę lub nadzieję.

Światło dzienne szybko zagasło, pozostawiając go przed popsutym mostem. Zszedł w dolinę i przeskoczył wąski strumień przy ostatnim blasku dnia, odbijającym się w wartkim prądzie. Gdy wydostał się na przeciwny brzeg, zapadająca noc zakryła mu oczy grubą zasłoną. Wycie wiatru, uderzającego w ciemnościach o zbocza skał, brzmiało mu w uszach jak ryk rozwścieczonego morza. Obawiał się, że zabłądził. Nawet w dzień trudno było odróżnić kamienistą drogę, pełną wybojów i kałuż, od ponurej pustki otaczającego ją bagna, usianego kamieniami i kępami nagich krzewów. Lecz, jak się sam wyraził, „dążył naprzód, kierując się wiatrem”, z kapeluszem naciśniętym aż po same brwi, z głową opuszczoną, zatrzymując się od czasu do czasu ze zmęczenia raczej umysłowego niż fizycznego - tak jak gdyby nie jego siły, lecz wytrzymałość była przeciążona bezcelowymi może wysiłkami i niepokojem.

W czasie takiego odpoczynku zdawało mu się, że z bardzo daleka wiatr przynosi słaby odgłos pukania w drzewo. Zauważył, iż jednocześnie wiatr uspokoił się.

Serce zabiło mu żywiej, zaciążyła bowiem na nim samotna pustka ostatnich sześciu godzin; miał przygnębiające wrażenie, że wędruje po bezludnym świecie. Gdy podniósł głowę, promień światła, może złudny, jak to się często zdarza w zupełnych ciemnościach, zamigotał mu przed oczami. Wpatrując się przed siebie, usłyszał powtórne ciche pukanie i naraz poczuł raczej, niż zobaczył, na swej drodze wielką, ciemną masę. Co to takiego? Szczyt pagórka czy też dom? Tak. Był to dom, który ukazał się tak

blisko, jak gdyby wyrósł spod ziemi lub jak gdyby noc z ciemnej kryjówki wypuściła mu naprzeciw ten wyniosły, szarawy i milczący budynek. Podszedł do niego od podwietrznej strony i postąpiwszy jeszcze parę kroków mógł dotknąć ręką muru. Była to widocznie *posada* i jakiś podróżny starał się dostać do wnętrza. Znowu usłyszał ostrożne pukanie.

Po chwili szeroki promień światła padł z otwartych drzwi w ciemność nocy. Gdy Byrne nagle ukazał się w tym świetle, postać stojąca na zewnątrz odskoczyła ze zduszonym okrzykiem i znikła w mroku. Ktoś w domu krzyknął też ze zdziwienia. Byrne rzucił się na nie domknięte drzwi i, walcząc z silnym oporem od wewnątrz, dostał się jednak do środka.

Marna świeczka, ogarek zaledwie, paliła się na końcu długiego sosnowego stołu. Przy tym świetle Byrne ujrzał dziewczynę, która chwiała się jeszcze, odepchnięta przez niego od drzwi. Miała krótką czarną spódnicę, pomarańczowy szal i ciemną cerę; promienie włosów, które wymknęły się z ciemnej i gęstej jak las czupryny, przytrzymanej grzebieniem, tworzyły czarną chmurę nad jej niskim czołem. W przeciwległym końcu wielkiej izby, gdzie ogień na kominie igrał z ogromnymi cieniami, dwa głosy zawyły przenikliwie: - *Misericordia!* - Dziewczyna opanowawszy się odetchnęła głęboko przez zaciśnięte zęby.

Zbyteczne jest powtarzanie długiej litanii pytań i odpowiedzi, którymi Byrne uspokoił wylękle staruchy, siedzące po obu stronach komina; przy ogniu stał wielki gliniany garnek. Widok tych kobiet przywiódł mu na myśl dwie wiedźmy przygotowujące truciznę; gdy wszakże jedna z nich, z trudem dźwignąwszy skurczoną swą postać, podniosła pokrywę garnka, rozszedł się smakowity zapach. Druga siedziała zgarbiona, bez ruchu, tylko głowa jej trzęsa się bezustannie.

Były przerażające, a zgrzybiałe ich postacie robiły wrażenie karykaturalne. Bezzębne usta, haczykowate nosy, chudość jednej i obwisłe, żółte policzki drugiej (tej o trzęsącej się głowie) wywoływałyby uśmiech, gdyby nie przerażała ta straszna ruina fizyczna, a serce nie ścisnęło się na widok niewymownego ciężaru starości i zarazem tej odporności życia, które stało się wreszcie przedmiotem pogardy i obrzydzenia.

Byrne, aby przezwyciężyć te uczucia, zaczął opowiadać, że jest Anglikiem i poszukuje swego rodaka, który musiał przechodzić tą drogą. Gdy to powiedział, chwila rozstania z Tomem stanęła mu przed oczami ze zdumiewającą wyrazistością: ujrzał milczących wieśniaków, zgryźliwego karła, jednookiego karczmarza. Bez wątpienia te dwa stare straszysła to właśnie jego ciotki - siostrzyce diabła!

Cokolwiek bądź zdarzyło się dawniej, nie można było sobie wyobrazić, na co by teraz diabłu na tym świecie zdały się takie dwie słabe istoty. Która z nich była Lucilla, a która Erminia? Teraz były to już bezimienne stwory. Po słowach Byrne'a nastąpiła chwila zastanowienia. Wiedźma z łyżką w ręku przestała nią mieszać w garnku, a druga na mgnienie oka zatrzymała swą trzęsącą głowę. W czasie tej setnej części sekundy Byrne zrozumiał, że jest na tropie Toma, że już go dogania, że depcze mu prawie po piętach.

Widziały go bez wątpienia - pomyślał. Nareszcie spotkał kogoś, kto go widział. Był pewien, że się tego wyprą; tymczasem, przeciwnie, skwapliwie odpowiedziały mu, że Anglik jadł i nocował w ich domu. Mówiły obie naraz, opisując jego wygląd i zachowanie. Dziwna wydawała się ich zapalczywość wobec poprzednich pozorów słabości. Chuda czarownica potrząsała drewnianą łyżką, a otyła poczwara, podniósłszy się ze stołka,

skrzeczała, przestępując z nogi na nogę, podczas gdy głowa jej dygotała szybciej niż dotychczas. Byrne był po prostu zmieszany ich podnieceniem... Tak, tak! Wysoki, dzielny Anglik, zjadłszy kawałek chleba i popiwszy go winem, wyruszył dziś rano dalej. A jeśli *caballero* chce iść tą samą drogą, to nic łatwiejszego, ale dopiero jutro rano.

- Czy wynajdziecie mi przewodnika? - zapytał Byrne.

- Owszem, *señor*. Damy ci porządnego chłopaka, tego, którego widziałeś wychodzącego stąd.

- Ależ on pukał do drzwi - oświadczył Byrne - chciał tu wejść, tylko na mój widok uciekł.

- Nie, nie! - wrzeszczały obie wiedźmy naraz. - On stąd wychodził! Wychodził!

Może to i prawda - pomyślał Byrne - odgłos stukania był tak cichy, nikły, może mi się tylko zdawało, że ktoś puka. Zapytał więc: - Któż to jest ten człowiek?

- Jej *novio*! - zawołały, wskazując na dziewczynę. - Poszedł teraz do domu, do wsi bardzo stąd odległej, lecz wróci na rano. To jej narzeczony! Biedna sierota - córka ubogich, pobożnych ludzi. Przygarnęłyśmy ją przez litość, w imię Boga.

Sierota, siedząc przy ognisku, patrzyła na Byrne'a; wydawała się raczej córką szatana, przygarniętą przez te dwie czarownice w imię diabła. Oczy jej były trochę skośne, usta pełne, lecz prześlicznie wykrojone, ciemna twarz budziła zachwyt swą pięknnością pierwotną i zmysłową. Wpatrywała się w niego z namiętą uwagą, nie spuszczając z niego wzroku, który, jak się wyrażał Byrne, „przypominał spojrzenie głodnego kota, czatującego na ptaka w klatce lub na mysz w pułapce”.

Usługiwała mu przy jedzeniu, z czego bardzo był zadowolony, pomimo że jej ciemne, wielkie, nieco skośne oczy, wpatrujące się

w jego twarz, jakby mogły w niej coś ciekawego wyczytać, robiły na nim nieprzyjemne wrażenie. Lecz wolał wszystko, niż żeby mu usługiwały te dwie kaprawe wiedźmy, przerażające jak zmory. Obawy jego uspokoiły się nieco, może pod wpływem ciepła i spokoju, ogarniającego go po ostrym zimnie i wichurze, z którymi musiał walczyć o każdy cal drogi. Nie wątpił, że Tom śpi bezpieczny w górskim obozie Gonzalesa.

Byrne wstał i nalał sobie do cynowego kubka wina z worka skórzanego, wiszącego na ścianie. Wiedźma z twarzą mumii zaczęła z nim rozmawiać, wspominając dawne dzieje; z dumą opowiadała, jak sławna była ta gospoda w owych dobrych czasach. Zajeżdżali do niej wielcy panowie we własnych karetach. Raz, dawno już dawno temu, nocował tu arcybiskup.

Wiedźma z obrzękłą twarzą zdawała się przysłuchiwać temu, siedząc bez ruchu i trzęsąc tylko głową. Dziewczyna, którą Byrne podejrzewał, że jest Cyganką, dopuszczoną z jakiegoś powodu do ich towarzystwa, siedziała przy kominie w świetle żarzących się węgla. Nuciała sobie z cicha, uderzając od czasu do czasu w kastaniety. Na wspomnienie biskupa bezbożnie parsknęła zduszonym śmiechem i gdy zwróciła głowę, aby spojrzeć na Byrne'a, w jej czarnych oczach i na białych zębach błysnął w cieniu ogromnego okapu czerwony odblask ognia. Byrne uśmiechnął się do niej.

Teraz czuł się bezpieczny i odpoczywał. Zjawił się tu niespodziewanie, nikt więc nie uknuł spisku na jego życie. Opanowała go rozkoszna senność: zdawało mu się, że ją zwalcza skutecznie, musiał się jednak zdrzemnąć, gdyż ocknął się nagle na piekielny hałas i tak przeraźliwe piski, jakich w życiu swoim nie - słyszał: to stare wiedźmy kłóciły się zażarcie; teraz już wymyślały sobie, nie bawiąc się w argumenty, starcze ich krzyki

wyrażały tylko złość i najokropniejszą wściekłość. Cygańskie czarne źrenice dziewczyny biegały od jednej do drugiej. Nigdy przedtem Byrne nie czuł się tak obcy względem istot ludzkich. Zanim zdążył zrozumieć przyczynę kłótni, dziewczyna zerwała się i uderzyła głośniej w kastaniety. Wiedźmy umilkły, a ona, zbliżywszy się, pochyliła się nad stołem i, patrząc w oczy Byrne'a, rzekła zdecydowanym tonem: - Pan przenocuje w pokoju arcybiskupa.

Czarownice nie zaprotestowały: chuda, zgarbiona we dwoje, podpierała się kijem, a tłusta - szczudłem.

Byrne wstał, zbliżył się do drzwi i przekręciwszy klucz w ogromnym zamku, z zimną krwią schował go do kieszeni. Było to najwidoczniej jedyne wyjście, a Byrne nie chciał być zaskoczony przez jakiegokolwiek niebezpieczeństwo, które może czaiło się za drzwiami. Gdy się odwrócił, obie wiedźmy, siostrzyce diabła, i szatańska dziewczyna przyglądały mu się w milczeniu. Był ciekaw, czy też Tom Corbin poprzedniego wieczoru zastosował te same środki ostrożności. Myśląc o nim doznawał znów dziwnego uczucia, że Tom jest w pobliżu. Cisza panowała wokoło, słyszał tylko, jak krew pulsuje mu w uszach, a w tym szumie głos Toma zdawał się powtarzać: „Panie, miej się na baczności!” Zadrżał. Złudzenia słuchowe są najbardziej zbliżone do rzeczywistości i z natury swej mają pozory prawdy.

Zdawało mu się niemożliwe, aby Toma nie było w tym domu. Znów zdradziecki dreszcz przeszył na wylot jego ciało, jak gdyby zimny powiew przeniknął pod ubranie. Z trudem otrząsnął się z przykrego wrażenia.

Dziewczyna poprowadziła go po schodach niosąc żelazną lampę; od nie osłoniętego płomienia unosiła się w górę cienka smużka dymu. Dziewczyna miała na nogach białe pończochy,

bardzo dziurawe i brudne.

Byrne, z tym samym spokojem, z jakim zamknął na klucz drzwi na dole, otwierał kolejno wszystkie drzwi, wychodzące na korytarz. Pokoje były puste, w jednym tylko czy dwóch stało parę jakichś gratów. Dziewczyna, zrozumiałwszy, o co chodzi, zatrzymywała się cierpliwie przy każdych drzwiach i oświetlała wnętrze, podnosząc do góry kopnącą lampę i jednocześnie śledząc go z uwagą. Ostatnie drzwi otworzyła sama.

- *Señor* będzie nocował tutaj - wyszeptała głosem cichym jak oddech dziecka i podała mu lampę, którą wziął, mówiąc jej uprzejmie: - *Buenos noches, señorita*.

Nie odpowiedziała mu głośno, choć wargi jej poruszyły się z lekka, nie spuszczała jednak z niego ani na chwilę oczu ciemnych jak bezgwiezdna noc. Wszedł do pokoju i odwrócił się, aby zamknąć drzwi; stała jeszcze, zmieszana i bez ruchu, z wyrazem wyczekującego okrucieństwa w skośnych oczach i zmysłowych ustach, niby kot, któremu nie udało się złapać myszy. Zawahał się chwilę i w ciszy milczącego domu usłyszał znów głos Toma w szumie krwi, gwałtownie pulsującej mu w uszach; tym razem było to szczególnie przerażające złudzenie, gdyż nie mógł zrozumieć, co mu ten poważny głos mówi.

Zatrzasnął wreszcie drzwi przed nosem dziewczyny, zostawiając ją w ciemnościach, i prawie natychmiast otworzył je z powrotem. Nie było już nikogo; zniknęła bez najmniejszego szmeru. Zamknął drzwi szybko i zasunął dwa ciężkie rygle.

Nagle zrodziły się w nim podejrzenia. Czemu stare wiedźmy kłóciły się, czy ma nocować w tym pokoju? Dlaczego dziewczyna wpatrywała się w niego, jak gdyby chciała zapamiętać jego twarz na wieki? Niepokoiło go własne zdenerwowanie, miał uczucie, że jest niesłychanie oddalony od całej ludzkości.

Rozejrzał się po pokoju, który nie był bardzo wysoki, dostatecznie jednak, aby się w nim zmieściło łóżko z ogromnym baldachimem o ciężkich zasłonach, opadających aż do samej ziemi; łoże to było zaiste godne arcybiskupa. Stał także w pokoju ciężki, rzeźbiony stół, parę równie ciężkich wielkich foteli, a wszystko to robiło wrażenie, jakby pochodziło z ograbionego pałacu grandów; pod ścianą stała wysoka, ale płytka szafa o podwójnych drzwiach. Pociągnął za nie, lecz były zamknięte. Schwycił za lampę, aby je dokładniej obejrzeć, gdyż zbudziły się w nim pewne podejrzenia - okazało się jednak, że to nie jest ukryte wejście. Ciężka, wysoka szafa stała najwyraźniej o jakiś cal od ściany. Spojrzał na zasuwę przy drzwiach. Nie, nikt go nie może zdradziecko zaskoczyć we śnie. Lecz czy będzie mógł zasnąć? - zastanawiał się z niepokojem. Gdybyż Tom był z nim; wierny marynarz uczył go ostrożności, walcząc nieraz obok niego przy zdobywaniu okrętów. „Gdyż to nie sztuka - powtarzał - dać się zabić w gorącej walce. Byle głupiec to potrafi. Godziwą rozrywką jest prać Francuzów, ale nie dać się zabić, bo nazajutrz trzeba bić ich dalej”.

Byrne z trudnością przezwyciężył chęć wsłuchiwania się w ciszę i był pewien, że nic jej nie przerwie, aż nagle usłyszał znów upiorny głos Toma; słyszał go już poprzednio dwukrotnie. Dziwna rzecz. Starał się jednak rozumować rozsądnie - nic w tym nie ma dziwnego, bo od trzydziestu przeszło godzin wciąż o nim myśli. Ale co gorzej, z myśli tych nie może wysnuć żadnych wniosków. Niepokój jego o Toma nie przybrał jednak określonej formy. „Zniknął” - było to jedyne słowo, którym można było wyrazić to, co się stało z Tomem, określenie niejasne i przerażające. „Zniknął!” Lecz cóż to oznacza?

Zimny dreszcz nim wstrząsnął, pomyślał więc, że ma zapewne

trochę gorączki. Tom przecież nie zginął, przed chwilą opowiadano mu o nim. I znów krew zaczęła pulsować mu w uszach, chwilę siedział bez ruchu spodziewając się znów usłyszeć w jej szumie głos Toma. Wytężał uszy bez skutku. Nagle błysnęła mu myśl: Nie zginął, ale nie może dać znać o sobie.

Zerwał się z fotela. Co za nedorzecznosc! Położył pistolet i kordelas na stole, zdjął buty i owładnęło nim nagle takie zmęczenie, że nie mogąc utrzymać się na nogach, padł na łóżko, nadspodziewanie miękkie i wygodne.

Nie czuł się wcale śpiący, ale musiał się jednak zdrzemnąć, gdyż ocknął się, siedząc na łóżku i usiłując uprzytomnić sobie, co mu głos Toma powiedział. Nagle przypomniał sobie: „Panie! Miej się na baczności!” Było to ostrzeżenie, ale przed czym?

Wyskoczył jednym susem na środek pokoju, odetchnął ciężko i rozejrzał się wokoło. Okno było zamknięte i zabarykadowane żelazną sztabą. Znów potoczył oczami po nagich ścianach i spojrzął nawet na wyjątkowo wysoki sufit. Potem zbliżył się do drzwi i obejrzał je dokładnie: zamknięte były na dwa ogromne rygle, zasuwające się w otwory w ścianie; drzwi można by chyba otworzyć, wysadziwszy je prochem, gdyż korytarz był za wąski, aby zamachnąć się siekierą lub użyć jakich innych narzędzi do wyważenia. Lecz gdy raz jeszcze sprawdzał, czy niższy rygiel jest dobrze zasunięty, wydało mu się, że ktoś jest w pokoju. Uczucie to było tak silne, że odwrócił się z szybkością błyskawicy. W pokoju nie było nikogo i któż zresztą mógłby wejść. A jednak...

Wówczas porzucił pozory i panowanie nad sobą, powstrzymujące człowieka od utraty własnej godności. Postawiwszy lampę na podłodze, ukląkł i oparłszy się na rękach, zajrzał pod łóżko jak głupi podłotek; zobaczył tam tylko mnóstwo kurzu i nic więcej. Podniósł się z pałającymi policzkami i zaczął

chodzić po pokoju niezadowolony ze swego postępowania i zły na Toma, że go nie chce zostawić w spokoju. Ostrzegawcze słowa: „Panie, miej się na baczności!” brzmiały mu wciąż w uszach.

Rzucę się chyba na łóżko i spróbuję zasnąć - pomyślał, lecz wzrok jego padł na wielką szafę; zirytowany na siebie, nie mogąc się jednak powstrzymać, podszedł ku niej. Wsunął ostrze kordelasa między obie połowy drzwi i spróbował je otworzyć, chociaż nie miał pojęcia, jak następnego dnia wytłumaczy wstrętnym wiedźmom to złodziejskie włamanie. Gdy zamek od razu nie ustąpił, wziął się, przeklinając, gorliwie do pracy.

- Przypuszczam, że nareszcie będziesz zadowolony ze mnie - mruknął do nieobecnego Toma.

W tej samej chwili drzwi otworzyły się na oścież. I Byrne ujrzał... wiernego, roztropnego, odważnego Toma. Stał w milczeniu, sztywny i wyprężony jak widmo, a szeroko otwarte jego oczy, uparcie wpatrujące się w Byrne'a, zdawały mu się nakazywać uszanowanie tej ciszy. Lecz Byrne tak był zdumiony, że nie mógł wydobyć głosu. Przerażony, odsunął się nieco w tył; wówczas marynarz pochylił się głową naprzód, jak gdyby go chciał objąć rękami za szyję. Byrne odruchowo wyciągnął rozwarte ramiona i poczuł w nich przerażająco sztywne ciało, a na głowie i twarzy śmiertelnie zimne dotknięcie głowy i twarzy Toma. Zachwiali się obaj razem, gdy Byrne przyciskał go do siebie, nie chcąc, aby upadł. Gdy ostatkiem sił złożył ostrożnie okropny ten ciężar na ziemi, zakręciło mu się w głowie, nogi odmówiły mu posłuszeństwa; upadł na kolana, pochylony nad ciałem i oparty rękami o piersi człowieka niegdyś pełnego życia, a teraz zimnego jak gład.

„Nie żyje! Mój biedny Tom nie żyje!” - powtarzał w myśli. Światło lampy stojącej na końcu stołu padało wprost z góry na

martwe źrenice oczu, dawniej tak wesołych i żywych.

Byrne odwrócił od nich wzrok. Tom nie miał zawiązanej zazwyczaj na piersiach czarnej jedwabnej chustki. Znikła. Mordercy zdjęli mu też pończochy i trzewiki. Byrne, widząc go tak obdartego, z gołą szyją i bosymi nogami, poczuł, jak łyzy napływają mu do oczu. Poza tym marynarz był całkowicie ubrany, a na jego odzieży nie było śladów gwałtownej walki. W jednym tylko miejscu kraciasta jego koszula była nieco wyciągnięta zza pasa, ale tylko tyle, ile było potrzeba, aby się przekonać, czy nie ma pieniędzy. Byrne zaczął łkać, ukrywając twarz w chustce.

Był to tylko objaw zdenerwowania, który szybko minął. Klęcząc, wpatrywał się ze smutkiem w atletyczną postać marynarza, najdzielniejszego spośród tych, którzy kiedykolwiek nosili kordelas, nabijali strzelby lub refowali żagle; leżał zimny i sztywny, a duch jego, pogodny i nieustraszony, może powrócił do swego młodego przyjaciela i do statku kołyszącego się na siwej fali w pobliżu skalistego wybrzeża, może nawet w chwili, gdy wybrzeże to opuszczali.

Zauważył, że mosiężne guziki przy kurtce Toma zostały odcięte. Otrząsnął się, wyobraziwszy sobie dwie nędzne i wstrętne wiedźmy, znęcające się jak wampiry nad bezbronnyim ciałem przyjaciela. Odrzynały... może tym samym nożem, którym... Jedna z głową trzęsącą, druga zgarbiona, oczy ich czerwone i kaprawe, a wstrętne ręce jak szpony drżą nad trupem... Byrne był pewien, że działo się to w tym samym pokoju, gdyż Tom nie mógł być zabity na dworze, a potem dopiero wniesiony do środka. Te dwie stare baby nie zdołałyby go zabić, nawet gdyby go zaskoczyły niespodziewanie. Tom miał się przecież na baczności: był zawsze sprytny i ostrożny, szczególnie

w wypełnianiu jakiegoś polecenia. Ale jak go zamordowali? Kto? Jakim sposobem?

Byrne zerwał się, schwycił lampę ze stołu i szybko pochylił się nad ciałem. Na ubraniu nie było jednak ani plamy, ani jakiegokolwiek śladu krwi. Ręce drżały mu tak silnie, że musiał postawić lampę na ziemi i odwrócić głowę, aby się uspokoić. Wówczas zaczął oglądać dokładnie zimne, nieruchome i sztywne ciało w nadziei, że odkryje na nim ranę od sztyletu, postrzału lub ślad śmiertelnego uderzenia; niespokojnie obejrzał czaszkę, lecz była cała. Wymacał ręką szyję, lecz kręgi były nienaruszone. Przerażonymi oczami obejrzał gardło, nie znalazł jednak na nim śladów uduszenia. Nie było nigdzie oznak morderstwa. Tom po prostu nie żył. Byrne odruchowo odsunął się od ciała, jak gdyby śmierć tajemnicza i niewyjaśniona przemieniła litość jego w podejrzliwość i trwogę. Lampa, stojąca niedaleko na ziemi, oświetlała twarz marynarza, zwróconą ku górze z wyrazem rozpacz. W kręgu światła Byrne dojrzał na podłodze grube pokłady kurzu, świadczące, że walka nie mogła odbyć się w tym pokoju. Zginął nie w tym pokoju - pomyślał. Tak, bez wątplenia, tajemnicza śmierć musiała zaskoczyć biednego, drogiego Toma na wąskim korytarzu, gdzie zaledwie można było się odwrócić. Byrne'a opuściła nagle ochota zrobienia wypadu z pokoju z pistoletami w ręku. Tom był uzbrojony w równie bezsilną broń jak on: parę pistoletów i kordelas i zginął nieznaną śmiercią z niezrozumiałych powodów.

Nagle Byrne'owi błysnęła nowa myśl; nieznajomy, który stukał do drzwi i uciekł na jego widok tak pośpiesznie, przyszedł zapewne usunąć zwłoki. Ach tak! I to był przewodnik, który, wedle przyrzeczenia chudej wiedźmy, miał wskazać Anglikowi najkrótszą drogę do jego marynarza. Przyrzeczenie, jak się teraz

przekonał, wielkiej wagi. Ten, kto pukał do drzwi, miał zabrać ze sobą nie jedno, lecz dwa ciała. Marynarz i oficer wymaszerowaliby razem z gospody. Byrne był teraz zupełnie pewien, że umrze, nim ranek zaświta, w ten sam tajemniczy sposób; pozostaną po nim jedynie nie tknięte zwłoki.

Widok roztrzaskanej głowy, poderżniętego gardła lub rozwartej rany od postrzału byłyby mu sprawiły Wielką ulgę i uspokoił wszystkie obawy. Dusza jego wołała do tego trupa, który go za życia nigdy nie opuścił w niebezpieczeństwie: „Czemuś mi nie powiedział, Tomie, czego się mam strzec? Czemuś mi nie powiedział!” Lecz Tom leżał na wznak, nieruchomy i sztywny, pograżony w wyniosłym milczeniu; może poznawszy wreszcie okropną tajemnicę pogardzał rozmową z żywymi.

Byrne nagle padł na kolana obok ciała i z suchymi oczami rozerwał gwałtownie koszulę na piersiach trupa, jak gdyby chciał wydrzeć przemocą tajemnicę wystygłego serca, które całe życie było mu tak wierne! Ale nie znalazł nic! Nic! Podniósł lampę do góry i na tej twarzy, która za życia wyrażała dobroć, z trudem zdołał odkryć niewielki znak, maleńki siniak na czole; skóra nawet nie była przecięta. Przyglądał mu się długo, jakby pograżony w okropnym śnie. Potem zauważył, że ręce Toma były zaciśnięte, jak gdyby padł w walce na pięści. Po bliższym przyjrzeniu się dojrzał, że skóra na kostkach obu rąk była starta.

Odkrycie tych ledwie widocznych śladów było dla Byrne'a bardziej jeszcze zdumiewające niż brak wszelkich oznak morderstwa. Więc Tom zginął walcząc z czymś, czego można było dotknąć, a co zabijało nie raniąc, po prostu swym tchnieniem.

Pałaca trwoga zaczęła igrać wkoło serca Byrne'a niby ogniste języki, które zbliżają się i oddalają od swej ofiary, nim obrócą ją

w popiół. Odsunął się od ciała, jak mógł najdalej, potem przybliżył się znów, rzucając ukradkiem trwożne spojrzenie w nadziei, że raz jeszcze dojrzy siniec na czole. Może nim ranek nadejdzie i na jego czole ukaże się ten dziwny znak?

- Nie zniosę tego dłużej - szepnął sam do siebie. Tom był teraz dla niego przedmiotem budzącym grozę, widokiem, który go intrygował, ale jednocześnie wzmagał jego trwogę. Nie mógł po prostu patrzeć na niego.

Wreszcie rozpacz wzięła w nim górę nad wzrastającą trwogą; oderwał się od ściany, o którą się opierał, i schwyciwszy trupa pod ramiona, począł go wlec do łóżka. Bose pięty marynarza ciągnęły się bez szelestu po podłodze. Trup był ciężki ciężarem martwych przedmiotów. Ostatnim wysiłkiem Byrne wciągnął go, twarzą ku dołowi, na brzeg łóżka, wtoczył go nań i wyciągnawszy spod tej ciężkiej, nieruchomej masy prześcieradło, przykrył nim ciało. Wreszcie zaciągnął zasłony z obu końców łóżka, tak że spotkawszy się, skryły trupa zupełnie przed jego wzrokiem.

Chwiejnym krokiem zbliżył się do krzesła i padł na nie. Pot spływał mu po twarzy, a po chwili zdawało mu się, że w żyłach jego płynie strumień na wpół zmarzłej krwi. Objęła go w swoje całkowite posiadanie nieokreślona trwoga i obróciła jego serce w popiellsko.

Siedział wyprostowany w fotelu o wysokim oparciu, z lampą stojącą na ziemi u jego stóp, z pistoletami i kordelasem leżącymi na końcu stołu koło lewego łokcia; oczy jego krążyły bezustannie wokoło ścian, po suficie, po podłodze, w oczekiwaniu jakiegoś tajemniczego a przerażającego zjawiska. To, co niosło śmierć w swym oddechu, czatowało za drzwiami. Lecz Byrne nie dowierzał już teraz ani ryglom, ani murom. Bezrozumna trwoga,

czerpiąc podniecie nawet z jego dawnego, chłopięcego podziwu dla atletycznego, niezwycięzonego Toma (takim mu się zawsze zdawał), paraliżowała jego władze umysłowe i powiększała rozpacz.

Nie był już Edgarem Byrne, pozostała zeń tylko cierpiąca jego dusza, pogrążona w mękach, jakich nigdy jeszcze żadne grzeszne ciało nie doświadczyło. Głębiej jego cierpienie można dopiero ocenić dowiedziawszy się, że ten młodzieniec, stosunkowo dość odważny, rozważał zamiar wypalenia sobie w głowę z pistoletu. Lecz owładnęła nim śmiertelna, chłodna bezsilność; miał uczucie, że ciało jego jest jak wilgotny gips, tężejący na żebrach. Za chwilę, pomyślał, wejdą tu te dwie wiedźmy; jedna opierać się będzie na szczudle, druga - na lasce, przerażające, potworne, niesamowite siostrzyce diabła wejdą, aby naznaczyć jego czoło nieuchwytnym znakiem śmierci, a on nie będzie mógł się obronić. Tom przed śmiercią walczył, lecz on mu nie dorównywał. Teraz już jego ramiona i nogi były jak martwe. Siedział bez ruchu, umierając ze strachu na samą myśl o takiej śmierci. Poruszał jedynie oczami, które krążąc bezustannie w oczodołach, obiegały ściany, podłogę, sufit, aż wreszcie zatrzymały się nagle i, wyskakując prawie z głowy, wpatrzyły się w łóżko kamiennym wzrokiem.

Ujrzał, że ciężkie zasłony poruszyły się i zatrzęsły, jak gdyby trup, którego zasłaniały, obrócił się na łożu i usiadł na nim. Byrne, nie przypuszczając, żeby na świecie istniały rzeczy bardziej jeszcze przerażające niż te, które przeżył, poczuł, jak mu włosy stają dęba. Schwycił się za poręcz fotela, szczeka mu opadła, pot spływał aż na brwi, a wyschnięty język przyłgnał nagle do podniebienia. Zasłony poruszyły się ponownie, lecz nie rozsunęły się jeszcze.

„Nie pokazuj się, Tomie!” - chciał zawołać Byrne, lecz wydał tylko cichy jęk jak podczas niespokojnego snu. Poczuł, że traci zmysły, gdyż zdawało mu się, że sufit nad łóżkiem poruszył się, pochylił, wreszcie wyprostował się znów, a zasłony zachwiały się z lekka, jak gdyby miały się rozsunąć.

Byrne zamknął oczy, aby nie ujrzeć okropnej zjawy nieboszczyka zmartwychpowstałego za sprawą złego ducha. W głębokiej ciszy, która panowała w pokoju, przeżył chwilę trwoźnego konania, po czym znów otworzył oczy i natychmiast zobaczył zasłony wciąż jeszcze zasunięte, lecz zauważył też, że sufit ponad łóżkiem podniósł się przynajmniej o stopę. Ostatnim błyskiem świadomości zrozumiał, że ogromy baldachim nad łóżkiem opuszcza się na dół, a zasłony przymocowane do niego chwieją się z lekka, kładąc się powoli na podłogę. Zamknął usta i, na wpół wyprostowany w fotelu, przyglądał się w milczeniu, jak potworny baldachim opuszczał się cicho nagłymi ruchami, aż do połowy mniej więcej wysokości, potem raptownie spadł na łóżko i dokładnie przylegając do niego przykrył je jakby skorupą ogromnego żółwia. Drzewo tylko parokrotnie z lekka trzasnęło i zapanowała w pokoju niezmierna cisza.

Byrne powstał i głęboko odetchnąwszy wydał okrzyk wściekłości i zgrozy; był to pierwszy głos, jaki wydał w czasie tej przerażającej nocy. Oto jakiej śmierci uniknął! Oto przed jaką diabelską sztuczką dusza biednego Toma z tamtego świata usiłowała go ostrzec; nie ma wątpliwości, że Tom zginął w taki właśnie sposób. Byrne był pewien, że naprawdę słyszał głos marynarza, wymawiający zwykłą formułkę: „Panie, miej się na bacności!” i inne jeszcze niezrozumiałe słowa, bo choć odległość między żywymi a umarłymi jest przecież tak wielka, biedny Tom usiłował go jednak ostrzec! Byrne podbiegł do łóżka i próbował

podnieść lub usunąć okropne wieko, nakrywające ciało, lecz opierało się jego wysiłkom, nieporuszone jak płyta grobowa, ciężkie jak ołów. Wściekła chęć zemsty skłoniła go, do zaniechania tych prób, głowa jego roiała się od chaotycznych pomysłów odwetu; bełkocząc okropne pogrożki biegał wokoło pokoju, jakby nie mógł znaleźć ani broni, ani wyjścia...

Gwałtowne kołatanie do drzwi gospody otrzeźwiło go nieco. Rzucił się do okna, otworzył okiennice i wyjrzał na dwór. W słabym brzasku świtającego dnia ujrzał na dole tłum ludzi. Ha! Pójdzie stanąć do walki z tymi mordercami, zebranymi tu bez wątpienia dla zgładzenia go. Po walce z nie znanym mordercą marzył o otwartej bitwie z uzbrojonym nieprzyjacielem. Lecz widocznie niezupełnie jeszcze odzyskał przytomność, gdyż zapominając o broni zbiegł po schodach z dzikim okrzykiem, odryglował drzwi, do których dobijano się jeszcze ciągle z zewnątrz, otworzył je na roścież i z gołymi rękami rzucił się do gardła pierwszego człowieka, jaki się przed nim znalazł. Przewrócili się obaj. Byrne miał mglisty zamiar przedarcia się przez napastników, aby uciec góorską ścieżką i powrócić wkrótce z ludźmi Gonzalesa dla wywarcia przykładowej zemsty. Walczył zawzięcie, dopóki na głowę jego nie spadło coś na kształt drzewa, domu czy też skały, potem nic już nie pamiętał.

Tu Byrne opowiada nam szczegółowo, jak odzyskał przytomność, z głową starannie obandażowaną; informuje, ile stracił krwi, i opisuje, jak go wówczas pielęgnowano. Nie żałuje też pochwał Gonzalesowi, on to bowiem, nie mogąc się doczekać wiadomości od Anglików, z połową swej bandy wstąpił do gospody po drodze nad wybrzeże morskie.

- Wasza ekscelencja - tłumaczył się - wypadł z taką gwałtownością, a że nie znaleliśmy go, więc... itd.

Gdy się go zapytano, co się stało z czarownicami, wskazał tylko, milcząc, palcem na ziemię i głosem spokojnym wypowiedział uwagę moralną: - Namiętność do złota jest w starości bezwzględna. Z pewnością już przedtem ułożyły do snu wiecznego w arcybiskupim łożu wielu samotnych podróżnych.

- W gospodzie była także młoda Cyganka - rzekł Byrne słabym głosem, leżąc na zaimprovizowanych noszach, niesionych do wybrzeża morskiego przez oddziałek *guerillerosów*.

- Ona to właśnie manewrowała tą piekielną maszyną i dzisiejszej nocy ona ją też opuszczała - brzmiała odpowiedź.

- Ale dlaczego? Dlaczego pragnęła mej śmierci?! - zawołał Byrne.

- Zapewne dla zdobycia mosiężnych guzików z kurtki waszej ekscelencji - rzekł uprzejmie poważny Gonzales - znaleźliśmy przy niej guziki zamordowanego marynarza. Lecz wasza ekscelencja może być spokojny, uczyniliśmy z nią wszystko, co było konieczne w danych okolicznościach.

Byrne nie pytał już więcej. Jeszcze jedną śmierć Gonzales uznał „za konieczną w danych okolicznościach”. Jednooki Bernardino postawiony pod ścianą swej winiarni dostał w same piersi sześć ładunków z *escopettas*. Gdy rozległy się te strzały, garść hiszpańskich patriotów, wyglądających na bandytów, niosła prostą trumnę ze zwłokami Toma przez dolinę ku wybrzeżu, gdzie dwie łodzie spuszczone ze statku oczekiwały ziemskich szczątków najlepszego z marynarzy.

Byrne, bardzo blady i słaby, wszedł do łodzi, w której złożone były zwłoki zacnego przyjaciela, gdyż postanowiono pochować Toma Corbina daleko w Zatoce Biskajskiej. Oficer ujął ster i spojrzawszy po raz ostatni na wybrzeże, ujrzał na szarym zboczu pagórka poruszającą się postać, w której rozpoznał siedzącego na

mule małego człowieka w żółtym kapeluszu. Gdyby nie sprawa tego muła, los Toma Corbina pozostałby nie znany na wieki.

Przełożyła Teresa Tatarkiewicz

ROBERT SMYTHE HICHENS

Miłość i profesor Guildea

I

Ludzie mało wnikliwi dziwili się, jak doszło do tego, że Ojciec Murchison i profesor Fryderyk Guildea zostali bliskimi przyjaciółmi. Pierwszy był pełen wiary, drugi był skończonym sceptykiem. W naturze Ojca leżała miłość. Patrzył na świat z czułością nieomal dziecięcą. Jego łagodne, lecz nieustraszone, niebieskie oczy zdawały się dostrzegać dobroć w ludzkich sercach i cieszyć się tym, co widziały. Profesor miał twarz ostrą jak toporek, dodatkowo zaostrzoną przez czarną, zadzierżystą, kozią bródkę. Spojrzenie przeszywające, bystre, aroganckie. Usta jego o cienkich, wąskich wargach miały wyraz niemal okrutny. Głos ostry i suchy, gdy nabrzmiał energią - przechodził w wysokie tonacje sopranu. Strzelał słowami, modulując je urywanie i przenikliwie. Kierował się zasadą: nie dowierzać i badać. Po prostu trudno było przypuścić, aby mógł on w swym pełnym zajęć życiu znaleźć odrobinę czasu na miłość bądź w znaczeniu ogólnoludzkim, bądź osobistym. Spędzał pracowite dni na badaniach naukowych, które przyniosły światu liczne korzyści. Pracował więc jednak dla ludzkości.

Obaj nasi panowie żyli w celibacie. Ojciec Murchison był członkiem zakonu anglikańskiego, który w regułach swych zabrania małżeństwa. Profesor Guildea miał niepochlebną opinię

o wielu rzeczach, a szczególnie o kobietach. Zajmował najpierw stanowisko wykładowcy na uniwersytecie w Birmingham. Gdy sława jego jako odkrywcy wzrosła, przeniósł się do Londynu. Tutaj podczas wygłaszanej przez siebie prelekcji w dzielnicy East End spotkał po raz pierwszy Ojca Murchisona. Wymienili kilka słów. Być może człowieka nauki uderzyła wybitna inteligencja Ojca, tym bardziej że skłonny był dotąd patrzeć z pewnym lekceważeniem na przedstawicieli kleru. Być może pociągnęła go u tego duchownego pełna zdrowego rozsądku szczerść przekonań. Dość, że gdy opuszczał salę wykładową, zaprosił Ojca do swego domu przy Hyde Park Place. Ojciec, który rzadko odwiedzał West End, chyba że miał tam wygłosić kazanie, przyjął zaproszenie.

- Kiedy Ojciec przyjdzie? - zapytał Guildea, zwijając w rulonik niebieskie kartki, na których widniały notatki pisane drobnym, wyraźnym charakterem. Szelest kart towarzyszył suchemu, ostremu głosowi.

- W najbliższą niedzielę wieczorem mam kazanie w kościele Zbawiciela, niedaleko od pana - odpowiedział Ojciec.

- Ja nie chodzę do kościoła.

- Tak - powiedział Ojciec bez najmniejszego akcentu zdziwienia czy dezaprobaty.

- Niech Ojciec przyjdzie do mnie po kazaniu na kolację.

- Dziękuję. Przyjdę.

- O której to będzie godzinie? Ojciec uśmiechnął się: - Jak tylko skończę kazanie. Nabożeństwo zaczyna się o szóstej trzydzieści.

- A więc około ósmej, przypuszczam. Niech Ojciec nie wygłasza zbyt długiego kazania. Mieszkam przy Hyde Park Place 100. A więc dobrej nocy.

Profesor założył gumkę na rulon swych notatek i odszedł, nie

uścisknąwszy księdzu dłoni.

W niedzielę Ojciec wygłosił kazanie do licznie zgromadzonych wiernych. Mówił na temat współczucia, mówił, że człowiek, który nie kocha bliźniego jak siebie samego, jest niepożyteczny. Kazanie było dość długie i gdy kaznodzieja - w swej obszernej, czarnej sutannie, w sztywnym kapeluszu o szerokim rondzie, z opadającymi końcami czarnych sznurów - szedł wreszcie w kierunku domu profesora, wskazówki oświetlonego zegara na Marble Arch wskazywały dwadzieścia minut po ósmej.

Ojciec przyspieszył kroku, torując sobie drogę wśród tłumu żołnierzy, rozgadanych kobiet w odświętnych strojach i chichoczących uliczników. Był ciepły, kwietniowy wieczór. Gdy Ojciec dotarł wreszcie do domu profesora, ten stał właśnie na progu oświetlonego przedpokoju, patrząc w stronę ogrodzenia parku, z gołą głową, wdychając świeże, wilgotne powietrze.

- Ha - powiedział profesor - kazanie było długie. Proszę, niech ksiądz wejdzie.

- Obawiam się, że mówiłem naprawdę zbyt długo - odpowiedział Ojciec wchodząc do mieszkania. - Jestem niebezpieczny, mówię bez przygotowania.

- To daleko bardziej interesujące dla słuchacza mówić bez notatek. Jeśli Ojciec to potrafi, tym lepiej. Proszę powiesić płaszcz i kapelusz w przedpokoju. Zaraz podadzą nam kolację. Jadalnia jest tutaj.

Profesor otworzył drzwi z prawej strony. Weszli do wąskiego, długiego pokoju o złocistych tapetach i czarnym suficie, z którego zwieszała się elektryczna lampa ocieniona złotawym kloszem. W pokoju stał niewielki owalny stół, nakryty na dwie osoby. Profesor nacisnął dzwonek i zagaił rozmowę: - Zdaje mi się, że się lepiej rozmawia przy stole owalnym niż przy prostokątnym.

- Naprawdę? A dlaczego?

- Zrobiłem doświadczenie. Dwa razy zaprosiłem tych samych gości. Za pierwszym razem siedzieliśmy przy stole kwadratowym, za drugim - przy owalnym. W pierwszym wypadku rozmowa rwała się, w drugim - rozwijała się znakomicie. Czy Ojciec zechce usiąść?

- Jakże pan tłumaczy sobie tę różnicę? - zapytał Ojciec siadając i starannie podciągając szerokie poły swej sutanny.

- Hm... Wiem za to, jak Ojciec to tłumaczy.

- Naprawdę? Jak mianowicie?

- Przy stole owalnym, gdzie nie ma rogów, łańcuch sympatii ludzkiej - ów prąd elektryczny - jest bardziej kompletny i lepiej zwarty. Ale co tam mówić więcej! Niech Ojciec pozwoli swój talerz, naleję zupy.

Ojciec postawił przed sobą talerz z zupą i spojrzał swymi promiennymi, niebieskimi oczyma na profesora. Potem uśmiechnął się.

- Jak to? - powiedział swym przyjemnym tenorem. - Więc jednak chodzi pan czasem do kościoła?

- Dziś po raz pierwszy od wielu lat. I, proszę zapamiętać, wynudziłem się porządnie.

Ojciec uśmiechał się wciąż, a jego niebieskie oczy mrugały wesoło.

- Och, jakże się martwię! - powiedział.

- Byłem znudzony, ale nie kazaniem - mówił dalej profesor. - Nie, to nie jest komplement. Stwierdzam fakt: kazanie nie znudziło mnie. Powiedziałbym prawdę, gdyby tak było, albo też - nie powiedziałbym nic.

- A co wolałby pan zrobić?

- Sam nie wiem doprawdy.

Profesor uśmiechnął się niemal ze wesoło. - Jakie wino ksiądz pije?

- Dziękuję, żadnego. Jestem abstynentem. To jest konieczne ze względu na mój zawód i otoczenie, w którym przebywam. Poproszę o trochę wody sodowej. Chyba jednak powiedziała by pan prawdę.

- Bardzo możliwe. I źle bym zrobił. Ksiądz niewiele by to obeszło.

- Myślę, że tak.

Dobrze już im było ze sobą. Ojciec czuł się jak u siebie pod tym czarnym sufitem. Popijał wodę sodową niemal z większym smakiem niż profesor wino.

- Pan się śmieje, jak widzę, z teorii łańcucha sympatii ludzkiej - mówił Ojciec. - W takim razie, jak pan wyjaśni, że rozmowa podczas obiadu przy kwadratowym stole skończyła się fiaskiem, a przy owalnym powiodła się.

- Prawdopodobnie moi goście, gdy zaprosiłem ich pierwszy raz, cierpieli na jakąś dolegliwość wątroby, dlatego ich dowcip był tępy. Za drugim razem musieli być w doskonałej formie. A jednak, jak Ojciec widzi, stałem się zwolennikiem owalnego stołu.

- To znaczy, że...

- Och, to bardzo niewiele znaczy. Ale - muszę zauważyć, że pomijając rolę, jaką odgrywa wątroba w naszych uczuciach, popełnił Ojciec poważny błąd.

- Nie pragnąć sympatii ludzkiej jest jeszcze poważniejszym błędem.

- Skąd ta pewność, że nie mam takich pragnień?

- Domyślam się. Mówi mi o tym pańskie spojrzenie, pańskie zachowanie. Nie zgadzał się pan ani trochę z treścią mojego

kazania, prawda?

- Przeciwnie, częściowo się zgadzałem.

Służący zmienił talerze. Był to szczupły mężczyzna w średnim wieku, blondyn o kamiennej, bladej twarzy, wypukłych oczach i doskonałych manierach. Gdy opuścił pokój, profesor ciągnął dalej: - To co Ojciec mówił dziś na kazaniu, zainteresowało mnie, ale uważam, że było w tym dużo przesady.

- Na przykład?, - Niech Ojciec pozwoli, że przez chwilę będę mówił o sobie. Większa część mego życia upłynęła na ciężkiej, wytężonej pracy.

A wyniki tej pracy, zgodzi się Ojciec, okazały się dobroczynne dla ludzkości.

- Bez wątpienia - potwierdził Ojciec przebiegając myślą odkrycia profesora.

- A choć pracowałem wyłącznie z myślą o celu naukowym, rezultaty moich badań okazały się równie użyteczne dla ludzkości, jak gdybym je prowadził z miłości dla człowieka i jak gdybym - rządząc się uczuciami - pragnął zapewnić mu więcej wygód, niż dotąd posiadał. Jestem bardziej użyteczny, nie kierując się uczuciem, niż ci, którzy z miłości dla człowieka pragną uwalniać z więzień morderców lub - jak Tołstoj - gotowi są działać na rzecz tyranii, sprzeciwiając się karaniu tyranów.

- Słusznie. Uczuciem można wyrządzić wielką krzywdę, a wielkie dobro sprawić bez uczuć. Nawet dobre chęci nie wystarczają. Wiem. A jednak jestem zdania, że pan przy swoich wielkich zdolnościach i wiedzy mógłby być nieporównanie użyteczniejszy dla świata, gdyby dołożył pan do nich jeszcze uczucie, gorącą sympatię dla rodzaju ludzkiego. Wierzę, że wówczas praca pańska dawałaby jeszcze wspanialsze wyniki.

Profesor napełnił winem swój kieliszek.

- Czy Ojciec zwrócił uwagę na mojego lokaja?

- Tak.

- To jest doskonały służący. Dogadza mi całkowicie. A jednak nie czuję do niego szczególnej sympatii. Jestem dla niego zawsze grzeczny. Płacę mu dobrze. Ale nigdy o nim nie myślę, nigdy nie zajmuję się nim jako ludzką istotą. Nic o nim nie wiem prócz opinii jego ostatniego chlebodawcy. Ojciec powiedziałby zapewne, że między nami nie ma ludzkiego stosunku. Ojciec na pewno jest zdania, że pracowałby on lepiej, gdybym postarał się, żeby polubił mnie tak jak człowiek należący do jednej klasy społecznej może polubić człowieka z innej.

- Oczywiście.

- A ja twierdzę, że nie pracowałby lepiej.

- No a gdyby wydarzyło się jakieś nieszczęście?

- Co?

- Jakieś nieszczęście, jakaś zmiana w pańskim życiu. Gdyby potrzebna była panu jego pomoc nie jako człowieka-lokaja, ale jako człowieka-brata? Prawdopodobnie zawiódłby pana wówczas. Nigdy lokaj nie odda panu tej cennej ludzkiej usługi, jaką jest w stanie ofiarować człowiek szczerze przywiązany.

- Czy Ojciec skończył?

- Całkowicie.

W takim razie chodźmy na górę. Tak, te ryciny są doskonałe; zdobyłem je w swoim czasie w Birmingham. Oto mój gabinet.

Weszli do ogromnego pokoju, którego ściany całkowicie wypełniały książki. Elektryczne oświetlenie było silne, jaskrawe. Okna wychodziły z jednej strony na park, z drugiej - na ogród sąsiedniego domu. W drugim pokoju, znacznie mniejszym, stało biurko zarzucone listami, broszurami i rękopisami. Na ścianie wisiała klatka, w której duża, popielata papuga zamyślona łąziła

po prętach.

- A jednak ma pan ulubieńca - powiedział zdziwiony Ojciec.

- Posiadam papugę - odpowiedział sucho profesor. - Nabyłem ją celowo w okresie, gdy prowadziłem badania nad zdolnościami naśladowczymi u ptaków. Nie pozbyłem się jej. Czy Ojciec zapali cygaro?

- Dziękuję.

Usiedli. Ojciec Murchison spoglądał na papugę. Przerwała właśnie swoją wędrówkę, przyłgnęła do drutów klatki i przyglądała się obu panom z natężoną uwagą. Oczy miała okrągłe, inteligentne, lecz w żadnym razie sympatyczne. Z papugi przeniósł Ojciec wzrok na pana Guildea, który palił cygaro z głową odrzuconą do tyłu, a spiczasty podbródek, najeżony czarną bródką, wznosił do góry. Poruszał wciąż dolną wargą, co sprawiało, że drgająca broda wyglądała szczególnie zaczepnie. Nagle Ojciec roześmiał się cicho.

- Co się stało? - zawołał pan Guildea, opuszczając podniesiony do góry podbródek i patrząc przenikliwie na gościa.

- Pomyślałem właśnie, że tylko jakieś nieszczęście mogłoby spowodować, aby pan zaapelował do uczuć swego lokaja prosząc go o pomoc.

Guildea również się uśmiechnął.

- Ojciec ma rację. To byłoby nieszczęście.

Lokaj właśnie wchodził do pokoju z kawą. Podał ją dyskretnie i wysunął się jak cień.

- Wspaniały służący, bez ludzkich cech - zauważył Guildea.

- A ja wolę swojego chłopaka z East Endu, który załatwia mi różne sprawy. Znam wszystkie jego smutki. On zna niektóre z moich. Jesteśmy przyjaciółmi. Jest hałaśliwszy od pańskiego służącego, ale zrobiłby dla mnie znacznie więcej niż dokładanie

węgla do kominka czy oczyszczenie mi butów.

- Ludzie nie są z jednej gliny. Dla mnie czyjaś troskliwość byłaby nie do zniesienia.

- A jak jest z tym ptakiem? - zapytał Ojciec, wskazując na papugę, która stała z jedną łapą wzniesioną niemal że błogosławiącym gestem i patrzyła uparcie na profesora.

- To jest troskliwe oko naśladowcy pragnącego powtórzyć dokładnie jakieś osobliwe gesty innych. Mniejsza z tym. Wie Ojciec, naprawdę uważam to dzisiejsze kazanie Ojca za mądre, bardzo odświeżające umysł. Ale ja nie odczuwam żadnej potrzeby uczucia. Owszem, jakaś umiarkowana, rozsądna sympatia mogłaby być pożądana. - W tym momencie profesor targnął palcami brodę, jak gdyby sam się przestrzegał przed sentymentalnością.- Ale już coś więcej byłoby niemożliwie nudne i męczące, pchnęłoby mnie - jestem pewny - do okrucieństwa. To by także przeszkadzało w pracy.

- Nie wydaje mi się...

- Owszem, w tego rodzaju pracy, jaką ja uprawiam. A będę kontynuował ją dla dobra świata, choć go nie Kocham, on zaś będzie z niej korzystał, nie darząc mnie miłością. Jest tak, jak powinno być.

Wypił swoją kawę. Potem dodał, niemal wojowniczo: - Nie mam ani czasu, ani skłonności do sentymentów.

Gdy Ojciec wychodził, profesor odprowadził go do drzwi i tu zatrzymali się na chwilę. Ojciec spoglądał poprzez mokrą od deszczu ulicę na park.

- Jak widzę, brama parku znajduje się akurat na wprost pańskiego domu - zauważył.

- Tak. Wymykam się tamtędy często na przechadzkę, aby dać odpoczynek mózgowi. Dobranoc Ojcu. Proszę przyjść któregoś

dnia.

- Z przyjemnością, dobranoc - odpowiedział Ojciec i ruszył swoją drogą, zostawiając profesora, stojącego jeszcze na progu.

Odtąd Ojciec Murchison przychodził często na Hyde Park Place numer 100. Lubił on większość ludzi, których znał, a wszystkich obdarzał pewną czułością. W stosunku do profesora natomiast miał specjalny rodzaj uczucia, coś niby litość. Żałował tego ciężko pracującego wybitnego człowieka o świetnym mózgu i odważnym sercu, który nigdy nie zdradzał przygnębienia, nie chciał niczyjej pomocy, nie skarżył się na zawiłości swego życia i nie narzekał na przeszkody hamujące postęp jego prac. Ojciec żałował profesora dlatego, że profesor miał tak niewiele pragnień. Nawet powiedział mu o tym, gdyż stosunki obu mężczyzn od początku cechowała wyjątkowa szczerłość.

Któregoś wieczoru, gdy rozmawiali, Ojciec wskazał na pewną osobliwość życia: ci, którzy nie pożądamy czegoś - często to otrzymują, podczas gdy inni, poszukujący gorączkowo i namiętnie, doznają w swych poszukiwaniach zawodu.

- W takim razie - powiedział Guildea, uśmiechając się nieco posępnie - powinienem zostać obdarzony cudzymi uczuciami, bo... brzydzę się nimi.

- Być może kiedyś...

- Na szczęście nie spodziewam się tego.

Na razie Ojciec Murchison nie odpowiedział. Uważnie wiązał końce szerokiego pasa, jakim ściągnięta była jego sutanna. Gdy zaczął mówić, zdawało się, że udziela komuś odpowiedzi.

- Tak - mówił powoli. - Tak. Tego właśnie doznaję: uczucia litości.

- Dla kogo? - wtrącił profesor.

Nagle zrozumiał. Nie powiedział tego, że zrozumiał, lecz Ojciec

wyczuł, że nie potrzebuje już odpowiadać na pytanie. I w ten dziwny sposób Guildea dowiedział się, że człowiek ten, będący jego przeciwieństwem pod każdym względem, mu współczuje.

Nie miał nic przeciwko temu. Niewiele go to obeszło. I to właśnie najlepiej uwydatniało szczególną obojętność jego natury.

II

Pewnego jesiennego wieczoru, w półtora roku po pierwszym spotkaniu Ojca Murchisona z profesorem Guildea, Ojciec zapukał do willi przy Hyde Park Place. Otworzył mu Pitting, ów jasnowłosy lokaj o kamiennej twarzy. Zapytany o profesora, powiedział: - Tak, proszę Ojca, profesor jest w domu. Proszę za mną. - Poszedł bezszelestnie po wąskich schodach na pierwsze piętro, ostrożnie otworzył drzwi do gabinetu i zaanonsował swoim przytłumionym, chłodnym głosem: - Ojciec Murchison.

Guildea siedział w fotelu przed niewielkim kominkiem. Oparł na kolanach ręce o długich, cienkich palcach, głowę miał opuszczoną na piersi. Zdawał się być głęboko zamyślony. Pitting podniósł nieco głos: - Ojciec Murchison przyszedł z wizytą, proszę pana - powtórzył.

Profesor poderwał się szybko.

- Ach, to Ojciec - powiedział. - Jakże rad Ojca widzę. Proszę siadać tu, przy kominku.

Ojciec spojrzał na niego i pomyślał, że profesor ma twarz człowieka niezwykle zmęczonego.

- Nie wygląda pan dziś dobrze - powiedział.

- Naprawdę?

- Musiał pan zbyt dużo pracować. A może ten wykład, który ma pan wygłosić wkrótce w Paryżu, nie daje panu spokoju?

- Nie, ani trochę. Wszystko już załatwione. Mógłbym wygłosić go tu, w tej chwili, przed Ojcem. Proszę, niech Ojciec siada.

Gdy gość usiadł, profesor zagłębił się w swoim fotelu i milczał, wpatrzony w płomienie. Zdawał się głęboko namyślać. Przyjaciel nie przerywał milczenia; bez pośpiechu wyjął fajkę i zapalił.

Oczy profesora wlepione były w ogień. Ojciec rozglądał się po pokoju; spojrzął na ściany wyłożone ciemno oprawnymi książkami, na biurko zarzucone papierami, na okna, przesłonięte storami z ciężkiego, granatowego brokatu, wreszcie na klatkę, umieszczoną między oknami. Klatka osłonięta była grubym, zielonym suknem. Ojciec zdziwił się: po co? Nigdy dotąd nie widział Napoleona - takie imię miała papuga - zasłoniętego na noc.

Nagle Guildea potrząsnął głową, zdjął ręce z kolan, złożył je i krótko zapytał: - Sądzi Ojciec, że jestem człowiekiem interesującym? Ojciec Murchison znieruchomiał. Zdumiało go to pytanie wychodzące z ust takiego człowieka.

- O nieba! - wykrzyknął. - Co się panu stało? I w jakim sensie? Myśli pan: interesujący dla drugiej płci?

- Właśnie tego nie wiem - odpowiedział posępnie profesor. I powtórzył znów, patrząc w ogień: - Tego właśnie nie wiem.

Ojciec zdumiał się jeszcze bardziej. Wykrzyknął: - Tego pan nie wie! - I odłożył fajkę.

- Chwileczkę. Czy sądzi Ojciec, że jest we mnie coś tak atrakcyjnego, co mogłoby przyciągać do mnie jakąś istotę ludzką czy zwierzęcą?... Przyciągać nieodparcie...

- Bez względu na to, czy pan tego pragnie?

- Właśnie. Chociaż, ściślej mówiąc, jeśli tego nie pragnę... Ojciec Murchison przygryzł swoje dosyć pełne wargi, a drobne zmarszczki pojawiły się w kącikach jego niebieskich oczu.

- Może się zdarzyć i tak - powiedział po krótkim namyśle. - Natura ludzka jest słaba, zadziwiająco słaba, profesorze. A pan ma skłonności, żeby z niej szydzić. No, mogę sobie wyobrazić pewien rodzaj kobiet z gatunku tych, co to szukają podbojów, lub z gatunku intelektualistek... Pan rozumie, pańska sława, pańskie

wielkie imię...

- Tak, tak - przerwał Guildea - o tym wszystkim wiem sam. Wiem.

Splótł długie, szczupłe palce i wykręcił je, aż zatrzeszczały. Czoło jego pokryło się zmarszczkami.

- Wyobrażam sobie - przerwał na chwilę i sucho zakaszłał - wyobrażam sobie, jakby to było nieprzyjemnie, gdybym się podobał, gdyby za mną latało - tak to się zwykle określa, prawda? - coś, czego nie chcę...

To powiedziawszy profesor zmienił pozycję w fotelu, założył nogę na nogę i spojrzał na swego gościa niezwykle natarczywie.

- Coś? - zapytał Ojciec.

- Powiedzmy ktoś. Chyba nie ma nic bardziej nieprzyjemnego...

- Dla pana, nie - zauważył Ojciec. - Lecz niech mi pan wybaczy, profesorze, nie mogę zrozumieć, że panu powstała w głowie taka myśl. Przecież to byłby intruz! Pan przecież nie zachęca do adoracji...

Guildea posepnie kiwał głową.

- Nie, nie zachęcam. Na pewno nie. I to jest właśnie ciekawe, że ja... - Urwał zdecydowanie. Wstał. Wyprostował się. - Ja też zapalę fajkę - powiedział.

Podszedł do kominka, wziął z gzymsu fajkę, napełnił tytoniem, zapalił. Trzymając zapalną przy fajce, pochylony nieco, z wyraźnym w całej postawie i w twarzy pytaniem, rzucił okiem na zielone sukno nakrywające klatkę Napoleona. Potem rzucił zapalną na ruszt kominka, wypuścił kłęb dymu i podszedł do klatki. Wyciągnął rękę, chwycił brzeg sukna i zaczął je ściągać. Nagle - z powrotem nasunął sukno na klatkę.

- Nie - powiedział jakby do siebie. - Nie. - Szybkim krokiem wrócił do kominka i ciężko opadł na fotel. - Ojciec jest pewno

zdziwiony - rzekł do swego gościa. - Ja również. Sam nie wiem, nie mam pojęcia, co z tym zrobić. Więc po prostu opowiem Ojcu same fakty, a Ojciec mi powie, co o tym sądzi. Przedwczoraj bardzo dużo pracowałem, nie więcej zresztą niż zwykle. Wieczorem podszedłem do frontowych drzwi, aby wyrzeć i chwycić w płuca trochę świeżego powietrza. Ojciec wie, ja to często robię.

- Tak. Gdy przyszedłem tu po raz pierwszy, spotkałem pana właśnie na progu tych drzwi.

- Właśnie. Nie włożyłem ani kapelusza, ani palta. Wyszedłem, jak stałem. Głowę miałem ciągle jeszcze zaprzątniętą pracą. Noc było dość ciemna. Godzina jedenasta, może kwadrans po. I nagle zdałem sobie sprawę, że patrzę na kogoś, kto siedział tyłem do mnie na jednej z ławek w parku. Zobaczyłem tę osobę - jeśli to, co widziałem, było osobą - poprzez ogrodzenie.

- Jeśli to była osoba! - powtórzył Ojciec. - Co pan przez to rozumie?

- Niech Ojciec chwilkę zaczeka. Mówię tak, bo było zbyt ciemno, żebym mógł powiedzieć na pewno. Po prostu zobaczyłem na ławce jakiś czarniawy przedmiot, wystający ponad oparcie ławki. Nie potrafiłbym powiedzieć, czy był to mężczyzna, kobieta czy dziecko. Ale coś było i ja patrzyłem na to.

- Rozumiem.

- Stopniowo uświadomiłem sobie, że myśli moje skupiają się na tym przedmiocie czy osobie. Zacząłem myśleć: co „ono” tu robi, o czym myśli, jak wygląda?

- Na pewno jakaś biedna bezdomna istota ludzka. Tak przypuszczam - powiedział Ojciec.

- To samo sobie wówczas powiedziałem. A jednak przedmiot ten zainteresował mnie ogromnie, zainteresował mnie tak

dalece, że wziąłem kapelusz i ruszyłem do parku. Jak Ojciec wie, naprzeciw mego domu jest wejście do parku. Przeszedłem więc jezdnię, przekroczyłem bramę parku, podszedłem do ławki i... nic na niej nie było.

- Czy idąc do parku patrzył pan na ławkę?

- Tak, przynajmniej z początku. Odwróciłem od niej oczy w chwili, gdy mijałem bramę, bo właśnie wtedy spostrzegłem w pewnej odległości grupę sprzeczekających się ludzi i przez moment patrzyłem na nich. Gdy zobaczyłem, że ławka jest pusta, doznałem absolutnego uczucia zawodu i prawie... złości. Stałem i rozglądałem się bacznie, czy nie dojrzę czegoś w pobliżu, czy nie usłyszę jakiegoś szelestu. Noc była mglista, nie mogłem dojrzeć niczego. Wciąż czułem się głupio i dziwnie zawiedziony. Tą samą drogą wróciłem do domu. Gdy przybyłem na miejsce, zastałem drzwi do mego domu otwarte. Tak, zostawiłem je na pół otwarte wychodząc.

- Cóż, to wielka nieostrożność. W Londynie!...

- Tak. Oczywiście nie miałem o tym pojęcia, aż do chwili powrotu. Co prawda, nie było mnie zaledwie ze trzy minuty. Najwyżej.

- Tak.

- Nie przypuszczam, żeby ktoś zdołał wejść do środka.

- Chyba nie.

- Ojciec jest tego pewny?

- Dlaczego pan pyta, profesorze?

- No, tak...

- Zresztą, gdyby ktokolwiek wszedł, złapałby go pan po powrocie. Na pewno.

Guildea znów zakaszłał. Ojciec, zdziwiony, nie mógł nie dostrzec, że profesor jest mocno zdenerwowany i że odbija się to

na jego fizycznym stanie.

- Musiałem zaziębić się tamtego wieczoru - powiedział profesor, jak gdyby czytał myśli przyjaciela i usiłował im zaprzeczyć.

Potem powiedział:

- Wszedłem do sieni, a raczej na korytarz.

Znowu przerwał. Widać było, z jaką trudnością mówi.

- I... czy pan tam kogoś zastał? - spytał Ojciec. Guildea przełknął ślinę.

- Właśnie to... właśnie o tym chcę mówić. Ojciec wie, nie jestem człowiekiem, którego ponosi wyobraźnia.

- Na pewno nie.

- Otóż zanim jeszcze wszedłem na korytarz, poczułem, że ktoś w czasie mej nieobecności dostał się do tego domu. Byłem o tym przekonany. Co więcej, miałem przeświadczenie, że tym intruzem jest ktoś, kogo widziałem w parku na ławce. Co Ojciec o tym myśli?

- Zaczynam myśleć, że pan ma jednak bujną wyobraźnię.

- Hm... Wie Ojciec, wydało mi się, że ta osoba z ławki w parku i ja powzięliśmy jednocześnie zamiar ucięcia rozmowy i że zamiar ten postanowiliśmy natychmiast spełnić. Byłem tego tak pewny, że szybko poszedłem do tego pokoju; byłem absolutnie przekonany, że tu, na górze, czeka na mnie ów gość. Ale nie zastałem nikogo. Wtedy zszedłem na dół z powrotem i wszedłem do stołowego. Znowu nikogo. Byłem naprawdę zdumiony. Czyż to nie dziwne?

- Bardzo - odpowiedział poważnie Ojciec.

Chłodne i posępne zachowanie profesora, jego wyraźne skrępowanie, gdy opowiadał o tym zdarzeniu, nie dopuszczały iskry humoru, który tkwił w samym temacie rozmowy.

- I znowu poszedłem na górę - mówił dalej profesor - usiadłem i w myślach odtwarzałem wszystko, co się stało. Postanowiłem zapomnieć o tym. Wziąłem książkę. Być może zdołałbym skupić uwagę na czytaniu, lecz nagle wydało mi się, że...

Urwał gwałtownie. Ojciec Murchison dostrzegł, że wzrok profesora pobiegł ku zielonej zasłonie przykrywającej klatkę.

- Ale mniejsza z tym. Dość, że nie mogłem czytać. Postanowiłem przeszukać dom. Ojciec wie, dom ten jest niewielki, łatwo zrobić w nim przegląd. Udałem się na poszukiwanie. Wchodziłem do każdego pokoju bez wyjątku. Służba jadła akurat kolację, rzuciłem im parę słów wyjaśnienia. Musieli być bardzo zdziwieni moim przyjściem, niewątpliwie.

- A Pitting?

- Och, on grzecznie wstał, gdy wszedłem, stał przez cały czas mojej „wizyty”, ale nie odezwał się ani słowem. Wymruczałem: „nie przeszkadzajcie sobie” czy coś w tym rodzaju i wyszedłem. I, proszę Ojca, nikogo obcego w domu nie znalazłem, a mimo to wróciłem do tego pokoju całkowicie przekonany, że ktoś wszedł w czasie mej krótkiej nieobecności.

- I wyszedł, zanim pan wrócił?

- Nie, pozostał i nadal był w domu.

- Ależ, mój drogi profesorze - zaczął Ojciec, wielce - zdumiony.
- Na pewno...

- Wiem, co Ojciec chce powiedzieć. Właśnie to, co ja powiedziałbym, gdybym był na miejscu Ojca. Ale proszę poczekać. Ja jestem w dodatku przekonany, że gość ten nie opuścił tego domu i że jest w nim w tej chwili.

Mówił z wyraźną szczerością, niezwykle poważnie. Ojciec Murchison patrzył mu prosto w twarz, prosto w jego chłodne, przytomne oczy.

- Nie - ciągnął profesor, jakby w odpowiedzi na nie sformułowane pytanie przyjaciela. - Jestem całkowicie zdrow na umyśle. Ta cała sprawa przedstawia mi się równie niewiarygodnie, jak musi wyglądać w oczach Ojca. Lecz jak Ojciec wie, ja nigdy nie przeciwstawiam się faktom, nawet dziwnym. Staram się jedynie zbadać je dokładnie. Byłem już u lekarza: upewnił mnie, że jestem zupełnie zdrow.

Przerwał, jakby czekając, co ma do powiedzenia Murchison.

- Niech pan mówi dalej, profesorze. Pan nie skończył...

- Tej nocy czułem, że ktoś wszedł do domu i pozostał w nim. Byłem o tym przekonany i to przekonanie wzrastało we mnie. Położyłem się spać i wbrew przewidywaniom spałem równie dobrze jak zwykle. Ale ledwie obudziłem się wczoraj rano, wiedziałem, że w moim domu przebywa jedna osoba więcej.

- Czy mogę panu przerwać? Skąd pan o tym wiedział?

- Wyraźnie to czułem. Mogę tyle tylko powiedzieć, że byłem doskonale świadomy obecności obcej osoby w obrębie mojego domu, w pobliżu mnie.

- To bardzo dziwne - powiedział Ojciec. - Czy na pewno nie jest pan przepracowany? Czy umysł pański nie jest zmęczony? Czy jasno pan rozumuje?

- Najzupełniej. Nigdy nie czułem się lepiej. Gdy zszedłem rankiem na śniadanie, spojrzałem badawczo w twarz Pittinga. Była równie chłodna, spokojna i bez wyrazu jak zwykle. Na pewno nie był niczym wzburzony. Po śniadaniu zasiadłem do pracy, bez przerwy świadom obecności tego intruza. Niemniej pracowałem kilka godzin, czekając jak gdyby dalszego ciągu czegoś, co rozwiązałoby mrok tajemnicy wokół tego wydarzenia. Zjadłem obiad. Wziąłem płaszcz i kapelusz, otworzyłem drzwi i wyszedłem na ulicę. Natychmiast uświadomiłem sobie, że intruz

zniknął, uświadomiłem to sobie, aczkolwiek byłem przecież na ulicy, otoczony ludźmi. Wtedy poczułem z absolutną pewnością, że ta istota w moim domu musi o mnie myśleć, że nawet mnie szpieguje...

- Chwileczkę - przerwał Ojciec. - Co pan odczuwał? Czy może coś w rodzaju strachu?

- Ależ nie. Byłem tylko ogromnie zaskoczony i zaciekawiony, ale nie czułem lęku. Odbyłem wykład równie łatwo jak zwykle i wieczorem wróciłem do domu. Wchodząc byłem doskonale świadom, że intruz nadal w nim przebywa. Ubiegłego wieczoru sam jeden zasiadłem do stołu, a godziny po kolacji spędziłem na czytaniu naukowego dzieła, które interesuje mnie ogromnie. Ale podczas czytania ani na chwilę nie straciłem świadomości, że ktoś - niezmiernie mną zaprzątnięty - jest tuż obok mnie. Powiedziałbym nawet, że wrażenie to potęgowało się nieustannie i w chwili, gdy wstałem, aby pójść spać, nasunął mi się bardzo dziwny wniosek.

- Jaki? Jaki to był wniosek?

- Że ten ktoś czy coś, kto wszedł do tego domu w czasie mej krótkiej nieobecności, był mną bardzo, był mną więcej niż zainteresowany!

- Więcej niż zainteresowany?

- Lubił mnie albo zaczynał mnie lubić...

- O! - wykrzyknął Ojciec. - Teraz rozumiem, dlaczego spytał mnie pan, czy jest w panu coś, co mogłoby przyciągać nieodparcie jakąś istotę ludzką albo zwierzęcą.

- Tak. Skoro tylko nasunął mi się ten wniosek, to wyznać muszę, proszę Ojca, że moja zaostrzona ciekawość zabarwiła się innym jeszcze uczuciem...

- Uczuciem strachu?

- Nie. Jakiejś odrazy, zniecierpliwienia. Ale strachu - nie, nie... - Guildea znowu spojrział na klatkę z papugą. - Czego miałbym się bać? - dodał. - Nie jestem dzieckiem, żeby drzeć przed zjawami.

Przy ostatnich słowach profesor podniósł głos. Potem podszedł prędko do klatki i szybkim, zdecydowanym ruchem zerwał z niej zielone sukno. Ukazał się Napoleon wyraźnie drzemiący, z głową lekko przechyloną na bok. Ożywił się pod wpływem światła, poruszył się, nastroszył pióra wokół szyi, zmrużył oczy i począł przesuwać się bokiem po grzędzie w tę i tamtą stronę, a głową rzucał naprzód i w tył z energią i wyrazem bezsensownej zarozumiałości. Guildea stał przy klatce, bacznie wpatrując się w papugę z uwagą aż nienaturalnie skupioną.

- Jakie te ptaki niedorzeczne - powiedział wreszcie, wracając do kominka.

- Nie ma mi pan już nic więcej do powiedzenia? - spytał Ojciec.

- Tyle że nie opuszcza mnie świadomość czyjejś obecności w moim domu. I czuję wytężoną uwagę, skupioną na sobie. Jestem nadal zirytowany, powiem nawet, poważnie rozdrażniony.

- I nawet teraz czuje pan obecność kogoś obcego?

- Tak, również i w tej chwili.

- Czy pan przez to rozumie, że właśnie w tym pokoju, tu, przy nas?

- Muszę powiedzieć: tak. W każdym razie blisko nas. Znowu zerknął szybko, niemal podejrzliwie, w kierunku klatki.

Ptak siedział teraz spokojnie na grzędzie. Głowę miał przekrzywioną nieco na bok i zdawał się uważnie czegoś nasłuchiwać.

- Ten ptak będzie jutro naśladował ton mojego głosu jeszcze poprawniej niż dotychczas - powiedział Ojciec, patrząc uważnie na profesora swymi łagodnymi, niebieskimi pozami. - A zawsze

naśladował mnie bardzo umiejętnie.

Profesor drgnął lekko.

- Tak - powiedział. - Tak, bez wątpienia. No dobrze, ale co Ojciec myśli o mojej sprawie?

- Nic. Dosłownie nic. To się absolutnie nie da wytłumaczyć. Mogę być z panem szczery, prawda?

- Oczywiście. Przecież dlatego to Ojcu opowiedziałem.

- Prawdopodobnie jest pan przepracowany, przemęczony, wcale o tym nie wiedząc.

- Więc według Ojca doktor omylił się, mówiąc, że wszystko ze mną w porządku?

- Tak.

Guildea wystukał popiół z fajki o kominek.

- Być może - powiedział. - Nie jestem tak nierozsądny, by zaprzeczyć takiej możliwości, chociaż nigdy w życiu nie czułem się równie dobrze jak teraz. Co mi Ojciec radzi?

- Tydzień kompletnego wypoczynku, i to daleko od Londynu, w dobrym powietrzu.

- Tak, zwykła recepta. Dobrze. Pojadę jutro do Westgate, a na gospodarstwie zostawię Napoleona.

Ojciec ucieszył się, ale ostatnie słowa profesora, sam nie wiedział dlaczego, zmniejszyły, prawie zniweczyły to zadowolenie.

Tego wieczoru, idąc do domu, Ojciec zagłębił się w myślach, przypominając sobie i rozważając dokładnie przebieg swojej pierwszej wizyty u profesora półtora roku temu.

Nazajutrz profesor opuścił Londyn.

III

Ojciec Murchison był człowiekiem tak zapracowanym, że niewiele miał czasu na rozmyślanie o cudzych sprawach. A jednak w czasie nieobecności profesora myślał o nim dużo, ze zdumieniem i lękiem. Lęk wkrótce odegnał. Pozbył się go wiedząc, że strach to niepożądany towarzysz duszy. Lecz zdumienie pozostało, a nawet rosło. Guildea wyjechał z Londynu w czwartek. Powrócił w następny czwartek, uprzedzając przedtem krótką kartką Ojca. Gdy pociąg wjechał na dworzec Victoria o godzinie piątej, profesor zdziwił się, widząc postać w sutannie, stojącą na peronie tuż za szeregiem tragarzy.

- Kogo widzę! - zawołał. - Ojciec tutaj? Czemu to mam zawdzięczać?

Uścisnęli sobie dłonie.

- Tak się złożyło, że musiałem być w pobliżu tego dworca. Odwiedzałem chorego. Pomyślałem więc, że wyjdę na spotkanie pana.

- A może i ja też jestem... chory, co?

To mówiąc spojrział na Ojca przyjaźnie, lecz zaśmiał się krótkim, suchym śmiechem.

- Chory? - powtórzył Murchison patrząc na niego z zainteresowaniem. - Nie wydaje mi się. Wygląda pan doskonale.

Morskie powietrze pokryło brązem chude policzki profesora. Jego bystre oczy błyszczały życiem i energią. Szedł wyprostowany w swym szarym garniturze i lekkim płaszczu bez trudu dźwigając w lewej ręce dobrze wypakowany sakwojaż. Ojciec poczuł się całkiem uspokojony.

- Nigdy nie wyglądał pan lepiej - powiedział.

- I nigdy nie czułem się lepiej. Czy Ojciec może spędzić ze mną godzinę?

- Nawet dwie.

- Świetnie. Zaraz odeślę bagaż dorożką, a my sobie pójdziemy piechotą przez park do domu na szklankę herbaty. Co Ojciec o tym myśli?

- Bardzo będę rad.

Minęli stojących koło dworca gazeciarzy i dziewczyny sprzedające kwiaty. Poszli w kierunku Grosvenor Place.

- Dobrze spędził pan czas? - spytał Ojciec.

- Dość przyjemnie, tylko samotnie... Pozostawiłem swego towarzysza w przedpokoju pod numerem 100, wie Ojciec.

- Nie znajdzie go pan już teraz, jestem pewien.

- Proszę! - wykrzyknął profesor. - Ojciec uważa mnie za kompletnego słabeusza.

Przyspieszył kroku, jak gdyby chciał podkreślić, że pełen jest wigoru.

- Za słabeusza, nie. Ale człowiek, który tak uporczywie wyęży swój mózg, musi mieć od czasu do czasu odpoczynek.

- A mnie był on koniecznie potrzebny, co?

- Tak, moim zdaniem był potrzebny.

- No więc miałem odpoczynek. A teraz zobaczymy. Zmierzch zapadał szybko. Przeszli przez ulicę koło Hyde Parku i weszli do ogrodu. Szły wtedy tłumy ludzi, śpieszących po pracy do domu. Szli mężczyźni w drelichowych spodniach umazanych u dołu błotem, niosąc metalowe puszki, przerzucone przez ramię, i płaskie koszyki, w których leżały ich narzędzia pracy. Młodzi, idąc, rozmawiali głośno lub przeraźliwie gwizdali.

- „Dopóki nie nadejdzie wieczór”... - szepnął Ojciec Murchison sam do siebie.

- Co? - zapytał Guildea.

- Och, nic. Zacytowałem tylko ostatnie słowa tekstu wpisanego w każde życie ludzkie: „Człowiek podąża do swej pracy, do swego mozołu...”

- Wcale nieźle mieć takich chłopaków jako audytorium. Wielu z nich przyszło właśnie na ów odczyt, jaki wygłaszałem w dniu naszego pierwszego spotkania. Pamiętam ich. Jeden z nich usiłował mnie wydrwić. Miał rudą brodę. Mężczyźni o rudych brodach to zawsze kpiarze. Rozłożyłem go w dyskusji kompletnie. No a teraz, proszę Ojca, zobaczymy...

- Co?

- Czy mój towarzysz się wyniósł...

- Niech mi pan powie, czy doprawdy znów będzie pan musiał o tym myśleć?

- Ho, ho, jak starannie dobiera Ojciec wyrazy. Nie, ja się tylko zastanawiam.

- Nie ma pan żadnych obaw?

- Nie mam. Chociaż muszę wyznać, że odczuwam pewne zaciekawienie.

- Więc morskie powietrze na nic się nie przydało? Nie doszedł pan do wniosku, że to wszystko, że cała ta rzecz była jedynie wynikiem zmęczenia?

- Nie - odpowiedział sucho Guildea. Szedł jakiś czas w milczeniu. Potem dodał: - Ojciec miał nadzieję, że dojdę do takiego wniosku?

- Tak myślałem.

- ...Że uznam, iż uległem chorobliwej, ponurej, rozigranej wyobraźni? Co? Proszę bardzo, niech ksiądz przyzna szczerze, że wysłał mnie do Westgate po to, abym się pozbył ostrej formy hysterii?

Ojciec spokojnie wytrzymał uderzenie.

- Ależ, profesorze - odpowiedział - niech się pan zastanowi, co miałem myśleć? Nie widziałem u pana cienia hysterii, nigdy jej nie dostrzegalem. Jest pan ostatnim człowiekiem, którego posądziłbym o taką chorobę. Lecz, jak pan myśli, co byłoby bardziej naturalne: podejrzewać o histerię czy wierzyć w prawdziwość pańskiego opowiadania?

- A to mi Ojciec dociął! Cóż, nie mam prawa się skarżyć... Ale teraz jestem chyba wolny od hysterii, prawda?

- A dom pański od nie znanego intruza, mam nadzieję. Ostatnie słowa Ojciec Murchison wypowiedział z wielką powagą, porzucając półzartobliwy ton, jakim obaj dotąd mówili.

- Bierze Ojciec tę sprawę bardzo serio, jak widzę - powiedział Guildea również poważniejszym tonem.

- A jakże miałbym ją brać? Nie przypuszcza pan, że mógłbym się śmiać, skoro pan przykłada do niej wagę.

- Jeśli mego gościa zastaniemy jeszcze w domu, poproszę Ojca o wygnanie go egzorcyzmami. Ale przedtem muszę zrobić jedno.

- Co, mianowicie?

- Dowieść Ojcu i sobie, że jest on tam nadal.

- To byłoby dość trudne - powiedział Ojciec, nader zdziwiony rzeczowym tonem profesora.

- Nie wiem. Jeśli pozostał w moim domu, znajdę chyba sposoby. A muszę dodać, że bynajmniej nie będę zdziwiony, jeśli go tam zastanę pomimo... powietrza Westgate.

Wymawiając ostatnie słowa, profesor znowu wpadł w ton na poły żartobliwy. Ojciec nie był w stanie zdecydować, czy profesor jest w nastroju niezwykłej powagi, czy niezwykłej wesołości. W miarę jak zbliżali się do Hyde Park Place, rozmowa zamierała. W gęstniejącej ciemności wieczoru szli milcząc.

- Jesteśmy na miejscu - powiedział wreszcie Guildea. Włożył klucz w zamek, otworzył drzwi i wpuścił Ojca przed sobą. Zatrzasnął drzwi.

- Otóż i jesteśmy - powtórzył głośniejszym głosem. Światło elektryczne było już zapalone, czekało na niego. Profesor stał w miejscu i rozglądał się dokoła.

- Za chwilę wypijemy herbatę - powiedział. - A oto i Pitting.

Błady lokaj, który usłyszał trzaśnięcie drzwi, schodził cicho ze schodów prowadzących do kuchni. Z szacunkiem powitał swego pana, wziął płaszcze obu i powiesił je na wieszaku.

- Wszystko w porządku, Pitting? Bez zmian? - zapytał Guildea.

- Tak jest, proszę pana.

- Proszę nam przynieść herbatę do gabinetu.

- Dobrze, proszę pana.

Pitting wyszedł. Guildea poczekał, aż zniknie, potem otworzył drzwi do stołowego i przez chwilę patrzył w głąb pokoju. Gdy znalazł się na korytarzu i zamknął drzwi za sobą, powiedział: - Chodźmy na górę.

Ojciec Murchison spojrzał nań pytająco, lecz nic nie powiedział. Weszli do gabinetu. Guildea bystro rozejrzył się po pokoju. W kominku palił się ogień. Granatowe story były zaciągnięte. Jasny strumień silnego światła elektrycznego padał na długie rzędy książek, na uporządkowane biurko, na odsłoniętą klatkę z papugą. Napoleon siedział zgarbiony na grzędzie, pióra miał nastroszone. Długie palce, pokryte jakby krokodylą skórą, zacisnął mocno dokoła poprzeczki. Okrągłe, mrugające oczy były przymglone jak oczy starców. Guildea twardo spojrzał na ptaka i mlasnął językiem. Napoleon drgnął, podniósł jedną nogę, rozcapierzył palce, przesunął się bokiem ku prętom klatki najbliższym profesora i wysunął ku niemu głowę.

Guildea parę razy pogładził wskazującym palcem główkę ptaka, przez cały czas nie spuszczał zeń oka. Potem podszedł do kominka, akurat w chwili, gdy wchodził Pitting z tacą.

Ojciec Murchison siedział już na fotelu przy kominku. Guildea siadł na drugim i zaczął nalewać herbatę. Pitting wyszedł z pokoju, cichutko zamykając za sobą drzwi. Ojciec przełknął łyk herbaty, uznał, że jest za gorąca, i odstawił ją na stojący obok stół.

- Lubi pan tę papugę, prawda? - zapytał profesora.

- Nie za bardzo. Czasem zaciekawia mnie, gdy ją obserwuję. Papuzi umysł i natura są doprawdy szczególne.

- Od jak dawna pan ją posiada?

- Około czterech lat. Już właściwie miałem się z nią rozstać. Było to, zanim poznałem Ojca. Teraz jestem zadowolony, że ją zatrzymałem.

- Doprawdy? A dlaczego?

- Powiem to Ojcu jutro lub pojutrze.

Ojciec wziął do rąk filiżankę z herbatą. Nie nalegał, żeby Guildea udzielił mu natychmiastowego wyjaśnienia, lecz gdy skończyli pić, zapytał: - No więc jak? Czy morskie powietrze wywarło pożądaną wpływ?

- Nie - odrzekł Guildea.

Ojciec strzepnął kilka okruszyn ze swej sutanny i poprawił się w fotelu.

- Więc pański gość jest tutaj nadal? - Gdy pytał, jego niebieskie oczy straciły swą zwykłą łagodność. Patrzył na przyjaciela przenikliwie.

- Tak - odpowiedział Guildea spokojnie.

- Skąd pan o tym wie? Kiedy pan się o tym przekonał? Czy w chwili, gdy pan zaglądał do pokoju stołowego?

- Nie. Dopiero gdy przyszedłem do tego pokoju, „on” powitał mnie tutaj.

- Powitał pana! W jaki sposób?

- Po prostu dając mi odczuć, że jest tutaj. Tak jak się wyczuwa czyjąś obecność, wchodząc do ciemnego pokoju.

Mówił spokojnie, rozsądnie, w swój zwykły, nieco suchy sposób.

- Bardzo dobrze - powiedział Ojciec. - Nie będę próbował spierać się o pańskie doznania ani zaprzeczać im. Po prostu jestem zdumiony.

- Ja też. Nic w moim życiu nie zdumiewało mnie równie mocno. Wiem, że nie mogę wymagać za dużo; chcę tylko, by mi Ojciec uwierzył - mojej wyobraźni, jak Ojciec woli - że jest tutaj coś obcego, o czego istocie nic nie wiem. Wcale nie liczę na to, że Ojciec uwierzy w realną obecność tego czegoś. Gdyby Ojciec był na moim miejscu, na pewno uważałbym Ojca za ofiarę jakiegoś nerwowego omamienia. Na pewno. Ale proszę posłuchać. Proszę tylko nie brać mnie za histeryka ani za wariata przez najbliższe dwa-trzy dni. Oświadczam, że o ile nie jestem chory ani uszkodzony na umyśle - a mam prawo tak sądzić - to wkrótce będę mógł dać Ojcu dowód, że naprawdę w moim domu jest ktoś obcy.

- Czy nie powie mi pan, jakiego rodzaju dowód ma pan na myśli?

- Jeszcze nie teraz. Sprawy muszą potoczyć się nieco dalej. Być może już jutro będę mógł powiedzieć coś więcej. Na razie powiem tylko tyle, że gdybym w końcu nie zdołał dowieść, że nie jestem ofiarą własnej wyobraźni, to pozwalam Ojcu zaprowadzić się do pierwszego lepszego lekarza, jakiego Ojciec wybierze. Postaram się wówczas przyjąć punkt widzenia Ojca, że cierpię na

niedorzeczną halucynację. Bo tak właśnie Ojciec myśli, prawda?

Przez chwilę Ojciec Murchison milczał. Potem powiedział z nutką niepewności w głosie: - Tak bym myśleć powinien.

- Jak to, czyż Ojciec tak nie myśli? - zapytał zdziwiony Guildea.

- Widzi pan, pańskie zachowanie jest ogromnie przekonywające. A jednak... wątpię. Jakże mogę inaczej? Rzecz cała musi być jedynie grą wyobraźni.

Ojciec mówił to tak, jakby wycofywał się ze stanowiska, jakie zmuszony był przyjąć.

- To musi być wyobraźnia - powtórzył.

- Przekonam Ojca czymś więcej niż moim zachowaniem lub nie będę w ogóle próbował Ojca przekonać - rzekł Guildea.

Gdy rozstawali się tego wieczoru, powiedział: - Napiszę prawdopodobnie do Ojca za dzień, dwa. Sądzę, że dowód, jaki chcę Ojcu złożyć, skonkretyzował się w czasie mej nieobecności. Wkrótce się o tym dowiem.

Ojciec Murchison był niezwykle podniecony, gdy wracając do domu siedział na górnej platformie omnibusu.

IV

W dwa dni później Ojciec otrzymał kartkę od profesora Guildea z prośbą, by, jeśli może, odwiedził go tegoż dnia wieczorem. Ojciec nie mógł tego uczynić; miał akurat uczestniczyć w jakimś zebraniu religijnym w dzielnicy East End. Nazajutrz była niedziela. Ojciec odpisał więc, że zjawi się w poniedziałek i wkrótce pocztą pneumatyczną dostał odpowiedź: *Czekam z kolacją w poniedziałek o godzinie siódmej trzydzieści.* O tej godzinie w poniedziałek Ojciec pukał do drzwi domu pod numerem 100. Otworzył mu Pitting.

- Czy profesor czuje się zupełnie dobrze? - zapytał Ojciec zdejmując płaszcz.

- Myślę, że tak, proszę księdza. Nie uskarżał się na nic - odpowiedział urzędowo Pitting. - Zechce Ojciec wejść na górę?

Guildea powitał ojca w drzwiach gabinetu. Był bardzo blady i posępny. Pozdrowił go pośpiesznie i prawie niedbale.

- Podaj nam kolację, Pitting - powiedział do lokaja.

Jak tylko lokaj wyszedł, Guildea starannie zamknął drzwi. Ojciec nigdy nie widział go tak zatroskanego.

- Dręczy się pan czymś, profesorze, i to poważnie.

- Tak, istotnie. Ta sprawa zaczyna mi ciążyć coraz bardziej.

- Więc nadal wierzy pan w obecność czegoś w tym domu?

- Och, naturalnie. Nie mam najmniejszej pod tym względem wątpliwości. Tamtej nocy, kiedy wyszedłem do parku, coś dostało się do mego domu, chociaż co to za diabeł - nie mam pojęcia. Lecz teraz, zanim zejdziemy na kolację, powiem Ojcu coś o tym dowodzie, jaki przyrzekłem. Pamięta Ojciec?

- Oczywiście.

- Czy Ojciec ma choć najślabsze wyobrażenie, co to może być?
Murchison poruszył przecząco głową.

- Niech Ojciec rozejrzy się po pokoju - powiedział Guildea. - Co Ojciec widzi?

Ojciec przyjrzał się wszystkiemu powoli i uważnie.

- Nic niezwykłego. Nie chce mi pan chyba powiedzieć, że znajduje się tu zjawa...

- Och, nie, na pewno nie ma tu konwencjonalnej, ubranej w biel postaci o konsystencji chmury. Niech się Ojciec zlituje, nie upadłem przecież tak nisko! - Mówił z wyraźnym rozdrażnieniem. - Niech Ojciec przyjrzy się raz jeszcze...

Ojciec spojrzał najpierw na profesora, potem w kierunku, w którym tamten wlepiął oczy. I zobaczył... szarą papugę poruszającą się w swej klatce, powoli i nieprzerwanie.

- Co takiego? - powiedział Ojciec żywo. - Dowód ma coś wspólnego z tym...?

Profesor potwierdził ruchem głowy. - Tak myślę - powiedział. - Teraz chodźmy na kolację. Jestem przeraźliwie głodny.

Zeszli do jadalni. Podczas gdy jedli, obsługiwani przez Pittinga, profesor mówił o ptakach, ich osobliwościach oraz o ich zdolnościach naśladowczych. Widoczne było, że przestudiował ten temat ze starannością, jaka charakteryzowała go w każdej pracy.

- Papugi - powiedział - są znakomitymi obserwatorami. Jaka szkoda, że ich możliwości pokazywania tego, co widzą, są tak ograniczone. Gdyby było inaczej, nie wątpię, że naśladowałyby gesty i ruchy równie zastanawiająco jak głosy.

- Ba, nie mają rąk!

- Właśnie. Ale robią różne ruchy głową, proszę zwrócić na to uwagę. Znałem kiedyś starą kobietę w Goring nad Tamizą. Była

dotknięta paraliżem. Miała głowę stale przechyloną na bok i trzęsa nią monotonnym ruchem z prawej strony na lewą. Syn jej marynarz, przywiózł kiedyś z jednej ze swych podróży papugę i Papuga szybko nabrała zwyczaju naśladowania jak najdokładniej paralitycznego ruchu głowy staruszki. Te szare papugi zawsze czuwają!?

Ostatnie zdanie Guildea wypowiedział powoli, z namysłem patrząc badawczo na Ojca Murchisona. Ledwie skończył, Ojcu zaświtało nagle w głowie zrozumienie. Otworzył usta dla sformułowania swej uwagi. W tej samej jednak chwili Guide obrócił swe błyszczące oczy na wchodzącego Pittinga, który wnosił właśnie sernik z pianką, zdjęty z windy do talerzy, łącząc to stołowy z kuchnią w suterenie. Ojciec poczekał chwilę. Lecz skoro tylko Pitting umieścił na stole sernik, rozstawił karafki, zmiótł okruszyny i zniknął, powiedział szybko: - Zaczynam rozumieć. Pan myśli, że Napoleon zdaje sobie sprawę z obecności intruza?

- Ja nie myślę, ja wiem o tym. Obserwowałem mojego gościa bez przerwy od owej nocy.

Nowy błysk rozjaśnił umysł duchownego.

- To dlatego przykrył go pan któregoś wieczoru zielonym sukmem?

- Tak jest. To był akt tchórzostwa. Jego zachowanie zaczęło mi działać na nerwy.

Guildea przygryzł wąskie wargi, ściągnął brwi. Miał na twarzy wyraz gwałtownego bólu.

- Lecz teraz mam zamiar przekonać się o tym - dodał wypogadzając twarz. - Tydzień, który spędziłem w Westgate, był dla mnie stracony, lecz tu w Londynie nie stracił go Napoleon, mogę Ojca o tym zapewnić. Proszę wziąć jabłko.

- Nie, dziękuję panu. Nie, dziękuję panu...

Ojciec powtarzał słowa, nieświadom tego zupełnie. Guildea odsunął kieliszek z winem.

- Chodźmy na górę - powiedział.

- Nie, dziękuję panu - powtórzył Ojciec.

- Co? Dlaczego? - wykrzyknął profesor.

- Cóż to ja powiedziałem? - zawołał Ojciec wstając. - Zamyśliłem się nad tą niezwykłą aferą.

- Aha, zaczyna Ojciec zapominać o swojej tezie z histerią... Wyszli na korytarz.

- Doprawdy jest pan tak rzeczowy, jeśli chodzi o tę sprację... - zauważył Murchison.

- Jakżeby inaczej? Coś dziwnego i nienormalnego weszło w moje życie. Cóż innego mam robić, jak badać to dokładnie spokojnie.

- Rzeczywiście, cóż innego?

Ojciec zaczynał zdawać sobie sprawę, że znajduje się pod wpływem jakiegoś wewnętrznego przymusu, który każe mu śledzić z największą uwagą sprawę, która winna była go uderzyć (tak odczuwał) jako absolutnie niedorzeczna. Gdy weszli do gabinetu, natychmiast spojrział z głębokim zainteresowaniem na klatkę papugi. Lekki uśmiech przemknął po ustach profesora. Dostrzegł wpływ, jaki zaczął wywierać na przyjaciela. Uśmiech ten nie uszedł uwagi Ojca.

- Proszę uważać, jeszcze nie zostałem pokonany - rzekł w odpowiedzi.

- Wiem. Być może, będzie Ojciec pokonany, nim minie ten wieczór. Zaraz dostaniemy kawę, a gdy ją wypijemy, rozpoczniemy nasz eksperyment. - Proszę zostawić nam kawę. Pitting, proszę więcej nie troszczyć się o nas. - Dobrze, proszę

pana - rzekł Pitting i wyszedł.

- Nie chcę dziś czarnej kawy - powiedział Ojciec - proszę mleko, dużo mleka. Nie chcę podniecać nerwów.

- A może w ogóle nie pijmy kawy? - zapytał profesor. - Gdybyśmy wypili, może wysnułby Ojciec teorię, że nie byliśmy w całkiem normalnym stanie... Dobrze wiem, że Ojciec jest równie nabożnym księdzem jak zawołanym sceptykiem.

Ojciec roześmiał się i odsunął swą filiżankę.

- Bardzo dobrze, zgoda. Nie będzie kawy!

- W takim razie - papierosa i przystąpmy do rzeczy.

Szaroniebieski dym wzniósł się pod sufit.

- Co będziemy robili? - zapytał Ojciec.

Siedział sztywno wyprostowany, jakby gotowy do czynu.

- Schowamy się i będziemy obserwować Napoleona - oświadczył profesor. - Ale przedtem trzeba...

Wstał, poszedł w róg pokoju, wziął kawałek zielonego sukna i zarzucił je na klatkę.

- Ściągnę to sukno, jak tylko się schowamy - powiedział.

- Ale przedtem niech mi pan powie, czy w ostatnich dniach zauważył pan jakieś objawy tego, że owa domniemana istota jest obecna? - spytał Ojciec.

- Nic prócz stale wzrastającego poczucia obecności czegoś obserwującego mnie nieustannie, śledzącego wszystko, co robię, bez przerwy.

- Czy ma pan wrażenie, że chodzi za panem?

- Nie zawsze. Było w tym pokoju, kiedy Ojciec tu przyszedł. Teraz też czuję to coś tutaj. Gdy schodziliśmy na kolację, miałem wrażenie, że uwolniliśmy się od niego. Wniosek, że musiało tu pozostać. Ale nie mówmy o tym teraz.

Rozmawiali na inny temat, póki nie skończyli papierosów. Po

zgaszeniu niedopałków Guildea powiedział: - Teraz, proszę Ojca, jeśli eksperyment ma się udać, musimy schować się za storami, aby nie zwracać na siebie uwagi ptaka i aby skupił on całą zdolność obserwacji na tym, o co nam chodzi. Proszę się zachowywać zupełnie cicho, uważać na to, co ptak będzie robił, a potem powie mi Ojciec, co o tym myśli i jak to rozumie. Proszę cicho stąpać.

Ojciec usłuchał. Obaj cichutko podeszli do stor okiennych opadających do ziemi. Ojciec wsunął się za storę z lewej strony klat - ki, profesor - z prawej. Guildea, gdy tylko się ukryli, wysunął rękę i ściągnął zielone sukno z klatki.

Ptak, który zapewne zdążył już zasnąć w ciepłe i ciemnością poruszył się pod wpływem światła, nastroszył pióra i przestąpił, z nogi na nogę. Obrócił głowę na szczupłej, elastycznej szyi, zatopił dziób w piórach na grzbiecie, poszukał tam czegoś z wynikiem, jak się zdawało, zadowolającym, potem rozejrzał się po klatce, i zajął się orzechem wetkniętym pomiędzy pręty. Obmacał go i ostukał zakrzywionym dziobem, zrazu delikatnie, potem mocno. Rozłupał i wyjadł wnętrze, upuszczając skorupę na stojący na dnie klatki mały basenik z wodą do kąpiele. Uczyniwszy to ptak: zamyślił się na chwilę, wyciągnął jedną nogę w tył i począł, przesuwać się po pręcie za pomocą rozpostartych skrzydeł. Wyglądał przy tym nader niezgrabnie. Potem odrzucił głowę w tył, i wznowił swe wyczerpujące, dokładne poszukiwania dziobem w piórach skrzydła. Wszystko to trwało bez końca. Ojciec Murchison miał czas zdać sobie sprawę z całej niedorzeczności tej sytuacji, z roli, jaką mu wyznaczono. Nie odnalazł jednak w sobie poczucia humoru, które pozwoliłoby mu się roześmiać. Przeciwnie. Był przerażony. Gdy rozmawiał ze swym przyjacielem i miał przed oczyma jego twarz i zachowanie,

zwykle tak spokojne, mógłby zaręczyć za prawdziwość tej historii i za pełną równowagę umysłu przyjaciela. Teraz, schowany za storą, z oczami utkwionymi w obojętnego Napoleona, Ojciec począł powtarzać w myśli jeden wyraz: „szaleństwo”, z rosnącym uczuciem litości i grozy.

Ptaka zmienił nagle pozycję: złożył skrzydło, wyciągnął drugą nogę i począł badać dziobem pióra drugiego skrzydła. W ciszy pokoju wyraźnie było słycać suchy szelest piór. Ojciec Murchison dostrzegł, że stora, za którą stał Guildea, poczęła lekko drżeć, jak gdyby od okna - choć było zamknięte - szedł powiew wiatru. Zegar w oddalonym pokoju wydzwonił godzinę, węgielek osunął się na ruszcie kominka wydając odgłos jak gdyby szelestu suchych liści. I znów litość i groza ogarnęła Ojca. Wydało mu się, że zachował się bardzo niemądrze podtrzymując u swego przyjaciela stan dziwnego zбочenia umysłowego. Powinien był uchylić się od udziału w tym doświadczeniu, które - w istocie samej śmieszne i dziecinne - mogło być niebezpieczne jako zachęta do chorobliwych poczynań. Stercząca noga Napoleona, rozpostarte skrzydło, wykręcona szyja, jego pilne, instynktowe zajęcie się sobą samym, jego oczywiste poczucie zupełnej samotności uprzytomniło Ojcu nonsens własnego zachowania i godne współczucia błazeństwa przyjaciela. Chwycił ręką storę i już miał odrzucić ją na bok, gdy powstrzymał go nagle raptowny ruch ptaka.

Napoleon, jakby coś nagle i nieodparcie przyciągnęło jego uwagę, przerwał porządkowanie swych piór i z głową przechyloną do tyłu i nieco skręconą w bok zdawał się nasłuchiwać. Złożył skrzydła, wyprostował się, podniósł głowę i zaczął mechanicznie przebierać nogami, jakby w nieopanowanym pragnieniu ruchu. Potem rzucił głowę do

przodu w kierunku drugiego pokoju i zastygł. Jego postawa wskazywała, że skupił całą uwagę na czymś, co znajdowało się tuż przy nim. Wrażenie było tak silne, że Ojciec Murchison instynktownie obejrzał się dokoła, przypuszczając, że do pokoju wszedł bezszelestnie, jak zwykle, Pitting. Nie było nikogo, ciszy nie naruszał żaden dźwięk. Mimo to ptak stawał się wyraźnie coraz bardziej podniecony. Pochylał głowę coraz niżej, wyciągając szyję tak daleko, że spadłby z grzędy, gdyby nie nagłe rozpostarcie skrzydeł. Trzepotał nimi przez jakiś czas, który wydał się Ojcu ogromnie długi. Wreszcie uspokoił się, zeskoczył na podłogę klatki, podszedł do prętów, przesunął przez nie głowę i stanął spokojnie w postawie, jaką przybierał, ilekroć profesor gładził go po głowie. Tak wyraźne było wrażenie przyjemności, jakiej ptak doznawał, że Ojcu zdawało się, iż dostrzega biały palec w miękkich piórach głowy ptaka. Doznał wrażenia, że coś - czego sam nie był w stanie dostrzec, a co Napoleon widział i do czego odnosił się z widoczną sympatią - stało przed klatką. Teraz ptak cofnął głowę, jak gdyby nie było już pieszczącej ręki. Dotąd jego wygląd świadczył o doznawanej przyjemności, teraz o natężonej uwadze i żywym zaciekawieniu. Wlazł z powrotem po prętach na grzędę, przesunął się na lewą stronę klatki i wydawał się śledzić coś z głębokim zainteresowaniem. Dziwacznie kiwał głową, potem przestawał, potem znowu kiwał. Poprzez ten wypracowany ruch głowy Ojciec począł tworzyć sobie pojęcie o osobowości stojącej przed klatką. Zachowanie ptaka wskazywało na jakiś niezwykle sentymentalizm połączony ze słabym rozeznaniem. Tego rodzaju słabe rozeznanie jest bardzo powszechną właściwością półdiotów. Ojciec Murchison poczuł wzruszenie, gdy pomyślał, że te biedne istoty mają skłonność wiązać się uczuciowo w sposób dziwny i uporczywy z tymi,

którzy najmniej je kochają. Jak każdy ksiądz miał pod tym względem pewne doświadczenie, gdyż kochliwi idioci są szczególnie wrażliwi na księży. Owy ruch kiwania się, demonstrowany przez papugę, przywiódł Ojcu na pamięć pewną okropną, bladą kobietę, która przez pewien czas prześladowała Ojca we wszystkich kościołach, w których odprawiał nabożeństwo, a pragnąc zwrócić na siebie jego uwagę, zwykle przechylała głowę z przebiegłym i płaszczącym się uśmiechem.

Ptak kiwał się nadal, z małą przerwą po każdym „ukłonie”, jak gdyby w czasie tej przerwy czekał na sygnał nakazujący mu nadal naśladowanie czyjegoś ruchu.

Tak, tak, on naśladuje idiotę - powiedział do siebie Ojciec i znów rozejrzał się po pokoju. Nie dostrzegł nic z wyjątkiem mebli, tańczącego ognia i półek z książkami. Teraz papuga zaprzestała ukłonów i z natężoną uwagą zdawała się kogoś słuchać. Otworzyła dziób, wysunęła czarny język, zamknęła dziób, znów go otworzyła. Ojciec pomyślał, że Napoleon zamierza mówić, lecz ptak milczał, choć widoczne było, iż usiłuje coś powiedzieć. Ukłonił się znów raz i drugi, otworzył dziób i... zaskrzeczał. Ojciec nie mógł uchwycić żadnego wyrazu - głos był słaby i nieprzyjemny, zarazem pieszczotliwy i kłótlivy. „Chyba kobiecy” pomyślał Ojciec. Przyłożył ucho bliżej stopy, żeby lepiej słyszeć. Natężył uwagę. Znów ukłon, zaraz potem ruch boczkiem, jak ktoś, kto tuli się lub lekko i zalotnie trąca kogoś łokciem. Ojciec znów pomyślał o straszliwej, bladej kobiecie, która straszyla go w kościołach. Nieraz przechodził tuż koło niej: czekała na niego po wieczornym nabożeństwie. Pewnego razu zwiesiła głowę z uśmiechem, wysunęła język i w ciemności przysunęła się do niego bokiem. Przypomniał sobie, że otrząsnął się wtedy ze wstrętem. Nic nie pomogło, gdy perswadował sobie,

że to przecież nieszczęśliwy, zbłąkany umysł. Wstręt pozostał.

Papuga przestała się mizdrzyć, przez chwilę znów nasłuchiwała, znów otworzyła dziób i powiedziała coś głosem przypominającym gruchanie gołębi, głosem rozkochanym, pełnym łagodnej namowy, a jednak twardym, niemal groźnym w intonacji. Wstrętny głos, pomyślał Ojciec. Lecz i tym razem, choć słyszał wyraźniej niż przedtem, nie mógł zdecydować, czy był to głos mężczyzny, kobiety czy dziecka. Zdawało się, że był ludzki, lecz dziwnie bezpłciowy. Aby dokładnie słyszeć, wycofał się w ciemność poza storę, przestał patrzeć, a tylko nasłuchiwał, starając się zapomnieć, że słucha ptaka, a wyobrazić sobie przemawiającą ludzką istotę. Po dwóch, trzech minutach milczenia głos znów dał się słyszeć: powtarzał jakby szereg razy serię pieszczotliwych wykrzykników. Było to niewymownie wstrętne, wręcz obraźliwe. Chorobliwość głosu, nierówna intonacja, dziwna niedelikatność, a nawet rozwiązłe wyrafinowanie przejęły Ojca dreszczem. Jednak nie zdołał wyodrębnić ani jednego słowa ani stwierdzić, do osobnika jakiej płci czy wieku głos ów należał. Gdy tak rozmyślał w ciemnościach, jednego tylko był pewien: dźwięk taki pochodził od istoty, której nie zniosłby - wstrętnej chyba dla każdego...

Nagle głos załamał się na chrapliwym, gwałtownym westchnieniu. Zapadło milczenie. Przerwał je profesor, gwałtownym ruchem odsuwając storę, za którą znajdował się Ojciec.

- Niech Ojciec teraz wyjdzie i popatrzy.

Mrużąc oczy w pełnym świetle, Ojciec spojrział na klatkę: Napoleon stał bez ruchu na jednej nodze, z głową pod skrzydłem. Zdawał się spać. Profesor był blady, wargi miał ściągnięte wyrazem najwyższego niesmaku.

- Uff... - powiedział.

Podszedł do okna w drugim pokoju, odsunął zasłony i podniósł szybę. W szarym mroku widniały nagie drzewa. Guildea wychylił się z okna i przez chwilę łapczywie chwycił w płuca powietrze. Potem odwrócił się do Ojca: - Ohyda, co?

- O, tak, w najwyższym stopniu...

- Słyszał Ojciec kiedykolwiek o czymś podobnym?

- Chyba nie.

- Ani ja. To mnie doprowadza do mdłości, dosłownie do fizycznych mdłości!

Zamknął okno i z pewnym skrępowaniem począł chodzić po pokoju.

- Jak Ojciec to wszystko tłumaczy? - rzucił przez ramię.

- O czym pan konkretnie myśli?

- No, czy to głos mężczyzny, kobiety czy dziecka?

- Nie mogę tego powiedzieć, nie mogę się zdecydować.

- Ani ja.

- Czy pan często go słyszał?

- Tak, od chwili gdy powróciłem z Westgate. I nie zdołałem rozróżnić ani jednego słowa. Co za głos!

Splunął w ogień.

- Przepraszam - powiedział rzucając się na krzesło. - Ścisza mnie w żołądku dosłownie.

- I mnie - przyznał Ojciec.

- Najgorzej - ciągnął nerwowym głosem profesor - że „to” nie ma żadnego mózgu, żadnego, tylko chytry kretyna.

Ojciec poruszył się, słysząc to dokładne określenie swego własnego odczucia.

- Czemu Ojciec tak się poruszył? - rzucił Guildea podejrzliwie i tak szybko, że wskazywało to na niezwykły stan jego nerwów.

- Bo zupełnie takie samo odniosłem wrażenie.

- Jakie?

- Że słuchałem głosu jakiegoś idioty.

- Właśnie, i to jest najgorsze dla człowieka mojego pokroju. Gdybym miał walczyć z umysłem, próbowałbym walki. Ale tak...

Znowu wstał gwałtownie, pogrzebał w kominku, potem stanął tyłem do niego, z rękami w kieszeniach.

- Oto głos istoty, która wtargnęła do mego domu! Przyjemny, co?

W jego oczach i głosie przebijał niekłamany lęk.

- Muszę „to” wyrzucić! - zawołał. - Muszę się „tego” pozbyć! Ale jak?

Drżącą ręką targał swą krótką, czarną brodę. - Jak? Bo nie wiem, co to jest i gdzie to jest?

- Czy pan czuje, że jest tu nadal?

- Niewątpliwie. Ale nie mógłbym Ojcu powiedzieć, w której części pokoju.

Spojrzał wokoło, szybko przyglądając się każdej rzeczy.

- Więc uważa pan, że jest pan nawiedzany? - powiedział Ojciec Murchison. Był także wzruszony i zaniepokojony, chociaż nie miał poczucia czyjejkolwiek obecności blisko nich w tym pokoju.

- Jak Ojcu wiadomo, nigdy nie wierzyłem w nonsensy tego rodzaju. Po prostu konstatuje fakt, którego nie mogę zrozumieć, a który zaczyna być dla mnie bardzo bolesny. Tylko podczas gdy w większości opowiadanych mi wypadków tak zwane strachy miały nastawienie wrogie, ja mam świadomość, że jestem podziwiany, kochany, pożądany! To jest po prostu straszne, Ojczy, po prostu straszne!

W tym momencie Ojciec Murchison przypomniał sobie przebieg pierwszego wieczoru, jaki spędził u profesora, gdy ten

mówił o niesmaku odczuwanym na samą myśl, że ktoś mógłby go obdarzać ciepłym uczuciem. W świetle tej rozmowy obecne wydarzenie wydawało się nadzwyczaj dziwne, jak kara za obrazę wyrządzoną ludzkości przez profesora. Lecz spoglądając na drgającą twarz przyjaciela Ojciec postanowił, że nie da się wciągnąć w sieci jego okropnych przypuszczeń.

- Przecież tu nic nie może być - powiedział. - To niemożliwe.

- W takim razie kogo ten ptak naśladował? Niech Ojciec powie.

- Kogoś, kto tu kiedyś był.

- A więc w ciągu ubiegłego tygodnia. Bo do tej chwili ptak nigdy nie mówił podobnym głosem. Proszę pamiętać, że jeszcze przed wyjazdem do Westgate zauważyłem, że Napoleon uważnie obserwował i starał się naśladować to coś, przed czym uciekałem, a co było w tym domu od owej nocy, od owego wieczoru, kiedy poszedłem do parku.

- Ktoś o takim głosie musiał tu być podczas pańskiej nieobecności - powtórzył Ojciec Murchison z łagodnym uporem.

- Zaraz się o tym dowiemy.

Guildea nacisnął dzwonek. Pitting wsunął się do pokoju prawie natychmiast.

- Pitting - powiedział profesor wysokim, ostrym głosem - czy w czasie mego pobytu nad morzem był tu ktoś, tu - w tym pokoju?

- Na pewno nie, proszę pana, z wyjątkiem mnie i pokojowych.

- Dosłownie nikt? Żadna żywa dusza? Jesteś tego pewien?

- Najzupełniej pewien, proszę pana.

W spokojnym głosie lokaja zadźwięczała nuta zdziwienia, prawie obrazy. Profesor wyciągnął rękę w kierunku klatki: - A ptak był tutaj przez cały czas?

- Tak, proszę pana.

- Nikt go nie ruszał, nikt go nie prznosił gdzie indziej choćby

na chwilę?

Błada twarz Pittinga nabrała wyrazistości. Zagryzł wargi. Powiedział: - Na pewno nie, proszę pana.

- Dziękuję wam, Pitting. To wystarczy.

Lokaj skierował się ku wyjściu, przybierając postawę ostentacyjnie sztywną. Był już przy drzwiach, otworzył je, gdy profesor zawołał: - Jeszcze chwilę, Pitting.

Lokaj zatrzymał się. Guildea zacisnął wargi, przesunął dłonią po brodzie: - Czy zauważyliście, że papuga... hm... od pewnego czasu mówi bardzo szczególnym, bardzo nieprzyjemnym głosem?

- Tak, proszę pana. Ma głos jakiś bardzo miękki, proszę pana.

- Aha... A od kiedy?

- Od kiedy pan wyjechał, proszę pana. Od tej pory zawsze tak mówi.

- Właśnie. To się zgadza. Proszę powiedzieć, co myślicie o tym.

- Przepraszam pana?

- Pytam, co myślicie o tym nowym akcencie w jej głosie.

- Och, to tylko taka jej zabawa, proszę pana.

- Hm. No to już wszystko, Pitting.

Lokaj zniknął, zamknąwszy za sobą bezgłośnie drzwi. Guildea spojrzał na przyjaciela.

- No i proszę. Sam Ojciec słyszał! - wykrzyknął.

- Wszystko to jest bardzo dziwne - powiedział Ojciec. - Bardzo dziwne, naprawdę. Jest pan pewny, że żadna z pańskich pokojówek nie mówi podobnym głosem?

- Mój drogi! Czy Ojciec wytrzymałby dłużej niż dwa dni ze służącą, która ma podobny głos?

- Nie.

- Moja pokojówka pracuje u mnie od pięciu lat. Kucharka - od

siedmiu. Słyszał Ojciec głos Pittinga. Ta trójka - to wszyscy moi domownicy. A papuga nigdy nie mówi głosem, którego nie słyszała. Gdzie mogła usłyszeć taki głos?

- Ale my nic nie słyszymy...

- Nie. A także nic nie widzimy. Ona jednak słyszy, a ponadto odczuwa czyjś dotyk. Czy zauważył Ojciec, jak papuga wyciągała głowę do pogłaskania?

- Rzeczywiście coś w tym rodzaju.

- Na pewno tak.

Ojciec Murchison nie odpowiedział. Rósł w nim jakiś niepokój nabrzmiewający lękiem.

- Czy teraz Ojciec jest już przekonany? - zapytał Guildea z wyraźnym rozdrażnieniem.

- Nie. Cała ta sprawa jest bardzo dziwna, przyznaję. Ale dopóki nie będę słyszał, widział lub odczuwał - tak jak pan - czyjejs obecności, nie mogę uwierzyć.

- Czy to znaczy, że Ojciec nie uwierzy wcale?

- Nie wiem, może... A teraz - czas już na mnie.

Guildea nie próbował zatrzymać Ojca, powiedział tylko odprowadzając go do drzwi: - Niech mi Ojciec wyświadczy tę łaskę i przyjdzie do mnie jutro wieczorem.

Ojciec miał już jakieś zobowiązania na ten wieczór, lecz spojrzawszy w twarz profesora, powiedział: - Przyjdę. O dziewiątej będę u pana. Dobranoc!

Gdy znalazł się na ulicy, poczuł ulgę. Lecz gdy odwrócił się i zobaczył profesora wchodzącego do przedpokoju, dreszcz przebiegł mu po plecach.

V

Całą drogę do domu Ojciec Murchison odbył pieszo. Po tym dziwnym i niemiłym wieczorze, na który już w tej chwili patrzył jak na koszmar, odczuwał potrzebę fizycznego wysiłku. Gdy szedł, brzmiał mu w uszach ów cichy i nieznośny głos. Samo wspomnienie tego głosu budziło w nim wstręt. Starał się oddalić to od siebie i rozważyć całą sprawę spokojnie.

Profesor przedstawił tego wieczoru dowód, że w domu jego obecna jest jakaś dziwna istota. Czy jakikolwiek rozsądny człowiek mógł akceptować taki dowód? Ojciec Murchison odpowiedział sobie, że człowiek rozsądny takiego dowodu uznać nie może.

Owszem, zachowanie papugi było niezwykle. Ptakowi nadzwyczajnie udało się wywołać złudzenie czyjejś obecności w pokoju. Lecz Ojciec z naciskiem powtarzał sobie, że obecność ta nie jest czymś realnym. Ludzie głęboko religijni, ludzie, którzy wierzą bez zastrzeżeń w cuda zapisane w Biblii, którzy życie swe regulują według zleceń, jakie otrzymują - ich zdaniem - bezpośrednio od Wielkiego Władcy rządzącego światem, rzadko skłonni są uwierzyć w interwencję sił nadnaturalnych w nasze codzienne życie. Odsuwają od siebie samą myśl o tym. Uważają ją z reguły za dziecinną, jeśli nie zdrożną.

Ojciec Murchison skłaniał się do punktu widzenia właściwego duchownym. Był pod tym względem zdecydowany. Nie mógł, nie miał prawa - mówił sobie - uwierzyć, by jego przyjaciela, za to, że przejawiał brak uczuć ludzkich, spotykała kara ze strony sił nadprzyrodzonych. Że za karę był napastowany przez miłość jakiegoś wstrętnego stworu, którego nie sposób było ani widzieć,

ani słyszeć, ani z nim obcować. A jednak natarczywie narzucała się myśl o zemście czyhającej na profesora. Bo właśnie to samo, czego niemal nienaturalnie obawiał się i przed czym się wzdrygał - to samo kazało mu cierpieć w sposób równie nadnaturalny.

Tej nocy Ojciec modlił się za przyjaciela, klęcząc przed malutkim, biednym ołtarzykiem w pozbawionym niemal mebli, do celi podobnym pokoju.

Gdy wchodził następnego wieczoru do domu przy Hyde Park Place, otworzyła mu drzwi pokojówka. Idąc po schodach Ojciec zastanawiał się, co mogło spowodować nieobecność Pittinga. W drzwiach gabinetu spotkał profesora. Uderzała bolesna zmiana w jego wyglądzie. Miał twarz barwy popiołu, głębokie cienie pod oczami, włosy i ubranie w nieładzie, a usta nerwowo drgające.

- Co się stało z Pittingiem? - zapytał Ojciec ściskając gorąco rękę profesora.

- Wymówił mi służbę.

- Wymówił panu! - wykrzyknął Ojciec w najwyższym zdumieniu.

- Tak. Dziś po południu.

- Czy mogę zapytać, dlaczego?

- Zaraz Ojcu powiem. Wszystko wywodzi się z tej obrzydliwej sprawy. Pamięta Ojciec, rozmawialiśmy kiedyś na temat właściwego stosunku do służby?

- Ach tak - powiedział Ojciec. - Więc nastąpił kryzys?

- Owszem - profesor uśmiechnął się gorzko. - Kryzys nastąpił. Serdecznie chciałem, by Pitting stał się bratem dla mnie. On odpowiedział... odepchnął moją prośbę. Zrobiłem mu wymówkę. Zagroził mi... odejściem. Wypłaciłem mu pensję i powiedziałem, że może odejść natychmiast. I odszedł. Dlaczego Ojciec tak mi się

przypatruje?

- Nie wiedziałem o tym - odpowiedział Ojciec, szybko spuszczać oczy i patrząc w inną stronę. - Ale co ja widzę? Czy Napoleon też odszedł?

- Sprzedałem go dziś w jednym ze sklepów.

- Dlaczego?

- Doprowadzał mnie do mdłości swoim obrzydliwym naśladowaniem, swoją rozmową z... no, Ojciec wie, czym ptak był zajęty ubiegłego wieczoru. Zresztą nie potrzeba mi już dowodu, że nie śnię. A ponieważ jestem absolutnie przekonany, że to, co kwestionowałem z początku, zdarzyło się na pewno, nic mi już nie zależy na przekonywaniu innych ludzi. Niech Ojciec mi wybaczy, że to powiedziałem. Jestem teraz pewny, że chęć przekonania Ojca wynikała jedynie z cienia moich wątpliwości. Teraz nie mam żadnych. Zniknęły.

- Niech mi pan wyjaśni, dlaczego.

- Owszem, wyjaśnię. Otóż wczoraj wieczorem poczułem to namacalnie.

- Co?

- Mówię, że ubiegłej nocy, gdy szedłem do siebie na górę, czułem, że coś mi towarzyszy i łąsi się do mnie.

- Okropne! - wykrzyknął mimo woli Ojciec. Guildea uśmiechnął się złowieszczo.

- Nie przeczę, że to było okropne. Nie mogę przeczyć, skoro doszło do tego, że czułem się zmuszony wezwać na pomoc Pittinga...

- Lecz niechże mi pan na koniec powie, co to było? Ostatecznie, czym się to panu wydało?

- To była chyba ludzka istota. Chyba, powtarzam. Przy zetknięciu odniosłem wrażenie raczej ludzkiej istoty niż czegoś

innego. Ale nic nie mogłem zobaczyć ani usłyszeć. Tylko trzykrotnie odczułem łagodne, lecz zdecydowane otarcie się o mnie, jakby celem zwrócenia mojej uwagi czy okazania mi tkliwości. Zdarzyło się to po raz pierwszy, gdy wstąpiłem na schody. Muszę wyznać, Ojczy, że zacząłem biec, jakby mnie kto gonił. Tak, to jest żenująca prawda. Gdy wchodziłem do sypialni, istota ta szła ze mną i przytuliła się do mnie ze wstrętną, obrzydliwą czułością. Wtedy...

Przerwał, oparł się o gzyms kominka i zwiesił głowę. Ojca wzruszył ten gest bezradności i niemal że rozpaczy. Przyjacielsko dotknął ręką jego ramienia.

- Cóż wtedy?

Guildea podniósł głowę. Był boleśnie zawstydzony.

- Wtedy, Ojczy, wstyd mi powiedzieć, nagle załamałem się, i to w sposób zupełnie do mnie niepodobny. Starłem się uderzeniami rąk odepchnąć tę istotę od siebie. Lecz ona przytulała się do mnie coraz silniej. Ten uścisk, to zwanie stały się nie do zniesienia. Zawołałem Pittinga, zdaje mi się, że wołałem: „Na pomoc!”...

- Przyszedł, oczywiście!

- Tak. Przyszedł tym swoim zwykłym, cichym krokiem, nie przejawiając emocji. Ten spokój, tak daleki od mego podniecenia, Od uczucia wstrętu i okropności, prawdopodobnie rozdrażnił mnie. Doprawdy, nie panowałem nad sobą. Nie byłem sobą! Nie, nie... Nie potrzebuję chyba wyjaśniać tego Ojcu - dodał po chwili z wymuszoną ironią.

- A co pan mu powiedział?

- Powiedziałem mu, że powinien był się pośpieszyć. Przeprosił mnie. Jego chłodny głos doprowadził mnie do szału. Wybuchnąłem w głupi, godny pogardy sposób, nazwałem go

automatem, drwiłem z niego. Potem, ponieważ wciąż czułem, że ta wstrętna istota przytula się do mnie coraz mocniej, zacząłem go błagać, żeby mi pomógł, żeby ze mną pozostał, żeby nie zostawiał mnie samego, to znaczy - w towarzystwie mego dręczyciela. Czy się przestraszył, czy też rozgniewałem go swoim niesłusznym i gwałtownym wybuchem - nie wiem. Dość że odpowiedział mi, iż przyjął posadę lokaja i nie zamierza siedzieć przy ludziach całą noc w roli pielęgniarki. Podejrzewał mnie chyba, że za dużo wypilem alkoholu. Niewątpliwie. Zdaje mi się, że go błagałem i zaklinałem jak tchórz. Dziś rano oświadczył mi, że opuszcza służbę. Wypłaciłem mu gażę za miesiąc, wystawiłem mu dobre świadectwo i zwolniłem go natychmiast.

- Ale noc? Jak pan ją spędził?

- Przesiedziałem nie zmrużywszy oka.

- Gdzie? w sypialni?

- Tak. Drzwi zostawiłem otwarte, żeby... ono mogło wyjść.

- I czuł pan, że pozostało z panem?

- Nie opuściło mnie ani na chwilę, ale nie dotknęło mnie więcej. Gdy się rozwidniło, wykąpałem się i położyłem na łóżku, ale nie zamykałem oczu. Po śniadaniu odbyłem tę rozmowę z Pittingiem. Potem przyszedłem tutaj. Nerwy miałem w fatalnym stanie. Jednak zasiadłem przy biurku, próbowałem myśleć, próbowałem pisać. Nagle cisza została przerwana w ohydny sposób...

- Jak?

- Zaszemrał ten przerażający głos, ten głos spragnionego miłości kretyna. Och... - Drżał cały. Wreszcie opanował się z wysiłkiem i dodał: - Nie mogłem tego znieść. Byłem już u kresu wytrzymałości: zerwałem się, kazałem zawołać dorożkę, chwyciłem klatkę i pojechałem do sklepu z ptakami. Sprzedałem

Napoleona za śmieszłą cenę. Zdaje mi się, Ojcie, że byłem wtedy bliski obłądu, bo gdy wyszedłem ze sklepu i przystanąłem na chwilę na chodniku pomiędzy klatkami królików, morskich świnek i malutkich piesków, roześmiałem się na głos. Czułem, że z ramion spadł mi ciężar, jak gdybym, sprzedając ten głos, pozbywał się jednocześnie i tego przekłętą stworzenia, które mnie dręczyło. Lecz gdy wróciłem do domu, znalazłem je na miejscu. Jest tutaj i teraz. Obawiam się, że pozostanie na zawsze...

Przestępował przez chwilę z nogi na nogę, stojąc przed kominkiem.

- Co, na miłość boską, mam teraz robić? - zapytał. - Wstydzę się za siebie, proszę Ojca, bo zaczynam przypuszczać, że istnieją na tym świecie rzeczy, których pewni ludzie po prostu nie mogą znieść, i oto - koniec sprawy...

Urwał. Ojciec milczał. W obliczu tego niezwykłego nieszczęścia nie wiedział, co powiedzieć... Wszelkie próby pocieszenia uważał za bezcelowe, więc siedział, milcząc, z oczyma wbitymi w ziemię. A gdy tak siedział, usiłował poddać się wpływowi, jakie panowały w tym pokoju, wyczuć wszystko, co w nim było. Na próżno. Nie odczuwał w najmniejszym stopniu obecności osoby trzeciej. Wreszcie powiedział: - Profesorze, nie wątpię już teraz w rzeczywistość pańskiego nieszczęścia. Musi pan stąd wyjechać, i to natychmiast. Kiedy ma pan odczyt w Paryżu?

- W przyszłym tygodniu. Dokładnie za dziewięć dni.

- Niech pan jedzie do Paryża zawczasu, już jutro. Mówił mi pan, że poczucie obecności tej... tej istoty opuszcza pana, gdy pan stąd wychodzi. Niech pan jutro rano wyjedzie, niech pan tam pozostanie aż do odczytu. Potem zobaczymy... Nie trać nadziei, drogi przyjacielu, nie trać nadziei!

Uściskał mocno dłoń profesora.

- Niech pan odwiedza swoich paryskich przyjaciół. Niech pan szuka rozrywki. Proszę też, niech pan pomyśli o... innego rodzaju pomocy...

Ostatnie słowa wypowiedział z powagą i prostotą, które wzruszyły profesora. Odwzajemnił się Ojcu uściskiem dłoni, który był niemal serdeczny.

- Wyjadę - powiedział. - Pociągiem o godzinie dziesiątej. Prześpię się dziś w hotelu blisko dworca. Tak będzie wygodniej ze względu na pociąg.

Idąc do domu Ojciec rozmyślał nad ostatnim zdaniem: „Tak będzie wygodniej ze względu na pociąg”. Przeraziła go słabość profesora, która kazała mu szukać takiego tłumaczenia.

W ciągu paru następnych dni Ojciec nie otrzymał listu od profesora. Poczul się tym uspokojony, mówił sobie, że widać wszystko idzie dobrze.

Minął dzień odczytu. Następnego ranka Ojciec otworzył „Times” i skwapliwie przeglądał stronice, szukając wzmianki o wielkim zjeździe uczonych, do których Guildea przemawiał. Nagle ręce, w których trzymał gazetę, zeszywniały. Czytał: Z żalem donosimy, że profesor Fryderyk Guildea zachorował w czasie prelekcji, jaką wygłaszał w Paryżu na konferencji uczonych. Zauważono, że od początku był bardzo blady i zdenerwowany. Mimo to swobodnie mówił po francusku przez kilkanaście minut. Potem odnieśliśmy wrażenie, że poczul się słabo. Zacinał się i rozglądał po sali, jak człowiek będący pod wpływem strachu lub głębokiej depresji. Przerwał wykład raz i drugi. Zdawało się, że nie zdoła mówić dalej, że nie może sobie przypomnieć, co chciał powiedzieć. Lecz opanował się z widocznym wysiłkiem i mówił dalej. W pewnej chwili znów przerwał, przebiegł po estradzie, jak człowiek przez kogoś

ścigany, wyciągnął ręce, krzyknął głośno, chrapliwie i zemdłał. Na sali wybuchła nieopisana panika: ludzie wstali z miejsc, kobiety krzyczały.

Obawiamy się, że umysł profesora został nieco nadwerężony wskutek przepracowania. Dowiadujemy się, że w najbliższych dniach profesor wraca do Anglii, i mamy nadzieję, że wypoczynek i spokój przywrócą mu zdrowie, że znów stanie się zdolny do pracy naukowo-badawczej, która już tyle dobra przyniosła ludzkości.

Ojciec upuścił gazetę, pobiegł na pocztę i nadał depeszę do Paryża. Tego samego dnia otrzymał odpowiedź:

Wracam jutro. Proszę przyjść wieczorem. Guildea.

Następnego wieczoru Ojciec przyszedł na Hyde Park Place. Guildea siedział w gabinecie przy kominku, z pledem na kolanach. Był straszliwie blady. Wyglądał jak człowiek wyniszczony długą chorobą. W szeroko otwartych oczach miał wyraz przerażenia. Ojciec drgnął na jego widok, z trudem powstrzymując się od łez. Począł wyrażać mu swe współczucie, lecz Guildea przerwał gestem i słowami: - Wiem, wiem. Ojciec o tej paryskiej historii... - Zająknął się i przerwał.

- Nie powinien pan być tam jechać - powiedział Ojciec. - Nie miałem racji. Nie powinienem być panu tego doradzać. Pan nie był zdrowy.

- Byłem zupełnie zdrów - odpowiedział Guildea z chorobliwym rozdrażnieniem. - Lecz... towarzyszyła mi ta okropność.

Szybko rozejrzał się po pokoju, przesunął krzesło i podciągnął wyżej pled. Ojciec zastanawiał się, po co profesor okrywał się tak starannie. Ogień palił się jasno, węgle były czerwone, a noc niezbyt chłodna.

- Towarzyszyło mi do Paryża - powtórzył przygryzając dolną wargę. Znowu przerwał, w widoczny sposób usiłując zapanować nad sobą. Lecz wysiłek był bezskuteczny. W tym człowieku nie było już oporu. Obrócił się w fotelu i nagle wybuchnął tonem bezradnego biadania: - Ojcie, ta istota, ten stwór, och, obojętne, co to jest, nie opuszcza mnie ani na chwilę! Nie zostaje tu beze mnie, bo... ona mnie kocha, idiotycznie, uparcie. Pojechała ze mną do Paryża, była przy mnie bez przerwy, prześladowała mnie w czasie odczytu, przytulała się do mnie, pieściła mnie, podczas gdy ja przemawiałem. I... powróciła tu wraz ze mną... Jest tutaj i teraz, teraz! - wydał głośny, ostry krzyk - choć siedzę tu z Ojcem: Przyłgnęła do mnie, dotyka moich rąk... Człowieku, człowieku, nie czujesz, że ona tu jest?

- Nie - powiedział Ojciec.

- Staram się chronić siebie przed jej wstrętnym dotknięciem - mówił dalej Guildea obciągając obiema rękami koc. - Lecz nic nie pomaga! Nic. Co to jest? Dlaczego wcisnęła się do mnie tamtej nocy?

- Być może za karę... - powiedział miękko Ojciec.

- Za co?

- Pan nienawidził miłości. Ze wzdargą odpychał pan ludzkie serca. Nie chciał pan kochać nikogo ani też nie pragnął niczyjej miłości. Być może - to jest kara.

Guildea spojrzał badawczo w twarz Ojca.

- I Ojciec naprawdę w to wierzy?

- Nie wiem - odpowiedział Ojciec. - Ale to jest możliwe. Niech pan stara się to znieść, nawet traktować życzliwie. Być może wówczas odejdzie...

- Ja przecież wiem, że nie grozi mi żadna krzywda! - wykrzyknął Guildea. - Ta istota czuje dla mnie afekt. Przyłgnęła

do mnie w wyniku jakiejś zdumiewającej siły przyciągającej, jaką na nią wywieram nic o tym nie wiedząc. Lecz dla człowieka o moim usposobieniu to jest straszne. Gdyby mnie nienawidziła, zniósłbym to. Gdyby mnie atakowała, gdyby próbowała uczynić mi coś złego, reagowałbym jak mężczyzna, przyjąłbym walkę. Lecz... ta łagodność, ta obrzydliwa tkliwość, ten kult okazywany mi przez idiotę bez mózgu, to uwielbienie chorobliwe, uparte, straszliwie fizyczne - tego nie mogę znieść. Czego ona chce ode mnie? Łasi się do mnie, przytula. Czuję jej dotknięcia, tak lekkie, jak gdyby ktoś muskał mnie piórkiem. Czuję, jak wdziera się do mego serca, jakby chciała poznać najskrytsze moje pragnienia. Nie pozostawia mnie samego ani na chwilę! - krzyknął zrywając się z miejsca. - Nie mogę się oddalić od niej, nie mogę być sam, nie dotykany, nie uwielbiany, nie obserwowany choćby przez sekundę! Ojcie, czuję, że umieram od tego, umieram naprawdę...

Opadł na fotel ponownie, bojaźliwie spoglądając na wszystkie strony z namiętnością ślepcy, który się łudzi, że uporczywy, nieprzerwany, gorący wysiłek przywróci mu wzrok. Ojciec wiedział dobrze, że profesor usiłuje przebić zasłonę niewidzialnego, że chce poznać istotę, która go kocha.

- Profesorze - rzekł wreszcie Ojciec poważnie - staraj się to znieść. Więcej: spróbuj dać tej istocie to, czego ona szuka.

- Ależ ona szuka mojej miłości!

- Postaraj się dać jej tę miłość, może wtedy odejdzie, otrzymawszy to, po co przyszła.

- Ccciszej... Ojciec mówi jak ksiądz... „Miłujcie nieprzyjaciół wasze... Czyńcie dobrze tym, którzy was nienawidzą...” Ojciec mówi jak ksiądz.

- Nie, mówię jak przyjaciel, mówię prawdę, mówię to, co mam w sercu. Opanowała mnie nagle myśl, że ta sprawa - prawdziwa

czy nie, mniejsza o to - jest może dziwną lekcją. Ja sam też dostawałem naucki, niektóre były bolesne. Na pewno dostanę ich w życiu więcej. Gdyby pan mógł przyjąć życzliwie...

- Nie mogę! Nie mogę! - Guildea krzychał przeraźliwie. - Nienawiść! To mogę jej dać, zawsze nienawiść, nic - tylko nienawiść...

Podniósł głos, patrzył z natężeniem w pustkę pokoju i powtarzał: „nienawiść”... W miarę jak mówił, pogłębiała się woskowa bladość jego policzków. Ojciec zląkł się, że zemdleje, że może nastąpić katastrofa. Nagle profesor podniósł się z krzesła i powiedział wysokim, ostrym głosem, pełnym powstrzymanego wzruszenia: - Ojcie, Ojcie!...

- Co się stało?

Ekstatyczne uniesienie świeciło w oczach profesora.

- Ono chce mnie opuścić - zawołał - ono chce odejść! Nie traćmy ani chwili! Wypuśćmy! Okno... okna...

Ojciec, zaskoczony, podszedł szybko do najbliższego okna, odrzucił na bok story i otworzył je. Gałęzie drzew w ogrodzie sucho skrzypiały na lekkim wietrze. Guildea pochylił się do przodu opierając się o fotel. Nastąpił moment ciszy. Potem Guildea powiedział zduszonym szeptem: - Nie, nie... Niech Ojciec otworzy drzwi, drzwi z przedpokoju na ulicę. Czuję, że chce wyjść tą samą drogą, którą przyszło. Niech Ojciec się śpieszy, prędzej.

Ojciec posłusznie podszedł do drzwi i otworzył je szeroko. Profesor stał, pochylony do przodu, z oczyma błyszczącymi żarem oczekiwania. Gdy Ojciec odwrócił się ku niemu, Guildea wściekłym gestem wychudłej ręki wskazał na schody.

Ojciec z pośpiechem ruszył w dół. Gdy schodził w półmroku, wydało mu się, że słyszy słaby okrzyk dobiegający z pokoju na

górze, lecz mimo to nie zatrzymał się. Otworzył na oścież drzwi na ulicę, a potem oparł się plecami o ścianę. Stał chwilę przy otwartych drzwiach, żeby zadowolić profesora. Już miał zamykać drzwi, już chwycił ręką za klamkę, gdy jakaś neodparta siła zmusiła go by spojrzeć w kierunku parku. Młody księżyc rozświetlał noc. Gdy w tym półświetle patrzył na park poprzez sztachety ogrodzenia, napotkał oczami ławkę, a na ławce siedziało coś, dziwnie skulone, dziwnie biedne.

W tej samej chwili Ojciec przypomniał sobie opis nocy, owej nocy przyjscia, opis znany mu ze słów profesora... Więc rzeczywiście istniało coś, co naprawdę weszło do domu profesora?

I - czy już dokonało swego dzieła, spełniło swoje pragnienie i... wróciło do poprzedniej egzystencji?

Ojciec wahał się chwilę, stojąc na progu. Potem przeszedł zdecydowanym krokiem przez ulicę, nie spuszczając z oka owego ciemnego kształtu, który wspierał się tak dziwacznie o ławkę. Nie mógł jeszcze powiedzieć, co to było, zdawało mu się jednak, że „to” nie było podobne do niczego, co znały jego oczy. Już miał minąć wrota parku, gdy odczuł chwyt na swym ramieniu. Drgnął, odwrócił się i zobaczył policjanta patrzącego nań podejrzliwie.

- Cóż to pan zamierza? - zapytał policjant.

Ojciec uświadomił sobie w tej chwili, że nie ma na głowie kapelusza i że jego wygląd, gdy tak zakradał się do parku, ubrany w sutannę, wpatrzony w ławkę, był dostatecznie niezwykły, aby wzbudzić w policjancie podejrzenie.

- Wszystko w porządku, panie posterunkowy - odpowiedział szybko Ojciec, wkładając mu w dłoń jakiś pieniądz.

Potem, nie zwracając nań więcej uwagi, zrozpaczony, że go

zatrzymano, pośpieszył ku ławce. Gdy doszedł, nie było na niej nikogo. Doświadczenie profesora powtórzone więc zostało najdokładniej.

Gdy Ojciec pełen Irracjonalnego rozczarowania wrócił do domu i wszedł do gabinetu, na dywanie, tuż przy kominku, leżał Guildea. Głowę miał wspartą o fotel, z którego widocznie dopiero co wstał. Na twarzy, wykrzywionej konwulsyjnie, zastygł wyraz przerażenia. Ojciec pochylił się nad przyjacielem: był martwy.

Wezwany lekarz orzekł, że przyczyną śmierci był zawał serca.

- Serce? A więc to o to chodziło? - zamruczał Ojciec i, zwracając się ku lekarzowi, zapytał: - Czy można było temu zapobiec?

Wciągając rękawiczki, lekarz odpowiedział: - Możliwe... Gdyby we właściwym czasie się nim zająć. Choroby serca wymagają wielkiej troskliwości. Profesor był zbyt przeciążony pracą. Powinien był prowadzić zgoła inny tryb życia.

- Tak, tak... - powiedział Ojciec ze smutkiem.

Przełożyła Kazimiera Muszałówna

MAURICE RENARD

Żaba

Miałem wtedy lat trzynaście; zaledwie kończył się dla mnie ów okres, w którym nad dziecięctwem panuje groza ciemności i samotności. Byłem szczupłym, niepozornym chłopczykiem o drobnej twarzy i wielkich marzycielskich oczach. Z usposobienia byłem nieśmiały, wrażliwy, przeczulony, ustawicznie podlegający wzruszeniu. I już wtedy z nieodpartą siłą pociągał mnie ku sobie groźny a kuszący świat nieznanego, i ilekroć Nauka dawała na żer mej żądzy jakąś niecodzienną zdobycz albo odsłaniała niesamowicie omgloną perspektywę - doznawałem upojenia.

Kochałem tajemnicę - zwłaszcza tę, która waży się na krawędzi naszego poznania jak noc na krawędzi dnia - tajemnicę, na którą już są skierowane szkła badaczy. Kochałem, podobnie jak i dziś, to, co jeszcze nie wyjaśnione, rzeczy przyszłe, możliwe dopiero - a przede wszystkim rozkoszną, uroczą, boską Hipotezę, co we wszelkie mroki wysyłając rozliczne fantastyczne promienie, przedłuża w naszym świecie nowocześnie odzianych dżentelmenów - żywot legendy i bajki.

Lubowałem się w rozmyślaniu. Nic mnie tak nie pociągało jak owe wędrówki aż ku ostatnim krańcom pewności; jak pochylenie się nad ziejącą opodal mroczną przepaścią; jak, rzecz by można, wyzywanie na bój potęg, których istnienie tam przypuszcza się, i drażnienie tajemnicy niby hydry zaczajonej w swej jaskini. Wtedy - z jakąś osobliwą uciechą pełną dreszczów, przenikliwą,

skrytą - czułem, jak odżywają we mnie, jeno zmienione w rozkosze, dawne trwogi zarania mego życia.

Szczęśliwy okres, w którym nic prawie nie umiałem, tak że nauka gotowała mi tysiączne sprzeczne z sobą zachwyty, a każdy dzień przynosił swe odkrycie i swoją zagadkę.

Niech mi będzie wybaczone, iż się tak rozwodzę nad charakterystyką swego temperamentu. Uważam bowiem za niezbędne dla właściwego osądzenia faktu opowiedzianego przez bezpośredniego świadka - dokładne przedstawienie psychiki tego świadka. Należy wiedzieć, przez jakiego rodzaju szkła dane zjawisko zostało zaobserwowane. W przeciwnym razie - wszelkie omyłki mogą się zdarzyć, od omyłki sądowej do naukowej. Jeżeli więc mówię o sobie - to dlatego, iż byłem głównym świadkiem zdarzenia poniżej opisanego. A niewątpliwie niczego nie wolno zaniedbać w dziedzinie oświetlenia psychologicznego - gdy chodzi o zreferowanie tak subtelnie zawikłanego osobliwego faktu, jakim była śmierć pani Chablas.

Rodzice moi, przekonani, iż najsnadniej służą memu szczęściu, oddali mnie do szkoły pod wezwaniem Jana Jakuba Rousseau. Był to kosztowny internat, wybudowany w sąsiedztwie dużego miasta, na wybrzeżu normandzkim. Uczniów mógł pomieścić nie więcej niż sześćdziesięciu. Uprawiano tam sporty i oddawano się robotom ręcznym. Nauka na tym nie cierpiała i muszę przyznać, iż w tych warunkach pobyt w owym zakładzie nie był bynajmniej ponury.

Lecz ja dotychczas nigdy nie opuszczałem rodzicielskiego domu, gdzie mnie kolejno różni specjaliści przychodzili uczyć i, mimo wszelkie zalety szkoły im. Jana Jakuba Rousseau, trudno mi było przywyknąć do raptownej zmiany środowiska. Oddalony

od swoich, pozbawiony czułości macierzyńskiej, wrażliwy na każde zetknięcie się z rygiem szkolnym oraz z poufałością koleżeńską, szukałem samotności wyzyskując każdą po temu sposobność i chociaż regulamin tego zabraniał, często udawało mi się umykać do swego pokoiku i tam delektować się cierpkimi pierwocinami nostalgii.

Były to jak gdyby schadzki z samotnością. Z góry już miałem wybrane jakieś dobre wspomnienie z rodzinnej przeszłości i rozkoszowałem się nim żarliwie, aż dopóki złudzenie pierzchało z nasyconego umysłu - albo dzwonił oznajmiając powrót do klasy.

Nadto izdebka moja posiadała całkiem inny jeszcze urok - urok, którego potęgi nie podejrzewałem jeszcze, a który przecież zaczynał stopniowo na mnie oddziaływać i chwycił mnie tak mocno, że dziś w to właśnie wspomnienie rad jestem chronić się jako w najczystszy i najbardziej tchnący świeżością zakątek mej młodości. Pokoik ten (numer 2) mieścił się na drugim piętrze. Okna wyzierały na ocean. Poza drzewami dziedzińca - będącego prawie ogrodem - widać było długą prostą linię horyzontu, gdzie co wieczór zapadało się słońce. Szczyty skał nadmorskich widniały nad dachami zabudowań szkolnych. Było to widowisko pełne dostojeństwa i głębi; ocenić je w pełni miałem dopiero w przyszłości; od początku zaś przyglądałem mu się, party skrytym impulsem.

Nie byłbym zresztą dzieckiem, gdybym nie był doznawał zakazanej rozkoszy wymykania się wszelkiemu nadzorowi i możliwości obserwowania z ukrycia przez półprzymknięte żaluzje poczynań bliźnich, jak mi się to zdarzyło w ów dzień słoneczny, ów tragiczny dzień żaby, którego data jest wypisana na mogile pana i pani Chablas.

Powiem teraz, kim byli państwo Chablas, przedtem zaś jeszcze

- kto to był Mourgue.

Mourgue, dyrektor szkoły, był trzydziestoletnim absolwentem uniwersytetu. Miał cerę nieświeżą, brodę brunatną, włosy bujne. Oczy jego żywo błyszczały zza szkieł binokli. W ubiorze był zaniedbany. Uchodził (dowiedziałem się tego szczegółu, wraz z innymi, nieco później) za dość wybitnego fizjologa, lecz przeszkodą w badaniach była mu ustawiczna potrzeba pieniędzy, którą ze wściekłym uporem usiłował zaspokajać. Człowiek ten, istotnie, był obciążony okropną namiętnością - nałogiem gry - i kasyno sąsiedniego miasta pochłaniało kolejno wszystkie dochody, jakie mu przynosił jego zakład. Oto był Mourgue. Co się nas tyczy, nie żywiliśmy do niego bynajmniej antypatii, traktował nas bowiem życzliwie, jak przystało na sędziego świadomego wszelkich słabości człowieczego rodzaju.

Matka jego po powtórnym zamążpójściu nosiła nazwisko Chablas. Państwo Chablas mieszkali w gmachu szkolnym. Pani Chablas, rozmiłowana w synu i wciąż drżąca przed skutkami jego nieuleczalnego nałogu, przysięgła sobie, że go opuści dopiero w ostatecznym momencie, gdy trzeba będzie wszystko na tym świecie opuścić.

Państwa Chablas przezwaliśmy Filemonem i Baucis. Każde z nich liczyło po pięćdziesiąt dziewięć lat, a mimo podeszłego wieku trwali bez fałszywego wstydu we wzajemnej adoracji.

Miłość ta, acz wzruszająca, miała w sobie sporą dozę komizmu; a wrażenia tego zewnętrzny wygląd zakochanej pary bynajmniej nie osłabiał.

Edgar Chablas - Filemon - był bardzo eleganckim, starannie uszwarcowanym i wypomadowanym *vieux beau*. [**Vieux beau* (franc.) - przystojny starszy pan] Swój piekielnie czarny zarost nosił a la Jules Simon: krótki wąs i broda okalająca cały owal

twarży. Lśniący płat włosów, „zapożyczony” znad potylicy, rozpościerał się na łysinie. Poczciwy, spokojny człeczyna, uśmiechał się niez mordowanie - zgoła jak gdyby jego sztuczne szczęki na powszechny zasługiwały zachwyty. Ucieszenie nam było patrzeć, gdy przechodził gościńcem, wyświeżony, we wdzięcznie przechylonym kapeluszu fioletowym; krawat zawiązany a la Collin, jasne getry na nogach; ręce w tył założone balansowały laseczką, co upodabniało go do wahadła.

Edgar Chablas robił wszystko, co mógł, by nie być głupcem. To już bardzo wiele. Niemniej biedaczysko nie mógł się pochwalić zbyt świetną karierą życiową. Zwierzał się każdemu, że jakaś osobliwa fatalność narzucała mu wieczne półśrodki i nieuniknione spółki. Nawet urodzić się indywidualnie nie było Filemonowi sądzone; zjawienie się brata-bliźniaka osłabiło doniosłość tego występu. Pan Chablas skarżył się otwarcie, iż nigdy nie udało mu się zdziałać czegoś ważkiego - bez udziału współpracownika. Ze zdziwieniem stwierdzał, że zawsze zamieszkiwał nieruchomości oznaczone przypadkowo numerem *bis* lub *ter*. „Wreszcie, powiadał, ożeniłem się z wdową. I zobaczycie, przekonacie się, że i do grobu nie złożą mnie samego!” Przeświadczenie dziwaczne” acz nie pozbawione podstaw, któremu też los nie odmówił potwierdzenia.

Zaznaczmy zresztą, iż pan Chablas przystosowywał się do swej szczególnej roli człowieka-dubleta, na czym wychodził wcale niezgorzej: symbioza z pewnym finansistą nader wydatnie zaokrągliła jego majątek, a pani Chablas, mimo wdowieństwa po panu Mourgue-seniorze, darzyła go miłością również piękną, jak leciwą.

Pani Chablas - Baucis - bynajmniej nie ustępowała swemu kochanemu drugiemu małżonkowi pod względem dbałości o

wygląd zewnętrzny. Była z pokolenia owych starych wykrygowanych dam, które od ustawicznego ściskania się gorsetem osiągają w nagrodę talię niesłychanie cienką i sztywną. Chodziła, rzekłbyś, całą postacią naraz, wyprostowana, niemniej - mimo stoickie wysiłki - z przygarbionymi plecami. Jej wyniszczone ręce były od samego rana ozdobione mnóstwem pierścieni. Rozłożysta koafiura uzupełniona sztucznymi wałkami, żółta i bez połysku, nadawała nieproporcjonalne, fantastyczne rozmiary jej głowie, na którą Baucis, wychodząc z domu, łądowała imponujące kombinacje piór, wstążek, tiulów i świecidełek. Gdyś się do niej zbliżał pod wiatr, potężna fala zapachu *chypre* terroryzowała ci nozdrza, chociaż sama jejmość była jeszcze w takim oddaleniu, iż na obliczu jej bardzo niewyraźnie znaczyła się gruba maska szminki, którą było otynkowane. Krzykliwe te kolory sprawiały wrażenie raczej jakiejś kraszanej kukły aniżeli istoty żywej. Gdy dama otwierała usta - osobliwie czarna czeluść wybuchała wśród cynobru jej warg. Niesamowitego efektu dopełniało jeszcze w tej dziwacznej fizjonomii to, że pani Chablas ustawicznie wybałuszała oczy, skutkiem czego wydawała się zawsze zagrożona jakimś niebezpieczeństwem.

Państwo Chablas! Gdy ich wspominam, wyrasta mi przed oczyma groteskowy obraz przekazany mojej dziecięcej pamięci. Wiek ten jest bezlitosny. Dziś, gdy pomyślę, że państwo Chablas kochali się bezgranicznie; że kochali się zawsze i tak mocno, iż jedno nie zdołało przeżyć drugiego; gdy powiadam sobie, że wszystkie te mizerne zabiegi, cała owa parada nieszkodliwej kokieterii rozpaczliwie zmierzały jedynie do przedłużenia dla tej drugiej istoty odrobiny uroków, jakie ją były niegdyś podbiły... - nie umiem już skojarzyć wspomnienia tej pary pajaców z

pojęciem tak bezcennej rzadkiej czułości.

Powiadano, że pan Chablas był milionerem i że zakład im. Jana Jakuba Rousseau jemu zawdzięczał swe powstanie. Było to zupełną prawdą, jak to stwierdziłem później. Przystąpienie pana Chablas w charakterze cichego wspólnika do tego interesu odbyło się na skutek gorących prośb pani Chablas, gdy szczupła ojcowizna stopniała w palcach gracza. I jestem przekonany, że pani Chablas odniosła to zwycięstwo po długich wysiłkach, bowiem pan Chablas - jak to później wykazały okoliczności - znosił swego pasierba jedynie ze względu na zacną niewiastę usiłującą być między nimi łącznikiem. Istotnie, tylko matka mogła rozgrzeszać tego utracjusza, marnującego wyjątkowe zdolności dla zaspokajania najfatalniejszej pasji.

Czyż więc Mourgue lekceważył naukę? Nie sądzę. Widziałem go wykładającego fizykę, chemię, historię naturalną. Wnosił w swoje wykłady zapał i polot niepospolity. A zresztą, któż może tu być pewien istoty rzeczy? Czyliż można utrzymywać, że w samotnych godzinach w swym gabinecie Mourgue studiował jedynie „niezawodne” systemy gry? Nie pozostawił po sobie schedy naukowej; czegoż to dowodzi?... Ja trwam w niepewności. Ze względu na żabę.

Opowiem teraz o żabie.

Słuchacze oddziału humanistycznego i oddziału matematycznego zbierali się razem na wykłady nauk przyrodniczych; i corocznie Mourgue powtarzał przed nimi doświadczenia Galvaniego, polegające na pobudzaniu prądem elektrycznym mięśni nieżywej żaby. Lecz nasz dyrektor demonstrował ten eksperyment w sposób tak efektowny i, sądzę, tak nowy, że doświadczenie z żabą miało wielką sławę wśród wychowanków szkoły im. Jana Jakuba Rousseau. Kto już je był

widział, płonął pragnieniem zobaczenia go znowu. Rozprawiano o nim zawczasu, niby o jakimś dorocznym święcie, a w owym uroczystym dniu pod oknami uprzywilejowanej sali tłoczyła się gromada zaciekawionych dzieciaków. Ten korzystał z rekreacji, tamten wymknął się z „ciupy”, ów zdezerterował z izby chorych. Profesorowie w tej sytuacji nie okazywali zbytnej surowości. Mourgue, pełen wyrozumiałości, udawał, że nic nie zauważa, i pochylony nad stołem, wywoływał klasyczny cud.

Prawdę powiedziawszy, leżały tam trzy żaby odpowiednio spreparowane. Jedna, właściwie sama tylko dolna część tułowia, przytwierdzona była lędźwiami do korkowej deszczułki.

Jako źródła energii Mourgue używał ogniwa Volty.

Umocowawszy na dwu biegunach aparatu dwa druty miedziane i ujawszy wolne ich końce, rozpoczynał pokaz tradycyjnym tańcem owej nieszczęśliwej pary zadnich łapek żabich, które się kurczyły i wyciągały pod działaniem prądu. Potem następowało demonstrowanie miografu. Wreszcie Mourgue zabierał się do trzeciej żaby i łączył z baterią ów giętki przewodnik przenikający w ciele zwierzęcia do jakichś tajemniczych ośrodków. Tego momentu oczekiwaliśmy wszyscy z lękliwą niecierpliwością.

Natychmiast po zamknięciu obwodu cztery łapy galwanizowanej żaby zginały się pod tułowiem, po czym następowała seria podskoków, do złudzenia przypominających ruchy żywego stworzenia; konwulsyjnie, ale rytmicznie trupek poruszał się w sposób wręcz wstrętne naturalny. Mourgue, trzymając aparat, postępował za straszną żabą, jak gdyby wodził ją na smyczy. Wędrowała tak aż do końca stołu - potworny mętnooki automat laboratoryjny; z chwilą, gdy demonstrator przerywał prąd, nieszczęsna żaba padała nagle, jakby skonawszy

na nowo, i rzekłbyś, że Mourgue mógłby rzeczywiście ją wskrzesić, by ją zabić raz jeszcze, i jeszcze, bez końca...

Tak, miałem trzynaście lat, kiedy po raz pierwszy to zobaczyłem - przez szyby klasy... Obok mnie pan Bernardi, świeżo zaangażowany gospodarz klasowy, trwał w zachwycie... Ja jednak nie mogłem dłużej patrzeć na tę scenę. Nie starczyło mi nerwów. Zrobiło mi się słabo i odwróciłem się, wstrząśnięty do głębi.

Spostrzegłszy, co się ze mną dzieje, pan Bernardi usadził mnie na występie muru. Otoczyło mnie kilku uczniów, a Mourgue, który niebawem wyszedł z klasy po skończonym wykładzie, został powiadomiony o tym, co zaszło.

- Chodź no ze mną - zwrócił się do mnie łaskawie. - Wypijesz kieliszek wina i wszystko minie. No, jazda, chodź, mój chłopcze.

Udałem się za nim.

Mourgue wraz z matką i ojczymem zajmował pierwsze piętro środkowego budynku w głębi dziedzińca; na parterze mieścił się sekretariat i jadalnia, na drugim zaś i trzecim - nasze izdebki. Najpiękniejsze pokoje tego apartamentu łączyły się oszklonymi drzwiami z obszernym balkonem ciągnącym się wzdłuż całej fasady. Tam mieliśmy często sposobność oglądać panią Chablas. Krzątając się około swych spraw domowych, posługiwała się balkonem dla przechodzenia z pokoju do pokoju, jeżeli w salonie interesanci oczekiwali przybycia Mourgue'a. Widok ten był dla nas ogromną uciechą, przyglądaliśmy się zjawianiu i znikaniu wystrojonej Baucis tak ciekawie - jak owym kolorowym figurkom, co z uderzeniem godziny na wieży kościelnej wychodzą z szafki starego zegara, defilują z powagą i przez drugi otwór wracają do swego domku.

Była dziesiąta rano. Z półpiętra płynęła wrzawa kuchenna.

Wspięliśmy się po schodach. Mourgue wprowadził mnie do salonu, stamtąd zaś do jadalni.

- Siądź proszę.

I skierował się ku uchylonym drzwiom z widocznym zamiarem zamknięcia ich.

Wiedziałem dobrze, że tam, obok stołowego, mieścił się pokój państwa Chablas. Mourgue wydawał się zdziwiony, iż zastał owe drzwi otwarte. Rzucił okiem do wnętrza - i nagle skoczył naprzód, zatraskując drzwi za sobą.

Przez dłuższą chwilę trwałem w zdumieniu i zakłopotaniu, usiłując skroś zgiełk dochodzący z kuchni i dziedzińca (była przerwa między wykładami) złowić uchem ślad tego, co działo się za drzwiami. Lecz oto drzwi otworzyły się na nowo, właściwie odchyliły się tak, że ukazała się w nich sama tylko głowa mego dyrektora. Był blady, przerażony i zdławionym głosem rzucił mi: - Idź stąd, mój chłopcze... Wypadek... Tu nie dla ciebie miejsce...

Dodał coś tam jeszcze o lekarstwie i infirmerii. Nie wiem doprawdy, czy posyłał mnie do infirmerii, żebym zażył tam lekarstwo, czy też miałem powiedzieć, by mu lekarstwo przyniesiono...

Nie słyszałem już nic. Byłem przerażony i mknąłem z gorączkowym pośpiechem.

Na dziedzińcu zabawy i gonitwy trwały w najlepsze. Pan Bernardi przechadzał się w cieniu platanów wraz z drugim gospodarzem klasowym, opowiadając mu z ożywieniem zapewne o studiach prawniczych, którym się gorliwie oddawał.

- Proszę pana! - wybełkotałem, przybiegłszy do pana Bernardi - tam u dyrektora, w pokoju państwa Chablas, coś się stało!... Nie wiem co... Jakiś wypadek!

Spojrzeni kolejno na mnie i na okna mieszkania dyrektora. Poszeptali coś między sobą i po chwili wahania ruszyli w drogę.

Nie potrafię wyjaśnić, jak się stało, że ciekawość zwyciężyła we mnie trwogę i że udałem się za nimi. Lecz wspomniałem już o tym, jak działała na moją naturę tajemnica.

W chwili naszego wejścia do salonu ujrzeliśmy w nim Mourgue'a wchodzącego przez lewe drzwi.

- Mój ojczym umarł! - oznajmił z gestem tragicznym. Podążyliśmy za nim, krocząc w skupieniu.

Pan Chablas, starannie odziany od stóp do głów, czyściutki, siedział w głębokim fotelu. Nie uśmiechał się już. Cień nicości znaczył jego blade oblicze.

- A moja biedna matka! Biedna moja matka! - rzeki Mourgue. - Szaleje z bóleści!... Zastałem ją przy nim półprzytomną, osłupiałą; nie pojmowała, co się stało, nie chciała dać temu wiary... A gdy zrozumiała, nagle uciekła w drugi koniec mieszkania! Zamknęła się tam... Ach! muszę ją przecież wesprzeć, dodać jej sił! Powinna mi wreszcie otworzyć.

Po czym okazując najwyższe zdenerwowanie i gorączkowe podniecenie, Mourgue opuścił pokój i wrócił tam, skąd wyszedł. Przez amfiladę pokojów usłyszeliśmy, jak pukał do drzwi swego gabinetu i mówił tonem słodkiej perswazji: - Mamo, wpuść mnie... Nie zostawaj sama! No, proszę cię, bądź rozsądna... Otwórz!

Pani Chablas zdawała się nie odpowiadać. Mourgue wrócił zrezygnowany, lecz nieco spokojniejszy.

- Płacze - oświadczył nam. - Wolę to. Słyszałem, jak płakała... Sądzę, iż trzeba na razie pozostawić ją w spokoju.

Służąca wróciła z targu. Wieść przeraziła ją. Mourgue zabronił jej przeszkadzać pani Chablas... Nagle zdał sobie sprawę z mojej

obecności.

- Och, panowie, to dziecko - tutaj!

Nie czekałem dalszego ciągu i oddaliłem się spiesznie, pełen zmieszania; w uszach natrętnym brzęczeniem brzmiała mi ta wymówka, rzucona tonem znużenia. Zadźwięczał dzwon.

Wszystko odbyło się według normalnego programu - tylko wśród głębokiej ciszy, utrzymywanej przez pedlów.

Co do mnie, niezdolny do skupienia uwagi na wykładach, wciąż rozmyślałem o dramatycznych wydarzeniach, które mną tak silnie wstrząsnęły. Prześladowała mnie groza śmierci. Jakież to straszliwe widmo w trzynastym roku życia! I w jakim niesamowitym świetle ukazało mi ją doświadczenie Galvaniego! Mimo woli, wyznać muszę, mniejsze na mnie wrażenie wywarł zgon pana Chablas niżeli owe pokazy galwanizacji dokonywane przez Mourgue'a; i spośród trupów, jakie widziałem od rana, to nie trup człowieka najuporczywiej napastował mój umysł...

Po lekcjach natychmiast postarałem się zasięgnąć języka o tym, co działo się u naszego dyrektora. Dowiedziałem się, że ustawiono w pokoju katafalk oraz że pani Chablas wciąż odmawia wyjścia z pracowni, do której jej syn wreszcie wszedł drzwiami balkonowymi.

W ciągu całego popołudnia spojrzenia moje ustawicznie zwracały się ku temu głuchemu szeregowi oszklonych drzwi zaciągniętych białymi firankami. W ostatnich na lewo majaczyły nikłe płomyki dwóch świec. Za ostatnimi na prawo - drzwiami pracowni - wyobrażałem sobie wśród dobrze mi znanego malowniczego nieładu tej izby pełnej ksiąg, papierów i przyrządów - nieszczęsną Baucis, łkającą na ramieniu Mourgue'a i upierającą się tkwić tam, z dala od swego Filemona.

Pod wieczór uczułem wielkie znużenie. W rozkładzie dnia

przed obiadem wypadła pauza czterdziestopięciominutowa. Skorzystałem z niej, by odłączyć się od życia zbiorowego, i cichaczem udałem się do swej izdebki.

Wszystko tam trwało w kojącym spokoju, pogrążone w ciepłe i półcieniu. Odchyliłem z lekka żaluzje; przez szparę ukazał się pełen dostojeństwa obraz morskiego zachodu słońca.

Może to właśnie pociągnęło mnie tu, żądnego owej tajemniczej pociechy spływającej na człowieka ze skarbnicy piękności natury.

Słońce było już tak nisko, że widziałem, jak stacza się ku linii horyzontu z wzrastającą, rzekłbyś, szybkością, z jakimś rozkosznym pośpiechem, jak gdyby je morze wabiło do siebie. A wśród fal, rozdzielając ich ruchliwy przestwór, słał się wspaniały kobierzec, jakby zapraszając je, by nie kryło się, lecz raczej przeszło z wybrzeży niebios ku wybrzeżom oceanu.

Z tej ekstazy wyprowadziły mnie niewyraźne hałasy, które mi przypomniały, iż gabinet dyrektora mieści się pod moim pokojem. Fakt ten wtrącił mnie na nowo w orbitę owego makabrycznego dnia. Przywarłszy uchłm do ściany, przez kilka minut przysłuchiwałem się bezskutecznie, po czym, usłyszawszy, że otwierają się oszklone drzwi, wychyliłem się na zewnątrz.

Na dole, tuż naprzeciwko mnie, uczniowie pierwszego oddziału szykowali się w dwuszereg, aby pomaszerować do refektarza. Podobnie jak i ja, ujrzeli oni panią Chablas, wychodzącą z gabinetu dyrektora.

Biedna niewiasta wydawała się zdruzgotana. Szła pochłonięta swym smutkiem, jak gdyby obca wszystkiemu dookoła, krocząc niepewnie. Potężna fala zapachu *chypre* wionęła ku mnie.

Ha, zdecydowała się nareszcie na spełnienie swego wdowiego Obowiązku! Biedna, biedna pani Chablas! Najwidoczniej jeszcze

się ociągała. Lecz nic już snadź nie mogło zmienić jej wędrówki somnambuliczki partej do straszliwego celu. I nic nie mogło złagodzić niesamowitego wzruszenia, jakie wywoływał we mnie widok tej poczciwej staruszki zmierzającej do tamtego pokoju! Nic: ani groteskowe szminki, jakimi wciąż jeszcze była umazana; ani klejnoty na jej zwisających bezwładnie rękach; ani pretensjonalne akcesoria jej niebieskozielonej sukni; to wszystko, co wywoływało zawsze tyle drwin i conceptów!

Tuż pod swym oknem usłyszałem jakiś lekki szelest... Odwróciłem spojrzenie od pani Chablis i wówczas ujrzałem coś, czego moi koledzy nie mogli zauważyć z dołu, mianowicie długi, giętki drut, który włókł się za panią Chablis, którego drugi koniec ginął w drzwiach pracowni.

Zanim jednak zdążyłem pomyśleć cośkolwiek, ujrzałem finał dramatu. Oto pani Chablas, bez jednego jęku, nagle, raptownie padła.

Rozległy się krzyki przerażenia. Natychmiast wbiegł na balkon Mourgue. Cofnąłem się spiesznie. Za nic w świecie nie chciałem, by mnie zauważył! Nie, za nic! Oh, w danej chwili było to dla mnie kwestią życia i śmierci. W owej bowiem chwili miałem pewność, że widziałem!

Zęby mi szczękały. Zdjęty daremnie tłumioną paniką, drżałem na całym ciele.

Ostrożnie wymknąłem się na dół. Zmieszałem się z tłumem kolegów. Powtarzano sobie z ust do ust wieść o nagłym zgonie pani Chablas. Mourgue podniósł z ziemi już tylko trupa. Zwierzał się, że wyczerpany znużeniem zasnął w gabinecie u boku matki; pani Chablas wyszła sama, nie zbudziwszy go; teraz nieszczęsny dyrektor był w rozpacz, że zbudziły go dopiero okrzyki uczniów.

W miarę jak dochodziły mych uszu te wyjaśnienia, prawdopodobieństwo ich narzucało się memu rozsądkowi, osaczały mnie wątpliwości i pełne grozy zdumienie, jakie mną owładnęło, ustępowało miejsca bezładnemu ciągowi sprzecznych rozważań. Byłem zbyt nerwowy, by móc opanować sytuację, za młody, by koordynować swoje przesłanki, do nikogo zaś nie byłbym się zwrócił, aby rozwikłać ten chaotyczny węzeł. Chwilami konstatowałem niewyraźnie, do jakiego stopnia podziałało na mnie doświadczenie Galvaniego udoskonalone przez Mourgue'a, jak uporczywie ta wizja wraża się we wszystkie moje myśli - i wtedy traciłem wszelką ufność we własne sądy. To znów, odwrotnie, owa scena balkonowa powtarzała się z niebywałą precyzją na ekranie mej pamięci; zagadkowy drut ciągnął się za panią Chablas; widziałem, jak padała bezwładnie; rozmyślałem: jakiegoż to fluidu tak nagle jej zabrakło (czy elektryczności, czy życia?) i kto przerwał był prąd (Mourgue czy Bóg?)... Potem chmara argumentów na temat galwanizacji zwłok pani Chablas atakowała mój mózg, który pod ich naporem przestawał na moment funkcjonować... Tak w baterii pęcherzyki gazu osiadają na biegunie ujemnym, polaryzując go.

Dziś, po latach, mogę już skoordynować szereg faktów niewątpliwych, które tamtego wieczora przedstawiały mi się dość mgliście: istnienie owego drutu, jego niewidzialność dla świadków zgrupowanych na dziedzińcu; przeświadczenie Mourgue'a, iż nie było żadnych innych świadków mogących rzecz obserwować z górnych pięter; równoczesność wyjścia na balkon pani Chablas i uszeregowania się uczniów na wprost balkonu; dystans niemożliwy do przebycia (przynajmniej w sposób szybki) pomiędzy widzami na dole a widowiskiem na balkonie; chód osobliwie automatyczny pani Chablas; zapach jej

perfum, w owym momencie silniejszy niż kiedykolwiek; jej zgasłe spojrzenie (którego zresztą ze swego punktu obserwacyjnego nie widziałem dokładnie); warstwa szminek, mogąca maskować trupią bladość; wreszcie fakt, że cały zakład posiadał własne oświetlenie elektryczne, i stąd wniosek o możliwości łatwego czerpania prądu o znacznym napięciu. Otóż Mourgue przecie długo tkwił zaryglowany w swej pracowni, mogąc tam swobodnie kusić się o zastosowanie do galwanizacji ciała ludzkiego przyrządu swego wynalazku. A wszak w porywie egzaltacji - być może udanej - odprawił wszystkich, aby pozostać z matką sam na sam. Wszystko to składało się na nader wyrazistą całość, o niezachwianej logice.

Lecz z drugiej strony nic właściwie nie przeczyło najnaturalniejszej interpretacji wydarzenia. Przede wszystkim należy pamiętać, iż w pracowni Mourgue'a znajdowało się mnóstwo rozmaitych przyrządów. Pełno tam było przewodów elektrycznych; zalegały całą podłogę te druty, niektóre ogromnie długie, kręte, tu i ówdzie pogmatwane wśród czopów, trzpieni i tulejek, łącznie mogących zaczepić o tren sukni. A wiadomo, kobieta przytłoczona boleścią o niczym innym przecie już nie myśli... Nadto, jak już wspomniałem, chód pani Chablas zawsze miał w sobie coś mechanicznego; rozpacz, tortura moralna zupełnie wystarczająco tłumaczą fakt, iż się ta cecha zaznaczyła jeszcze dobitniej... Również i uszminkowanie twarzy nie było u niej bynajmniej nowością... Wreszcie - jakież cel miałby Mourgue w owym oficjalnym opóźnieniu chwili zgonu swej matki? Tego podówczas nie umiałem dociec, nie przywiązując też do tej kwestii należytej wagi - ponieważ byłem wręcz przerażony potwornością mej hipotezy.

Kwestia ta, w gruncie rzeczy, pozostała otwarta dla dziecka,

którym byłem, jak obecnie dla dorosłego mężczyzny, którym jestem.

Byłaż to osoba żywa, której śmierci zostaliśmy świadkami?

Gdzie nastąpił zgon pani Chablas?

Czy stało się to na balkonie, jak myślą oczywiście wszyscy?

Czy też w pracowni? Czy się tam istotnie schroniła, pełną nieukojojonej rozpaczy? Czy opuściła ją nie jako żywa istota, lecz jako zewłok galwanizowany i pilotowany przez profesora Mourgue?

A może raczej stało się to właśnie owego ranka - w sypialni państwa Chablas? Syn zastał ją martwą u boku martwego męża i przeniósł do swego gabinetu, podczas gdy poszedłem zawiadomić pana Bernardi? A w takim razie kto z nich umarł pierwszy: Filemon czy Baucis?

Jako żywo, nic nie wiem. I gdyby mi był powierzony sąd w tej sprawie, nie polegałbym na zeznaniach nadwrażliwego dziecka - chociaż to dziecko było mną samym.

Sąd? - powiecie. - Czyżby kodeks przewidywał jakąś karę za takie czyny? Zapewne czyny to świętokradcze i makabryzno-cyrkowe, mogą wszakże znaleźć wytłumaczenie w ciekawości uczonego. No i należy w końcu stwierdzić, że nikomu nie szkodzą - w sensie prawnym!

Nikomu? Tak mniemacie?... Posłuchajcie raczej tego fragmentu dialogu podsłuchanego przeze mnie w kilka dni po śmierci małżonków Chablas między panem Bernardi (studentem prawa) a panem Lafont.

- Mówią o milionie dwu tysiącach franków! - rzekł pan Bernardi.

- I wszystko otrzymuje Mourgue? - zapytał pan Lafont.

- Wszystko! Syn jednak... Ten może sobie powinszować

szczęśliwej ręki! Gdy się pomyśli, iż jeszcze rano w dniu swej śmierci pani Chablas nie miała ani grosza!...

- Jakże to?

- Uważajcie, Lafont. Pan Chablas nie miał żadnych spadkobierców poza swoją małżonką. Należy pamiętać, że Mourgue nie był z nim wcale spokrewniony oraz że nieboszczyk nie pozostawił testamentu. Na to więc, by Mourgue posiadał fortunę swego ojczyma, konieczne było, by ją odziedziczyła pani Chablas, a następnie - po niej - jej syn...

- A zatem - wykrzyknął pan Lafont - gdyby pani Chablas - zmarła przed mężem, majątek jego przeszedłby na rzecz skarbu państwa? I Mourgue nie otrzymałby nic?

- Tak jest. Lecz wystarczyło, w danym przypadku, by pani Chablas zmarła jednocześnie z mężem, bądź też by okoliczności nie pozwalały na stwierdzenie w sposób niezbity, kto kogo wyprzedził w wymarszu na tamten świat.

- Doprawdy?

- To się nazywa domniemanie w przypadku równoczesnego zgonu. Mówi o tym artykuł 722 Kodeksu Cywilnego. „Jeżeli zmarli współcześnie mają po lat piętnaście ukończonych oraz mniej niż lat sześćdziesiąt - w przypadku gdy oboje są w równym wieku, bądź też gdy różnica wieku nie przekracza jednego roku, zakłada się zawsze, iż mężczyzna przeżył swą towarzyszkę”. Tak się właśnie rzecz miała tutaj.

- Rzeczywiście - zakonkludował ze śmiechem pan Lafont - w tych warunkach Mourgue, można powiedzieć, cudem się wymigał! Drobną zmianą o kilka godzin...

- A dama pikowa straciłaby niezgorszy posązek - dokończył pan Bernardi.

Było to ostatnie echo tej mętnej i dramatycznej historii.

Mourgue długo jeszcze żył w dobrobycie. Mimo swego bogactwa nie porzucił kierownictwa szkoły imienia Jana Jakuba Rousseau; w dalszym ciągu też wykładał tam nauk przyrodnicze; i co roku demonstrował uczniom doświadczenie Galwaniego.

Przypatrywałem się zawsze temu eksperymentowi spoza szyb, aż wreszcie i na mnie przyszła kolej zasiąść na ławie wewnątrz klasy. Ale wtedy byłem już co nieco zblazowany wobec owego tylokrotnie oglądanego cudu; z każdym dniem wzrastał we mnie spokój i opanowanie osób dorosłych; doświadczenie z żabą już mnie nie zaciekawiało.

Przełożył Gabriel Karcki

A. J. ALAN

Warkoczyk

Chcę wam dziś opowiedzieć o pewnych wydarzeniach, których nie będę próbował wyjaśniać, ponieważ to zupełnie nie leży w mojej mocy. Gdy usłyszycie o wszystkich faktach, może ktoś z was zdoła wysunąć hipotezy. Jak się samemu nie rozumie tego, o czym się opowiada, to człowiek nie bardzo wie, co należy pominąć.

Działo się to w 1921 roku. Spędzałem weekend u jednego z moich przyjaciół, mieszkającego o jakie piętnaście mil od Bristolu.

Był z nami jeszcze jeden kolega, zamieszkały w Dawlish. A więc było to tak: w poniedziałek rano nasz gospodarz zawiózł nas do Bristolu o takiej porze, żeby tamten z Dawlish zdążył na pociąg do swego miasta, odchodzący o wiele wcześniej niż pociąg do Londynu. Oczywiście, gdyby stary Einstein dobrze wykonał swą robotę, to obaj moglibyśmy pojechać tym samym pociągiem. Ale tak, to ja musiałem czekać jeszcze przeszło pół godziny. A *propos* Einsteina: czy nie warto byłoby oddać kawałek życia, aby usłyszeć, co by mu powiedział Euklides - gdziekolwiek by się spotkali?

Na jednej z ulic, którą przechodziłem, był jakiś zabawny, mały sklepik, taki stary antykwariat. Zatrzymałem się, żeby popatrzeć na wystawę. W głębi na półce stało okrągłe mosiężne pudełko, z kształtu trochę przypominające puderniczkę. Ono to właśnie zwróciło moją uwagę - sam nie wiem, dlaczego. Może dlatego, że

nigdy czegoś takiego nie widziałem. Pewno z tej samej przyczyny kobiety kupują takie a nie inne kapelusze.

Szyba wystawowa była jednak tak brudna, że mało co było przez nią widać, więc wszedłem do środka, żeby lepiej to pudełko obejrzeć. Gdzieś z głębi sklepu wylazł niewiarygodnie stary człowiek i opowiedział mi wszystko, co wiedział o tym pudełku, a było to niezbyt wiele. Pudełko okazało się dosyć ciężkie. Było mosiężne, okrągłe, wysokie na cztery cale i miało ze trzy cale średnicy. W środku coś latało, kiedy nim potrząsaliśmy. Nikt nigdy nie zdołał zdjąć pokrywki. Starzec kupił je przed paru laty od jakiegoś marynarza, ale nie potrafił nawet powiedzieć, z jakiej części świata pochodzi.

- Da pan piętnaście szylingów? - zapytał stary.

Zaofiarowałem mu dziesięć, on od razu się zgodził, a potem już musiałem bardzo szybko pędzić na stację, żeby nie spóźnić się na pociąg.

Gdy wróciłem do domu, zaniósłem pudełko do mego warsztatu i dokładnie je obejrzałem. Było bardzo prymitywnie wykonane, i to najwyraźniej ręcznie, nie na tokarce. Kiedyś na pokrywce musiało być coś wyryte, ale zatarte zostało pilnikiem. Teraz więc trzeba było zdjąć pokrywkę bez jej uszkodzenia. O zdjęciu ręką nie mogło być mowy i żadne zwykłe metody by nie pomogły. Na razie postawiłem pudełko pokrywką na dół na talerzyku z gliceryną. Postało tak tydzień. Potem zrobiłem dwa mosiężne półpierścienie - jeden pasujący do pudełka, a drugi do pokrywki. Pod koniec tygodnia zanitowałem pierścienie, zamocowałem pudełko w imadle i spróbowałem odkręcić pokrywkę pobijając ją dokoła młotkiem, ale ani ruszyło. Następnie spróbowałem w drugą stronę - i od razu poskutkowało. Wyjaśnia to, czemu nikomu nie udawało się dotychczas otworzyć pudełka: miało ono

lewostronny gwint. Trick dość pospolity, zwłaszcza w dawnych czasach.

A więc zacząłem bardzo ostrożnie odkręcać, a czułem się jak Ali-Baba, myśląc, co też tam znajdę. Mogło coś wystrzelić albo skoczyć mi prosto w twarz. Jednakże gdy zdjąłem pokrywkę, nie stało się nic nadzwyczajnego. W środku pudełko było do połowy wypełnione kurzem, a na dnie leżał warkoczyk skręcony z włosów. Wyprostowany, miał około dziewięciu cali długości, a grubość - mniej więcej ołówka. Rozplotłem kawałek i stwierdziłem, że składa się z kilkuset delikatnych włosów, ale tak zabrudzonych, że nie można się było im dokładnie przyjrzeć, choć wsuwałem je nawet pod mikroskop. Postanowiłem je oczyścić. Wiecie może, jak to się robi - najpierw kąpiel w roztworze kwasu solnego, żeby usunąć tłuszcz, a potem - w roztworze sody do prania, aby spłukać kwas. Następnie wypłukałem włosy w destylowanej wodzie, potem w alkoholu, żeby usunąć resztki wody, a wreszcie - w eterze.

Właśnie wyjmowałem warkoczyk z eteru, gdy zawołano mnie na dół do telefonu. Rzuciłem warkoczyk na pierwszą lepszą czystą rzecz pod ręką - a mianowicie na kawałek białego kartonu - i zszedłem na dół. Kiedy później przyjrzałem się warkoczykowi, jedyną rzeczą interesującą okazało się to, że najwidoczniej składał się on z włosów kilku różnych kobiet. Kolory wahały się od głębokiej czerni, poprzez brunatny, rudy i złoty, aż do siwizny. Żaden z włosów nie był farbowany, co było dowodem, jak bardzo stary jest warkoczyk.

Pokazałem go paru osobom, ale nikt się tym specjalnie nie entuzjasmował, tak że schowałem włosy i pudełko do małej szafki stojącej w rogu pokoju - i zapomniałem o nich.

Potem wydarzył się pierwszy dziwny zbieg okoliczności.

W jakie dziesięć dni później jeden z moich kolegów nazwiskiem Matthews przyszedł do klubu z obandażowanym czołem. Naturalnie pytano go, co mu się stało, a on odpowiedział, że nie wie, w dodatku zaś nie wie i jego doktor. Przewrócił się nagle w swoim własnym salonie podczas herbaty i leżał jak kłoda. Żona oczywiście bardzo się wystraszyła i zatelefonowała po lekarza. Ale Matthews przyszedł do siebie po jakichś pięciu minutach, potem przyszedł lekarz, Matthews czuł się już całkiem nieźle, tyle że go porządnie bolało czoło. Doktor nie zdołał stwierdzić niczego poza czerwonym śladem, który pojawił się na skórze właśnie w bolącym miejscu.

No i ten znak stawał się coraz wyraźniejszy i wyraźniejszy, tak że w końcu wyglądał jak ślad po uderzeniu kijem. Następnego dnia przedstawiał się mniej więcej tak samo, tyle że wokół niego pojawiła się otoczka. Potem zaczęło się polepszać. Matthews zdjął bandaż w klubie i pokazał mi znak; w środku wyglądało to jak węzowaty ślad po przejściu jakiegoś rozpalonego do czerwoności robaka.

Wydano orzeczenie, że Matthews dostał zawrotu głowy i musiał jakoś uderzyć się, gdy padał. Na tym się skończyło.

W jaki miesiąc potem żona powiedziała do mnie: - Doprawdy musimy zrobić porządek w twoim warsztacie! - na co ja spytałem, czy rzeczywiście trzeba, a gdy ona rzekła: - Tak, bo aż wstyd! - to poszliśmy na górę.

Porządkowanie mojego warsztatu polega na tym, że wieszka się narzędzia z powrotem na odpowiednich kołkach, oraz na tym, że żona chce wyrzucać wszystko, co znajdzie na podłodze, ja zaś ciągle tylko mówię: - Nie, nie! To może się na coś przydać.

Od razu trafiliśmy na kawałek białego kartonu, na którym w swoim czasie, kiedy mnie zawołano do telefonu, położyłem

warkoczyk.

Gdy rzuciliśmy okiem na odwrotną stronę kartonika, okazało się, że jest to zrobione przy magnezji zdjęcie z pewnej kolacji, na którą byłem zaproszony. Wiecie, jak to bywa. Zanim się zaczęła przemówienia, włączą faceci z aparatami i magnezją na kiju, potem ktoś powiada: „Może pan przewodniczący zechce wstać?“, windują go do góry, potem oślepiający blask i pełno dymu w pokoju, i faceci wychodzą. Następnie przychodzi ktoś z próbnymi odbitkami, a jak się jest człowiekiem nieśmiałym albo się siedziało koło tego przewodniczącego - to się zamawia jedną odbitkę.

Jeśli chodzi o ten bankiet, to było to w stowarzyszeniu łyżwiarzy, czy innym towarzystwie wzajemnej adoracji, a ja tam poszedłem jako gość wyżej wspomnianego Matthews'a. Siedzieliśmy, jak to mówią, ramię w ramię.

Teraz żona przyjrzała się zdjęciu i zapytała: - Co to za znak na czole ma pan Matthews?

Spojrzałem i ja - no i proszę! - miał na czole taki sam ślad, z jakim przyszedł przed miesiącem do klubu. Najciekawsze w tym wszystkim było to, że zdjęcie zrobiono co najmniej sześć miesięcy przedtem, nim Matthews miał ten zabawny atak. Po bliższym przyjrzeniu okazało się, że na odwrocie fotografii była lekka, brunatna kreska. Widocznie był to ślad po warkoczyku, który odłożyłem, żeby wysechł. Przesiąkło na drugą stronę i powstał znak na czole Matthews'a. Sprawdziłem, że akurat tam, nakłuwając karton igłą.

Na pierwszy rzut oka wyglądało to na bardzo dziwny zbieg okoliczności. Nie wiem, co sądzicie o zbiegach okoliczności, ale ja wiem z doświadczenia, że właściwie ich nie ma. W każdym razie zadałem sobie nieco fatygi i ustaliłem - nie mam co do tego cienia

wątpliwości - że ja położyłem owego dnia warkoczyk na fotografii między godziną czwartą a czwartą piętnaście, zaś Matthews miał swój śmieszny atak tego samego dnia kwadrans po czwartej. Może i to był zbieg okoliczności?...

Przyszło mi jednak następnie do głowy, żeby zrobić próbę. Nie na poczciwym Matthewsie, oczywiście, bo on już oberwał, a poza tym - to mój przyjaciel. Wiem dobrze, że należy miłować naszych wrogów i tak dalej, staram się zawsze, żeby tak było, no ale jeśli chodzi o przeprowadzenie eksperymentu tego rodzaju, to nawet jeśli szanse są jedna na milion, że się uda - lepiej wybrać wroga niż przyjaciela. Rozejrzałem się więc za odpowiednią - że tak powiem - ofiarą, za kimś, kogo by nie bardzo było szkoda, gdyby zdarzyć się miał nowy zbieg okoliczności. Osobą, na którą padł mój wybór, była bona od sąsiadów.

Z okna naszej łazienki widać ich ogród i nieraz widzieliśmy, jak ta bona paskudnie obchodzi się z dzieckiem, kiedy myśli, że jej nikt nie widzi. Nie mogliśmy jej nic powiedzieć, bo wiecie, jak to niedobrze wtykać nos w sprawy sąsiadów, ale ona była niedobra dla dziecka i po prostu nie znosiliśmy jej widoku. Poza tym jeszcze inna sprawa: gdy tylko tam nastąpiła, od razu nabrała zwyczaju sięgania przez murek do naszych róż. Zrywała je i ciskała na ziemię, ale wkrótce położyłem temu kres. Zrobiłem taką instalację z haczyków na ryby wokół najbardziej dostępnych róż i przygiałem krzewy do ziemi za pomocą drucików. Następnego poranku u sąsiadów była Sodoma i Gomora, a bona przez tydzień chodziła z zabandażowaną ręką.

Ogólnie biorąc, była ona akurat osobą nadającą się do mego eksperymentu. Przede wszystkim należało zrobić jej zdjęcie. Rano, kiedy było słońce, a ona siedziała w ogrodzie, zacząłem naśladować buczenie samolotu stojąc w oknie łazienki, żeby ją

zmusić do podniesienia głowy. Pstryknąłem - i miałem zdjęcie aż miło.

Gdy tylko pierwsza odbitka wyschła, około jedenastej wieczorem tego samego dnia, przypiąłem warkoczyk dwiema szpileczkami do zdjęcia, na czole bony. Czułem się bardzo głupio, oczywiście, że robię coś tak idiotycznego. Potem odłożyłem zdjęcie do szuflady w moim warsztacie.

Następnego wieczora, kiedy wróciłem do domu, żona powiedziała mi już od progu: - Wiesz, co się stało? Bonę od sąsiadów znaleziono martwą w łóżku dzisiaj rano!

Powiedziała następnie, że wszyscy są tym zupełnie wytrąceni z równowagi, że będzie śledztwo i tak dalej. Powiadam wam, że jakbym dostał cegłą w głowę!

- Coś podobnego! - rzekłem. - A na co ona umarła? - Trzeba wam wiedzieć, że moja pani nie była poinformowana o całym eksperymencie. Nigdy by mi na to nie pozwoliła. Jest dosyć przesądna, mimo że mieszka ze mną pod jednym dachem.

Gdy tylko mogłem, wśliznąłem się cichaczem na górę, zajrzałem do szuflady i wyjąłem fotografię. Wszystko jedno - i tak wiem, że mi nie uwierzycie, ale kiedy odpiąłem warkoczyk, na czole bony widać było wyraźną brunatną plamkę. Aż mnie zatkało, powiadam wam. Bo to przecież już drugi raz: najpierw Matthews, a teraz - ona.

Cała sprawa mogła wyprowadzić człowieka z równowagi. Wiem, że to wydaje się głupie - ale nic nie poradzę: miałem niejasne wyrzuty sumienia.

No i potem przyszła kolej na dochodzenie policyjne. Naturalnie i ja poszedłem, żeby się dowiedzieć, na co umarła ta biedna kobieta. Oczywiście zapisano to jako „śmierć z przyczyn naturalnych”, a mianowicie wskutek wylewu krwi do mózgu. Co

jednak najbardziej zastanawiało lekarzy - to to, co spowodowało te „naturalne przyczyny”, bo miała na czole znak tego samego rodzaju co Matthews. Dokładnie przedyskutowali teorię, że być może była pod działaniem promieni Roentgena - bo tak to trochę wyglądało - ale że mniej więcej dowiedli, iż pod takim działaniem nie była, więc szczerze mówiąc dali temu spokój.

Wszystko to było bardzo interesujące. Zajmowało mnie wielce i o tyle dobrze się bawiłem, o ile komuś może sprawiać przyjemność śledztwo. Nie wyjaśnione zostało tylko dręczące zagadnienie, czy bona upadła, czy też coś ją stuk... - no, po prostu, czy przejechała się z powodu warkoczyka, czy nie.

Jasne, że nie można było poprzestać na tym, bo cała sprawa okazała się aż zanadto podniecająca. Zacząłem się rozglądać za kimś innym, żeby na nim jeszcze raz spróbować, i uznałem, że świetnie będzie się do tego nadawał pewien pan z przeciwka. Nie był on taki nieprzyjemny jak bona, ponieważ nie był okrutny, w każdym razie nie umyślnie - grywał na skrzypcach - więc postanowiłem w miarę możliwości go nie zabijać.

Z fotografią był pewien kłopot, ponieważ sąsiad rzadko wychodził z domu. Nie macie pojęcia, jak trudno jest zrobić przyzwoite zdjęcie *en face* komuś, kogo znacie tylko z widzenia. Jednakże udało mi się to po jakichś dwóch tygodniach. Zdjęcie było malutkie i musiałem zrobić powiększenie, ale wyszło nie najgorzej.

Wieczory spędzał przeważnie w pokoju na piętrze, ćwicząc, robiąc *pizzicata* i inne sztuczki. Po kolacji poszedłem do warsztatu i stanąłem przy oknie, akurat naprzeciw jego okna, i czekałem, aż zacznie. A kiedy na dobre się rozkręcił - dotknąłem po prostu warkoczykiem jego fotografii, nie za mocno, tylko tak, na przykład, jak sprawdza się dwoma drucikami baterijkę

elektryczną czy akumulator. No więc dotknąłem zdjęcia warkoczykiem w ten sposób. Gdy zrobiłem to za pierwszym razem - facet wziął fałszywy ton. To jeszcze nie było wiele, więc oczywiście jeszcze raz to zrobiłem, tylko już dłużej przytrzymałem warkoczyk. Tym razem nie było wątpliwości. Pośpiesznie odłożył skrzypce, wychylił się z okna i dyszał jak ryba co najmniej z pięć minut. Byłem tak zaskoczony, powiadam wam, że miałem ochotę zrobić to samo.

Mimo wszystko wziąłem się w garść i zacząłem się zastanawiać, czy nie należałoby spalić tego cholera... hm... warkoczyka. Spalić czy nie spalić? Ale zbyt wiele kryło się w nim możliwości, tak że postanowiłem jednak zapoznać się z nimi.

Długo bym mógł wam opowiadać o moich eksperymentach. Trwały one kilka miesięcy i osiągnęły taką naukową ścisłość, że mogłem wywołać każdy efekt: od bólu głowy u komara do zabicia człowieka, wszystko to - zapamiętajcie sobie - kosztem jednego mężczyzny, jednej kobiety, całej masy stonóg i jednego świadomego oponenta. Musicie przyznać, że całkiem skromnie, jeśli uwzględnić, ile radości można by uzyskać z tego rodzaju odkrycia.

A więc teraz, skoro w opanowaniu techniki tego zdalnego działania osiągnąłem tak wysoki stopień precyzji, szkoda byłoby chyba nie wykorzystać tego w jakiś praktyczny sposób. Innymi słowy - nie zrobić na tym majątku bez niepotrzebnej utraty życia ludzkiego.

Można było, oczywiście, popracować dłużej na ludziach, których się nie lubiło, ale przez pewien czas nie przyniosłoby to nic konkretnego.

Chodzi mi o to, że gdyby się nawet ubezpieczyło ich przedtem, to trzeba by czekać z rok, zanim umrą, bo inaczej towarzystwo

ubezpieczeniowe nie wypłaciłoby premii, a zresztą wyglądałoby to trochę nie tego... gdyby się zdarzyło parokrotnie.

No i wówczas przyszedł mi do głowy świetny pomysł: a gdyby tak spróbować mojego sposobu na wyścigach? Wystarczyłoby po prostu wybrać sobie jakiegoś fuksa, postawić na niego cały majątek w stosunku sto do jednego i postarać się, żeby nie przegrał.

Sama operacja byłaby całkiem prosta. Trzeba by mieć tylko kartonik ze zdjęciami wszystkich koni biorących udział w danym biegu, oczywiście z wyjątkiem tego, który miał wygrać, a potem usadowić się tak, żeby móc dokładnie obserwować bieg.

Nie miałem najmniejszego zamiaru robić krzywdy któremukolwiek z tych koni. Trzeba było zastosować wobec nich leciutkie dotknięcia, tyle żeby się poczuły zmęczone od razu po starcie. A potem, gdyby widać było na finiszu, że mój nie jest całkiem pewny - mógłbym raz jeszcze lekko stuknąć każdego konia, który wydawałby się jeszcze niebezpieczny.

Rozumiało się samo przez się, że niezbędna była wielka ostrożność, aby zanadto nie dezorganizować całych wyścigów. Bo gdyby, na przykład, wszystkie konie z wyjątkiem jednego upadły albo tylko zatrzymały się i zaczęły skubać trawę, bieg taki mógłby zostać uznany za nieważny.

Tak więc przeprowadziłem dwie czy trzy próby. Udały się doskonale. Ostatniej to nawet nie można było nazwać próbą, bo postawiłem dziesięć funtów na trzydzieści trzy do jednego, ot tak - żeby spróbować szczęścia - i oczywiście wyszło.

Nie miałem jednak takiego szczęścia, jak się wydaje. Tuż koło wejścia na trybuny zrobił się niezły tłok i gdy wychodziłem - otoczyło mnie czterech czy pięciu ludzi, którzy zaczęli mnie popychać. Nie zdawałem sobie sprawy, o co im właściwie chodzi,

dopóki jeden z nich nie sięgnął ręką do wewnętrznej kieszeni mojej marynarki.

Złapałem go oczywiście i przytrzymałem powyżej łokcia obu rękami. No i siłą rzeczy, trzymając jego rękę pod pachą, przydusiłem do żeber zawartość kieszeni.

Że zaś w tej kieszeni była próbówka z warkoczykiem, to jak zacząłem ścisnąć - próbówka pękła z trzaskiem. Nie bardzo zdaję sobie sprawę, co się następnie działo, tyle że sprytny facet chciał się wyswobodzić, a jego dwaj koledzy dopomagali mu, waląc mnie po głowie. Całkiem brutalnie to robili. Zapalili się nawet tak dalece, że kontynuowali swoje poczynania aż do chwili, gdy zjawiała się policja i wzięła ich za kołnierz.

Gdybyście widzieli rękę tego faceta, kiedy wyjął ją z mojej kieszeni...! Była cała porznięta i tkwiły w niej kawałeczki potłuczonego szkła; wyglądała jak ciasto z czerwonym sokiem. Tak się urządził, że w drodze na posterunek trzeba było zajechać do lekarza, żeby mu podwiązać jakąś małą arterię. Ja miałem głowę rozciętą i to też wymagało opatrunku. Całkiem przyjemny jegomość ten doktor, tylko że stał się przyczyną mojej ruiny. Nawiasem mówiąc był najbardziej łysym lekarzem, jakiego kiedykolwiek widziałem, choć co prawda spotkałem kiedyś jeszcze bardziej łysiego radnego miejskiego.

Kiedy usmarował mnie jodyną, wydostałem z kieszeni resztki potłuczonego szkła razem z warkoczykiem i zapytałem doktora, czy nie mógłby mi dać jakiejś pustej buteleczki.

- Ależ bardzo chętnie - powiedział i wyjął buteleczkę. Włożyłem warkoczyk do środka i zakorkowałem.

Gdy w końcu wróciłem do domu, zajrzałem do buteleczki. Była pusta, jeśli nie liczyć odrobiny błotnistej substancji na dnie. Warkoczyk się rozpuścił.

Dopiero wtedy spojrzałem na etykietę na butelce: była tam nazwa szeroko reklamowanego środka na porost włosów.

Przełożył Tadeusz Adrian Malanowski